ŚWIĄTECZNY „DUNAJEC" W PODWÓJNEJ OBJĘTOŚCI

Nowa powieść **Stanisława Stanucha** — akcja rozgrywa się nad Popradem, Dunajcem i Ropą w latach 1939-1949 ● Krytyczne refleksje **Barbary Arendarczyk** z Łącka o starcie życiowym młodych ● Wciąż aktualne przestrogi **Tadeusza Staicha** z lat siedemdziesiątych, dotyczące turystyki górskiej ● **Anna Szopińska** o dziejach polskiego narciarstwa ● Ppłk. **Czesław Gliński** o „gangu armaturowym" w Jordanowie ● W „Białej Izbie" o kawalerze jerozolimskim z Krużlowej oraz rozmowa z **Antonim Malczakiem** o sądeckiej kulturze ● **Stefan Ciepły** o naszych zębach ● Sejmowe plotki i anegdoty ● „Pamiętnik sądeczanki" ● **Tadeusz Malicki** o Pieninach ● Wielkanocne „słomioki" z okolic Dobrej ● Krzyżówka — horoskop — świąteczny program telewizji.

DUNAJEC

Nowosądecki tygodnik PZPR

Nr 12/13
19-26 marca 1989 r.
Cena 100 zł

PL ISSN
0208-5968
Nr indeksu 35657

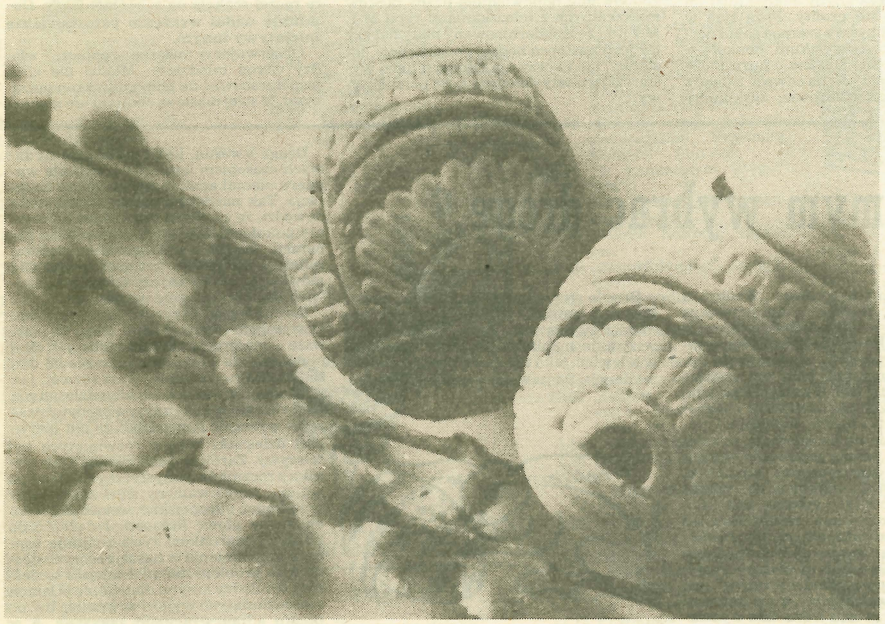

Fot. JOANNA GAJDA

Adam Ogorzałek

Maraton

Najważniejsza w powojennej Polsce debata o naprawie Rzeczypospolitej toczy się w wytwornej scenerii pałacowej. Godna oprawa niewątpliwie sprzyja temu, by nawet przeciwstawne racje wykładać sobie z umiarem i cierpliwie. Chwilami iskrzy, emocje biorą górę nad opanowaniem, zwłaszcza przy rozstrząsaniu szczególnie gorących tematów. Widoczny jest wszakże wysiłek — prawie wszystkich uczestników — by „okrągły stół" przyniósł rozsądny kompromis.

Czy dobra wola wystarczy dla sukcesu, nie wie nikt. Rozbieżność wyobrażeń i dążeń jest bowiem oczywista.

Jaskrawo kontrastują ze scenerią i klimatem pałacowych sporów uliczne wystąpienia młodzieży, a także — cały czas towarzyszące negocjacjom warszawskim — żądania podwyższenia płac dla kolejnych grup zawodowych. Jeszcze ważniejszych elementem tła, na którym rozgrywa się dyskusja, jest powszednia rzeczywistość — nasze codzienne utrapienia, niepewność, irytacja z powodu opieszałego stawiania najprostszych nawet spraw z głowy na nogi.

Barometrem społecznych nastrojów są listy od Czytelników. A w nich — po staremu. Przebrzydła zwłoka w rozpatrywaniu skarg. Marna jakość większości produktów (nowość: orzeszki sojowe z prywatnej wytwórni, solone, po 190 złotych — n i e j a d a l n e). Wieczne żale na komunikację (spóźnienia, brud, nieuprzejmość). Narastające pretensje z powodu kiepskiej łączności telefonicznej niemal w całym regionie. Prosta naprawa zegarka trwa w Nowym Sączu miesiąc. Niezrozumiałe roszady kadrowe, trzymanie na stanowiskach kierowniczych nieudaczników... Niesłowność. Drożyzna. Barbarzyńskie wycinanie drzew i wiklin nad Dunajcem. Przedziwna tolerancja — a może paraliż? — organów rozmaitej kontroli.

Czytelnicy nie piszą do nas o sprawach tyczących strategii rozwoju, nie są ani za, ani przeciw pluralizmom różnego rodzaju, nie wypowiadają się na temat ordynacji wyborczej, urzędu prezydenta czy samorządu terytorialnego. Oczekują przede wszystkim — także od „okrągłego stołu" — szybkiego zaprowadzenia n o r m a l n o ś c i. Oni nie widzą bezpośredniego związku między mądrymi rozważaniami w stolicy a własną sytuacją w miejscu zatrudnienia i zamieszkania. Mylą się, to nie ulega wątpliwości. Ale faktem jest, że istnieje rozstęp między rozmową elit a oczekiwaniami podstawowej części społeczeństwa.

★

Arcysłusznie mówi jeden z uczestników „okrągłego stołu":

„— Wszystko, co zrobiłoby się tu szybko, nawet najlepiej, zrobiłoby się na zasadzie porozumienia elit,

(CIĄG DALSZY NA STR. 9)

Odgłosy

Są takie wydarzenia społeczne, dzięki którym jak w błysku ostrego światła dostrzegamy sprawy takimi jakimi są, a mówiąc dokładniej — tracimy możliwość zaprzeczania faktom. Takim wydarzeniem była telewizyjna rozmowa Miodowicza z Wałęsą (...) Publiczny dialog ujawnił, że opozycja jest inna od tej, którą znaczna większość społeczeństwa zapamiętała z lat 1980-1981. Powiadamy, że jest nowa. Wałęsa i jego środowisko polityczne tylko w tym sensie są nowi, że trafnie odczytali dwa znaki czasu. Pierwszy: „Solidarność" zarówno w strajkach w kwietniu jak i w sierpniu nie zdołała uzyskać powszechnego poparcia, nie wróciła do sytuacji ruchu masowego.

Socjalizm jako system światowy — to drugi znak czasu — konsekwentnie wszedł w fazę reform (...) Nie można więc czekać nadal, aż sam upadnie, nie można mu dyktować warunków, trzeba się z nim układać.

W Polsce powstała nowa sytuacja polityczna, z tej odmienności zdaliśmy sobie sprawę my, opozycja, a także Kościół katolicki — **WŁADYSŁAW LORANC.**

Gest wyciągniętej ręki nie zrodził się, wbrew pozorom, dopiero na X plenum. Jako człowiek uczestniczący w tych zdarzeniach chciałbym przypomnieć, iż po raz pierwszy owa ręka została wyciągnięta do „Solidarności" w czasie IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Pamiętam, gdy w trakcie dyskusji w komisji programowej Zjazdu powiedziano, że w ramach polskiego ładu konstytucyjnego jest miejsce dla niezależnego związku zawodowego, a także dla formuły ruchu społecznego i orientacji politycznej o nazwie „Solidarność".

X plenum wyciągając rękę do porozumienia, nie było pozbawione pamięci o przeszłości. Trudno zresztą byłoby oczekiwać takiej amnezji. Owa pamięć zapisana jest — i to bardzo dramatycznie — w biografiach wielu ludzi po obu stronach umownie przyjętej barykady. Rzecz nie w tym, by cokolwiek zapomnieć. Gestowi wyciągniętej ręki musi dziś towarzyszyć refleksja nad przyczynami, dla których uścisk obu wyciągniętych ku sobie dłoni jest tak trudny. Bez tego pozostaną nam tylko slogany. A sloganów mamy już wszyscy absolutnie dość — **HIERONIM KUBIAK.**

Wyobraźmy sobie, że do restauracji przychodzi czterech smakoszy z zamiarem zamówienia tego samego dania wybranego na zasadzie *consensusu*. Jeden z nich lubi łososia, drugi zupę z jaskółczych gniazd, trzeci kaczkę nadziewaną truflami, a czwarty sałatkę z wodorostów. Przy tym rozrzucie preferencji smakosze osiągną jednomyślność na poziomie jakiegoś prostego dania, którego jedynym powabem jest to, że — zdaniem każdego z nich — nie może zaszkodzić. Prawdopodobnie daniem tym byłaby kaszka manna na wodzie. (...) Pełen consensus to totalne uśrednienie nieco powyżej zera.

(...) Kiedy widzi się tych ludzi siedzących razem, duch w człowieku podnosi się na palce. Ale zauważmy, że członkowie okrągłego stołu potrzebowali aż stu sześćdziesięciu kilku dni (czyli pół roku), by przygotować inauguracyjne posiedzenie. Zważywszy, że przygotowanie inauguracyjnego posiedzenia to zaledwie jedna setna ogromnego zadania przebudowy naszego życia politycznego i gospodarczego, można żywić obawy, że w tym tempie prace okrągłego stołu potrwają pięćdziesiąt lat...

Tak więc, mimo iż los zesłał politykom mądrość i dobrą wolę, szczęście może nadejść zbyt późno — **KRZYSZTOF WOJCIECHOWSKI.**

Barbara Arendarczyk

Niepokój o przyszłość

Kryzys — szczególnie w sferze ekonomicznej — odczuwany już od końca lat siedemdziesiątych, spowodował odsunięcie w nieokreśloną przyszłość spełnienie podstawowych aspiracji życiowych młodzieży. Starsze pokolenia, startując nawet z niższego poziomu, powoli i raczej stale zmieniały swą sytuację życiową. Obecne trudności mogą być przez nie znacznie łatwiej zniesione niż przez ludzi młodych. Ci bowiem, jeśli nawet próbują startować samodzielnie, to w większości przypadków nie mają wielu szans na względnie szybkie osiągnięcie poziomu życia, który był ich udziałem w domu rodzinnym. Odczuwają to zatem jako swojego rodzaju degradację w statusie i pozycji życiowej. Nie mają przy tym perspektyw wyraźnej poprawy. W takiej sytuacji rodzą się liczne frustracje wpływające bezsprzecznie zarówno na oceny przeszłości, jak i na formułowanie wizji przyszłości.

Żyjemy w okresie przełomowym. Stwierdzenie to nie jest odkrywcze. **Dla mojego pokolenia okres przełomowy rozpoczął się gdzieś około roku 1976 i trwa do dzisiaj.** W ten sposób jedną trzecią naszego życia spędziliśmy w „ciekawych czasach".

Nasze pokolenie, a przynajmniej duża jego część, boi się przyszłości. Badania wykazują, że jedna czwarta młodych chciałaby na stałe bądź na czas nieokreślony wyjechać za granicę. Jeśli już zostają w kraju — w końcu emigracja jest rozwiązaniem skrajnym, na które na szczęście nie każdy może się zdecydować — to rozglądają się za firmami polonijnymi, straganami z pietruszką i innymi prywatnymi interesami. Ponieważ i to rozwiązanie z oczywistych powodów gospodarczych dostępne jest dla niewielu, więc trafiają jednak do przedsiębiorstw państwowych. Większość traktuje je jako poczekalnie przedemerytalne. Nie identyfikują się ze swoim zakładem pracy, nie poszukują awansu, nie czują się współodpowiedzialni za wyniki. Taka postawa jest piętnowana w publikatorach, natomiast nagradzana w życiu. Ci, którzy chcą coś zrobić, z czymś walczyć, przeważnie dostają po głowie — od władzy, od starszych, od różnych grup interesu. Wiem o tym z autopsji, bo my również nie lubimy, jak ktoś z naszego otoczenia zanadto się wybija. Dlatego w zakładach pracy również nie będziemy popierać żadnego rodzaju aktywistów, zwłaszcza gdyby sukces miał im przynieść osobiste profity. Poza tym w imię czego mielibyśmy szarpać sobie nerwy, walczyć ze wszystkimi dookoła — skoro to, co dzisiaj słuszne — jutro może okazać się niesłuszne, i na odwrót. Stojąc z boku oszczędzamy zdrowie, zyskujemy przyjaciół i mamy czas na fuchy, czy po prostu na zajęcie się rodziną.

Przez lata wychowywano nas przy akompaniamencie stwierdzeń: *patrzcie ile nam zawdzięczacie, my podnosiliśmy Polskę z gruzów, z kraju rolno-przemysłowego przekształciliśmy ją w dziesiątą potęgę światową, wy, wychowani w cieplarnianych warunkach, powinniście teraz spłacić swój dług.* Obecnie nasi rodzice, dziś już w większości dziadkowie, w podobnych okazjach uciekają ze spojrzeniem. Oni dostawali mieszkania w wieku dwudziestu kilku lat, my mamy je szanse kupić między trzydziestką a czterdziestką. Dla nich kariera stała otworem, dzisiaj ludzie poniżej 35 lat zajmują mniej niż 2 procent stanowisk kierowniczych. W ich czasach *doganialiśmy*, a wielu wierzyło, że zaraz *prześcigniemy*. My, po każdym powrocie z Zachodu, po każdym obejrzanym filmie, z przerażeniem doliczamy kolejne lata do dzielącego nas dystansu cywilizacyjnego. Świat nie zatrzyma się w rozwoju czekając aż przezwyciężymy kryzys i dogonimy innych. Nawet szybkie tempo rozwoju umożliwia obecnie zaledwie niewielkie przesunięcia w światowym rankingu. Nie ma najmniejszych szans, by w dostrzegalnej perspektywie dogonić światową czołówkę. Nie można jednak poprzestać na kontynuowaniu dotychczasowych trendów rozwojowych gospodarki Polski. Świadomość, że w pierwszej dekadzie przyszłego wieku zostanie rozwiązany problem mieszkaniowy dzięki zbudowaniu odpowiedniej liczby bloków mieszkalnych z mieszkaniami typu M-1, M-2 itd., że zmodernizowany mały fiat czy też jego następca będzie powszechnie dostępny, nie tworzy dla młodych ludzi wystarczająco satysfakcjonującej perspektywy.

Normalnym pragnieniem jest życie w państwie właściwie rządzonym, gdzie wszyscy przestrzegają prawa, gdzie porządek jest sprawą normalną, a bałagan — wyjątkiem. W kraju sprawnie funkcjonującej gospodarki i instytucji publicznych, gdzie panują właściwe stosunki międzyludzkie. Jednym słowem w kraju zamożnym i cywilizacyjnie rozwiniętym, w którym życie jest relatywnie wygodne. W opinii większości młodych nie można w żadnej mierze być zadowolonym ze stanu obecnego. Trwałej frustracji jest nie tyle brak mieszkania, co poczucie bezradności i niemocy uczynienia czegokolwiek, co przyspieszy wprowadzenie się do własnego M. Chodzi zatem nawet nie tyle o absolutnie wysoki poziom dostatku, co o możliwość kształtowania własnej, osobistej wizji przyszłości i jej realizację na miarę własnych potrzeb i umiejętności. Często odnosimy wrażenie zaklętego kręgu niemożności. I być może nie to jest ważne, że odczucie to nie we wszystkim znajduje potwierdzenia; jeśli jest bowiem obecne w potocznej świadomości, to skutecznie niweczy zapał do działania na rzecz poprawy własnej sytuacji, nie wspominając o działaniach o szerszym społecznym znaczeniu.

Partia otrzymała bolesną nauczkę za popełnione zewnętrzne i wewnętrzne błędy strategiczne i polityczne. Tyle się zmieniło i zmienia w praktyce partyjnej, w propagandzie, pracy szkoleniowej. Są to jednak zmiany pozorne i cząstkowe, będące raczej reakcją na zaistniałe fakty. **Dominuje nadal wrażenie pozostawiania inicjatywy innym.**

Obserwujemy mizerne „zaplecze" władzy wśród młodzieży. Młodzi nie chcą współpracować na polu polityki z rządzącymi. W swej masie są obojętni lub niechę-

Pozwólmy im samym wybrać drogę

W dynamicznym wystąpieniu na Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Programowej Barbara Arendarczyk powtórzyła szereg opinii i obiegowych poglądów na temat młodzieży. Brak perspektyw życiowych, separowanie się od działalności społeczno-politycznej, szukanie dróg poprawy swego bytu na marginesach gospodarki narodowej (do których zaliczyła emigrację i firmy polonijne), frustracja na tle rosnącego dystansu w stosunku do rozwiniętych krajów Zachodu, trudna droga do własnego mieszkania, bierność i dystansowanie się od socjalizmu, partii, a nawet organizacji młodzieżowych — to chyba w największym skrócie treść tej wypowiedzi, opatrzonej rozbrajającym komentarzem, iż recept na poprawę tego stanu rzeczy mówczyni, skądinąd nauczycielka, nie dostrzega.

Części zawartych w tym wystąpieniu sądów, ot, choćby odnoszących się do sytuacji mieszkaniowej, nie sposób zakwestionować, z jednym wszakże uzupełnieniem. Wszystkie wymienione wyżej problemy są nie tylko udziałem młodego pokolenia, ale wszystkich generacji, bowiem podział społeczeństwa — jak przed pięćdziesięciu już laty pisał Leon Kruczkowski w głośnym artykule „Wzdłuż, a nie w poprzek dziejów" — nie przebiega według zasady walki pokoleń, lecz wynika z samej struktury społeczeństwa, uwarunkowań socjalnych, społecznych itp. Kategoria biologiczna, jaką jest pokolenie, należy do tej samej kategorii podziałów co np. podział na blondynów i brunetów, szczupłych i tęgich, wysokich i niskich. Naturalnie na świadomość pokolenia składa się pewna tożsamość warunków i przeżyć historycznych, atmosfera, w której przychodzi oddychać, ale reakcja wobec każdego z tych zjawisk, jest emocjonalnie zróżnicowana, uzależniona od dziesiątków indywidualnych uwarunkowań, poczynając choćby od klimatu domu rodzinnego, a kończąc na statusie materialnym. Problem: „młodzi — starzy" jest zatem raczej współbieżny, a nie przeciwstawny. To po prostu jedna fala wyprzedza nieco drugą, ale płyną obie tą samą rzeką czasu.

Nie chcę tego tematu rozwijać, gdyż ma on tutaj raczej marginalne znaczenie. Chcę raczej polemicznie odnieść się do paru wyrażonych przez Barbarę Arendarczyk sądów, które w moim przekonaniu wymagają weryfikacji.

Przede wszystkim w żadnym wypadku nie mogę podzielić poglądu zarzucającego młodzieży bierność. Zarówno bowiem te wszystkie manifestacje, które oglądamy w telewizji, jak i tak żywa wśród młodych tendencja do zawiązywania różnego rodzaju wspólnot, czy wreszcie sama emigracja — dowodzą czegoś akurat odwrotnego. Mogą nam się nie podobać kierunki tej aktywności, zwłaszcza gdy wartościujemy je własnym systemem pojęć, ale o żadnej bierności mowy być nie może.

Druga kwestia, która zwłaszcza na łamach czasopism katolickich nabrała wymiaru niemal apokaliptycznego, to emigracja. Tak nawiasem mówiąc, statystyka dowodzi, że zjawisko to p o r ó w n i dotyczy pokolenia dorosłego, jak i młodej generacji. Ale rzecz wymaga nieco głębszej refleksji niż proste potępienie. Prawdę mówiąc, to nie wiem, czy nawet jakiekolwiek dramatyzowanie ma tu sens.

Zacznijmy od przyczyn tego zjawiska. Dostrzegam cztery główne. Otóż, po pierwsze — emigracja z krajów słabszych ekonomicznie do silniejszych jest nie od dzisiaj czymś normalnym. Nasz rozwój, jak wiadomo, w latach siedemdziesiątych miał charakter sztuczny, na kredyt. I czas sobie wyraźnie powiedzieć, że mit pierwszej dziesiątki krajów rozwiniętych był fałszywy. Zarówno przed wojną (jak wynika z roczników statystycznych), tak i po wojnie, znajdowaliśmy się i znajdujemy przy końcu europejskich wskaźników dochodu na głowę ludności. I dążność do poprawy warunków życia znajduje logiczne uzasadnienie w naszej rzeczywistości. A że problem nie miał miejsca wcześniej, to między innymi dlatego, że w latach sześćdziesiątych wyjazd za granicę był po prostu administracyjnie zakazany, a w latach siedemdziesiątych, zwłaszcza ich pierwszej połowie, wydawało się, że naprawdę doganiamy świat. I nie było żadnych racjonalnych przyczyn, w takim stężeniu jak dziś, które skłaniałyby do wyjazdu.

Drugą przyczyną, odnoszącą się zwłasz-

Naczelnicy o swoich gminach

ZDZISŁAW GOŁĘBIOWSKI — Chełmiec:

— Ubiegły rok był dla naszej gminy pomyślny. Ukończyliśmy modernizację i rozbudowę ośrodka zdrowia w Wielogłowach, który przekazano do zagospodarowania Wojewódzkiemu Szpitalowi Zespolonemu. Z początkiem marca br. oddaliśmy rozbudowaną szkołę w Biczycach Dolnych. Nasza gmina jest rozległa, składa się z 27 sołectw okalających Nowy Sącz. To rodzi określone problemy komunikacyjne oraz potrzebę budowy i modernizacji dróg. W ubiegłym roku z własnych środków budżetowych położyliśmy 2,5 kilometra nawierzchni bitumicznej, a 2 km zbudował nam ze środków budżetu wojewódzkiego Rejon Dróg Publicznych. Jeśli do tego dodać zbudowanie 9 km dróg żwirowych, odnowienie 1 km nawierzchni asfaltowej oraz 160 metrów chodnika w Klęczanach — to nie mamy się czego wstydzić. Postęp prac drogowych zawdzięczamy społecznemu wsparciu oraz własnej ekipie remontowo-budowlanej, którą wyposażyliśmy w trzy ciężarowe auta, cztery ciągniki i koparkę. Realizujemy program gazyfikacji gminy. Niedawno gaz otrzymali mieszkańcy Małej Wsi, na ukończeniu jest gazyfikacja Paszyna, w Chełmcu i Piątkowej trwa rozprowadzanie sieci gazociągowej do poszczególnych obiektów i gospodarstw. Opracowywany jest program gazyfikacji pozostałych wiosek. Uruchomiliśmy nową centralę telefoniczną obsługującą Chełmiec, Świniarsko, Niskową, Biczyce i część osiedla Helena w Nowym Sączu. Przybyło nam w gminie 160 nowych abonentów telefonicznych, co stawia nas pod tym względem w wojewódzkiej czołówce. Przygotowaliśmy obiekt dla nowej centrali telefonicznej w Wielogłowach, która obejmie swoim zasięgiem również Wielopole, Wolę Kurowską, Dąbrowę, Klimkówkę i Ubiad. Jeśli w tym roku uda nam się zakupić centralę, to kilkadziesiąt rodzin w wymienionych wsiach otrzyma telefony. Zakupiłem też wewnętrzną centralę dla Urzędu Gminy i po jej zamontowaniu nie będzie już problemów z dodzwonieniem się do nas. W czynie społecznym zbudowano wodociąg do szkoły w Paszynie, kosztem 16 milionów złotych powstał wodociąg do szkoły i kilkunastu gospodarstw w Trzetrzewinie, ale nie oddano go jeszcze do użytku. W Chełmcu Gminna Spółdzielnia zbudowała pawilon spożywczy, który ma sprawną obsługę i jest dobrze zaopatrzony. W Domu Pomocy Społecznej w Klęczanach uruchomiono punkt PCK, świadczący usługi dla ludzi starszych i niepełnosprawnych.

Największym problemem do rozwiązania jest poprawa bazy lokalowej oświaty. W szczególnie trudnych warunkach uczą się dzieci w Januszowej, Boguszowej i Chomranicach. Zorganizowały się w tych wsiach społeczne komitety, gromadzą pieniądze i materiały. W Boguszowej i Januszowej szkoły będą remontowane i rozbudowywane, natomiast mieszkańcy Chomranic zgłaszają chęć wzniesienia systemem gospodarczym nowej szkoły. Rozbudowę szkoły w Boguszowej rozpoczniemy jeszcze w tym roku. W bieżącym planie pięcioletnim mieliśmy zapisaną budowę przedszkola w Chełmcu, ale z braku pieniędzy nie rozpoczniemy tej potrzebnej inwestycji. Będziemy się starali na okres przejściowy wydzierżawić jakiś budynek na przedszkole. Chcemy w tym roku przygotować rozbudowę ośrodka zdrowia w Chełmcu. Ciągle dużo mamy do zrobienia na drogach; w roku bieżącym zamierzamy położyć ponad pięć kilometrów nawierzchni asfaltowej. Remontujemy starą część ośrodka zdrowia w Wielogłowach, z przeznaczeniem na cele kulturalne. Mieszkańcy Świniarska przy wsparciu gminnego budżetu i dotacji z PZU przystępują do budowy chodników. Nie możemy narzekać na rolnictwo. W ubiegłym roku rolnicy sprzedali do uspołecznionych punktów skupu produkty rolne wartości ponad miliarda złotych. Około stu szklarni produkuje duże ilości warzyw, skup mleka wzrósł w ciągu ostatnich trzech lat o milion litrów. Rolnicy narzekają na braki w dostawach maszyn, głównie opryskiwaczy i kosiarek. Należy podkreślić duże zaangażowanie mieszkańców w czyny społeczne. Szkoda, że z braku środków finansowych na popieranie czynów, musimy nieraz hamować społeczną inicjatywę.

2 DUNAJEC

tnie nastawieni, zaś młodzieżowe elity mają bardzo krytyczny stosunek do władzy. O dezercji politycznej młodzieży świadczy szereg faktów, przede wszystkim stany liczbowe organizacji młodzieżowych. Żadna z nich, a nawet wszystkie razem, nie są w stanie objąć większości młodzieży. Nie ma też mowy o identyfikacji z ekipą rządzącą. O tym najlepiej świadczy upartyjnienie młodzieży. Struktura wiekowa PZPR dowodzi, iż partia szybko starzeje się. Jest wiele motywów niewstępowania młodych do partii. Oczywiście nie sprzyja temu sytuacja gospodarcza kraju. Ale nie tylko. **Każdy młody człowiek, wstępujący do jakiejkolwiek partii, chce widzieć w niej perspektywę.** A jaką perspektywę dostrzeże w naszej partii w świetle ostatnich zmian, kiedy sami dokładnie nie wiemy, jaka będzie nasza partia, jaką drogą pójdzie. Naturalną cechą młodych jest to, że słabych popierać nie będą, pójdą za tym co silne, nowatorskie, dające szansę wyżycia się, sprawdzenia siebie. **Partia i jej sojusznicy nie posiadają w swoich szeregach postaci, które stanowiłyby atrakcyjny wzór osobowy dla młodych.** Znani artyści, naukowcy, sportowcy są zwykle poza polityką. Wśród działaczy nie ma liderów, z którymi grupy młodzieży mogłoby się identyfikować. Partia ma zasłużonych działaczy i weteranów, ale młodych, gniewnych nie posiada. Co gorsza, trudno takich znaleźć wśród liderów organizacji młodzieżowych.

Obserwując spotkania działaczy partyjnych z młodzieżą nie zorganizowaną łatwo zauważyć, iż obie strony nie tylko różnią się wyglądem zewnętrznym, czy stylem języka. Obawiam się, że 50-letni działacze z osobowością ukształtowaną w latach czterdziestych i pięćdziesiątych nie rozumieją się w pełni z dzisiejszymi dwudziestolatkami i trzydziestolatkami. Obie te grupy wiekowe zupełnie inaczej patrzą na świat i socjalizm. Trudno znaleźć wspólny język człowiekowi, którego awans społeczny łączył się z wielkimi budowami socjalizmu z młodzieńcem — fanem elektroniki. Trudno porozumieć się działaczowi, który młodość spędził w milionowej organizacji młodzieżowej, gdzie pracując zyskał awans społeczny i materialny, ze sfrustrowanym inteligentem w drugim pokoleniu, który krytycznie patrzy na *radosną twórczość* zadłużonych ojców. Już przy podstawowym warunku wspólnej rozmowy — rozumieniu terminu *socjalizm* — istnieją poważne rozbieżności.

Wprawdzie jest perspektywiczny program PZPR, ale powszechnie można spotkać głosy, iż wizji socjalizmu dla dwudziestolatków, socjalizmu XXI wieku, nie ma. Jest tylko mglista wizja wyjścia z kryzysu.

Nie mamy w partii jasnej polityki kreowania młodych elit. Jedynie od czasu do czasu czyni się ustępstwa dla nich. Tymczasem młodzi stawiają alternatywę: albo będziemy sami planować i zmieniać według naszego gustu, albo zajmiemy się czymś innym. Coraz bardziej widoczna dezercja polityczna młodych i ich niechęć do oficjalnych instytucji wynika z faktu, iż wszelkie koncesje przestały być atrakcyjne. Dodatkowo wzbudzają jeszcze niechęć, bo grożą wmanewrowaniem się w nieakceptowane i nieefektywne z punktu widzenia ich interesów struktury.

Wokół nas tak dużo się zmienia, rzecz w tym, czy my jako partia, zawsze potrafimy umiejętnie w tych zmianach się znaleźć? Niestety, dotychczasowe, od wielu lat nie zmieniane formy pracy z młodzieżą, nie wystarczają już u progu XXI wieku. Instancje i organizacje partyjne nie w pełni wykorzystują nawet istniejące możliwości pracy partyjnej z młodzieżą zorganizowaną, natomiast w pracy partyjnej i ideowo-wychowawczej z młodzieżą niezorganizowaną nie posiadamy sprawdzonych form. Również organizacje młodzieżowe zapominają, że nie mogą oddziaływać tylko na swoich członków.

Listę pretensji, obaw i oskarżeń można by przedłużać. Jest to zajęcie odstresowujące, lecz niestety bezproduktywne. Nie można problemów młodego pokolenia oddzielać od sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej, której konsekwencją jest właśnie rozchwianie postaw, poczucie niepewności, kryzys moralny zbiorowości, marazm, a pokłosiem tego — niezadowalająca kondycja młodzieży. **Właściwą metodą skutecznego przeciwdziałania bierności może być stworzenie nowej sytuacji, wprowadzenie zmian ważnych z psychologicznego punktu widzenia.** Być może należałoby rozwiać wątpliwości i złudzenia, tak by każdy zdawał sobie jasno sprawę z tego, że to on właśnie, indywidualnie, jest odpowiedzialny za swój los, a społeczeństwo jedynie odpowiada za sytuacje skrajne. Tak się w wielu przypadkach właśnie dzieje, lecz nie jest to dopowiadane do końca. Konsekwentnie należy dążyć do zapewnienia wszystkim zbliżonych szans, a nie starać się o gwarantowanie podobnych wyników, niezależnie od starań i włożonego wysiłku. Chodzi o rozpowszechnienie zasad sprzyjających przełamaniu bierności i apatii w postawach młodego pokolenia. Niewątpliwie nie samo doganianie innych powinno stać się celem rozwoju naszego kraju. Odstęp od najbardziej zamożnych i tak pozostanie na wiele, wiele lat, lecz frustracje nim wywołane najszybciej zlikwiduje stworzenie każdemu, a przede wszystkim ludziom młodym, wyraźnych perspektyw indywidualnego rozwoju. Muszą to jednak być perspektywy porywające, przemawiające do umysłów i serc, nie na miarę i wyobrażenia naszych czasów, lecz zgodne z tym co przyniesie XXI wiek.

I w tym miejscu powinnam właściwie poddać pod rozwagę Konferencji konkretne propozycje tych nowych form pracy w celu poprawy sytuacji. Niestety, nikt nie jest w stanie w tej chwili podać gotowych recept, rewelacyjnych rozwiązań, nowatorskich form i metod pracy partyjnej z młodzieżą, a więc także Zespół, który reprezentuję. Byłyby to kolejne deklaracje, prawdopodobnie bez pokrycia. W tym zakresie trzeba dużej rozwagi, nie czas na wysuwanie sztandarowych haseł, z których realizacji nie będziemy mogli się rozliczyć. Trzeba szybko i umiejętnie reagować na zmiany, jakie niesie życie. Przede wszystkim uporządkujmy nasze wewnątrzpartyjne sprawy, naprawmy to, co jeszcze da się naprawić, wyprostujmy to, co skrzywiliśmy, rozwiążmy problemy warunkujące poprawę sytuacji w kraju, a rozwiążemy problemy młodzieży. **Zaufajmy młodym, inspirujmy i popierajmy działania młodzieży, ale nie narzucajmy im rozwiązań, ani dróg, którymi mają iść. Bo nowe myślenie może powstać tylko wtedy, gdy nowi — młodzi stworzą nową platformę wymiany myśli.**

(wystąpienie na Wojewódzkiej Konferencji Partyjnej)

---

cza do młodej inteligencji, jest realizowany przez nas w skali światowej eksperyment lat osiemdziesiątych, polegający na gigantycznej kokieterii w stosunku do klasy robotniczej, w połączeniu z materialnym upośledzeniem inteligencji. Takiej sytuacji nie ma w żadnym cywilizowanym kraju, żeby inżynier zarabiał mniej od robotnika, a lekarz od wartownika straży przemysłowej. Dziwić się, że eksperyment skutkuje (m.in. pod postacią wyjazdów za granicę), byłoby kwestionowaniem pierwszego prawa dialektyki, że byt określa świadomość społeczną.

Trzeci czynnik ma charakter emocjonalny. Chcemy czy nie chcemy, świat za sprawą rozwoju środków masowej komunikacji, a także liberalizowania różnych granicznych zakazów, zmienia się w globalną wioskę, o której pisał McLuhan. Patriotyzm, zwłaszcza w tradycyjnym rozumieniu, traci na znaczeniu jako przesłanka motywująca do określonych zachowań. Naszym subiektywnym błędem wychowawczym jest to, iż nie zastąpiliśmy patriotyzmu walki i klęski — patriotyzmem pracy. Dowodów na słuszność tego sądu jest niezmierzona ilość. Przytoczę jeden szczególnie się rzucający w oczy. Jakiż to model kariery lansowany jest w naszej telewizji? Ano, jeden: w zespole rockowym. Paradoksalnie natomiast lekcją rzeczywistego patriotyzmu staje się często pobyt za granicą. Konfrontacja mitów z rzeczywistością oglądaną własnymi oczami, bez sosu propagandowego, dopiero na wiele spraw otwiera oczy.

Czwartym wreszcie czynnikiem wspomagającym procesy emigracyjne (a także ów zawstydzający handel) jest wymiar anomalii złotówkowo-dolarowej. Oczekiwanie, iż młodzież okaże się tak głupia, czy tak idealistycznie wychowana, iż nie dostrzeże i nie wyciągnie wniosków z

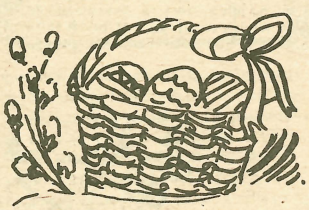

relacji złotówki do dolara — jest naprawdę typowo polskim chciejstwem, tym razem z pedagogicznego lamusa.

Bolejemy zwłaszcza (i słusznie) nad tym, że wyjeżdżają młodzi, dobrze wykształceni specjaliści. Wyjeżdżają nie tylko po to, żeby zarobić na mieszkanie (jest to, nawiasem mówiąc, droga najszybsza), ale także dla zdobycia określonego doświadczenia i wiedzy, tak jak w renesansowej Polsce wyjeżdżali szlacheccy synowie. Problem główny, moim zdaniem, w tym, by stworzyć wszelkie warunki i zachęty do powrotu. Nawiązując kontakt ze światem, młodzi nie zubożają Polski. To jeden z mitów bogo-ojczyźnianego modelu, z którego należy się uwolnić. Nauczeni doświadczeniem, prędzej ją dźwigną do przodu, niż poprzestając na zaściankowym trwaniu przy tym, co jest.

W zbliżonych i bardziej racjonalnych kategoriach proponowałbym także traktowanie pracy podejmowanej przy straganie z pietruszką i w firmie polonijnej. Dla dwóch przynajmniej powodów. Po pierwsze bowiem — abstrahowanie od faktu, ile się tu czy tam zarobi, jest stąpaniem po niebie. Marksistom i marksistkom to nie przystoi, ot, choćby ze względu na wnioski płynące z takiej dość fundamentalnej pracy jak „Kapitał". A po wtóre — przy tak powszechnym narzekaniu na niski etos pracy w Polsce, trudno nie dostrzec, iż przy tym przysłowiowym straganie, nie mówiąc o firmach zagranicznych, spółkach i przedsiębiorstwach z udziałem obcego kapitału, pracuje się ciężko, w sposób raczej zasługujący na szacunek niż pogardę.

Może to będzie wtręt trochę marginalny, ale podczas III Konferencji Teoretyczno-Ideologicznej sporo uwagi poświęcono stosunkom własnościowym w socjalizmie. Przykro mi bardzo, ale własność państwową w tej formule, jaką się u nas dotąd powszechnie realizuje, dość zgodnie uznano za relikt stalinizmu. Przeświadczenie, że jest ona najwyższą formą własności (przez co pośrednio praca w państwowej firmie byłaby szczególnie nobilitującą) odrzucono. Nie znaczy to, że postawiono na piedestał własność prywatną. Ale skierowano cały wysiłek intelektualny na poszukiwanie form, które u s p o ł e c z n i ł y b y dotychczasowe formy własności państwowej i spółdzielczej. Stąd te różne pomysły, od samorządności po udział kapitału zagranicznego. W dzisiejszej bowiem formie własność „państwowa" oznacza „niczyja". I dziwić się, że ludzie mają do niej taki stosunek, jaki mają, to znaczy nie rozumieć pewnych dość fundamentalnych cech psychicznych człowieka, za co już zapłaciliśmy w całym obozie państw socjalistycznych niemałą cenę. A sukces materialny, pożądany przecież przez człowieka, stał się w dzisiejszych warunkach pracy w państwowej firmie, niestety, nieosiągalny. Czy zatem, namawiając tak usilnie młodzież do pracy w firmach państwowych, chcemy ją skazać na niedostatek? Czy też może należałoby więcej energii zaangażować w takie przekształcenie własności państwowej, które ów sukces przybliżyłoby?

I jeszcze o jednej sprawie: o starzeniu się partii i rosnącej luce pokoleniowej w jej szeregach, a także kryzysie obecnego kształtu wszystkich organizacji młodzieżowych.

Zacznijmy od tego drugiego problemu. Myślę, że tow. Arendarczyk zgodzi się ze mną, iż fakt przynależności do organizacji młodzieżowych nie więcej niż 30 procent

(CIĄG DALSZY NA STR. 9)

ADAM SAWINA — Raba Wyżna:

— W ubiegłym roku zakończyliśmy kapitalny remont budynku w Rokicinach Podhalańskich, przeznaczając go na szkołę — z sześcioma salami lekcyjnymi, pomieszczeniami dla biblioteki i gabinetem lekarskim. Ze środków finansowych Śląskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych wyremontowano salę gimnastyczną i zaplecze socjalno-sanitarne Szkoły Podstawowej w Rabie Wyżnej. W Bielance wymieniono pokrycie dachu szkoły. Trwa budowa okazałej szkoły w Skawie — w ubiegłym roku osiągnięto stan zerowy budynku i wzniesiono część murów parteru. Będzie to placówka na miarę XXI wieku. Kontynuujemy przerwaną przed kilku laty budowę wielofunkcyjnego domu kultury w Rabie Wyżnej. Myślę, że za dwa lata oddamy pierwszą część tej placówki, tak potrzebnej w gminie o rozwiniętym ruchu kulturalnym. Wśród wielu imprez kulturalnych, które zorganizowaliśmy, na szczególną uwagę zasługuje „Święto poezji regionalnej". Oddano do użytku wyciąg narciarski oraz wyremontowano boisko sportowe w Rabie. Dużo w ubiegłym roku zrobiliśmy na drogach. Z budżetu gminnego zmodernizowano około 5 kilometrów dróg, a ze środków wojewódzkich — nowotarski Rejon Dróg Publicznych położył nawierzchnię asfaltową na kilku odcinkach. Mieszkańcy Skawy, Raby i Spytkowic w czynie społecznym zmodernizowali około 7 kilometrów dróg dojazdowych do pól. Oddano też do eksploatacji 3 nowe mosty. Wielką dla ludności sprawą było wykonanie sieci teletechnicznej w Skawie, Rokicinach i Rabie, co pozwoliło podłączyć dodatkowo 300 abonentów telefonicznych. Mamy zatwierdzony program gazyfikacji gminy.

Chcemy uczynić zasadniczy krok naprzód w dziedzinie ochrony środowiska. Na razie zakupiliśmy 6 kontenerów na surowce wtórne, by różnych odpadów nie wyrzucano do lasów, rzek i potoków. Przy pomocy Towarzystwa Wiedzy Powszechnej zorganizowaliśmy „studium ekologiczne", na którym pogłębiają wiedzę o ochronie środowiska nauczyciele, młodzież i kierownicy zakładów pracy. Gminna Rada Narodowa uchwaliła program ochrony środowiska naturalnego w gminie na lata 1989-1995.

Udaje się nam utrzymać dotychczasowy stan pogłowia bydła, nasi rolnicy uzyskują dobre wyniki w gospodarce łąkarskiej, znacznie wzrósł skup mleka. Aktywnie działająca spółka wodna doprowadziła do konserwacji urządzeń melioracyjnych na znacznym terenie. Realizacji zadań społeczno-gospodarczych sprzyja wzrastająca aktywność radnych GRN oraz rad sołeckich, które dzięki przekazywanym im środkom finansowym rozszerzają zakres swej samorządności i samodzielności.

CZESŁAWA RZADKOSZ — Łukowica:

— Największym sukcesem w minionym roku było zakończenie budowy i zasiedlenie bloku komunalnego o 18 mieszkaniach, które przeznaczyliśmy dla fachowców pracujących w gminie, głównie nauczycieli. Spółdzielczość ogrodniczo-pszczelarska zbudowała w Łukowicy pawilon handlowy dla potrzeb rolnictwa, zaopatrujący szczególnie sadowników. Jest on bardzo dobrze zaopatrzony. Wieś Łukowica zajęła drugie miejsce w konkursie o tytuł najczystszej miejscowości województwa. Rozpoczęliśmy budowę oczyszczalni ścieków oraz automatycznej centrali telefonicznej. Mieszkańcy Roztoki budują remizę strażacką i planują jej ukończenie w lipcu br. W Młyńczyskach przeprowadzono kapitalny remont Klubu Rolnika, a w Jastrzębiu — świetlicy wiejskiej. Druhowie z Ochotniczej Straży Pożarnej w Świdniku zmodernizowali salę widowiskową w swej remizie oraz przyjęli do remizy wiejską bibliotekę. Mieszkańcy Stronia własnym staraniem i nakładem zbudowali przystanek autobusowy, a WPK spełniło ich postulat, przedłużając linię autobusową do tej wsi. Spółdzielnia Usług Rolniczych przebudowuje cegielnię w Świdniku, która w maju lub czerwcu rozpocznie produkcję cegły palonej. Wiele robimy dla poprawy stanu dróg. W ubiegłym roku zbudowano lub zmodernizowano 18 kilometrów dróg gminnych i rolniczych, w tym położono 2,3 kilometra nawierzchni bitumicznej we wsi Jadamwola. Również na 2,5 kilometrowym odcinku drogi wojewódzkiej między Łukowicą a Stroniem położono asfalt. Rozpoczęto przebudowę drogi z Roztoki do Siekierczyny. Wywiązując się ze zobowiązań wobec społeczeństwa, zbudowaliśmy most na rzece Słomce w Berdychowie. Oczekujemy, że mieszkańcy tej wsi zrobią nasyp, bo bez niego z mostu nie można korzystać. Doprowadzono też sieć wodociągową do nowej szkoły w Berdychowie. W budynku szkolnym mieści się przedszkole, sala gimnastyczna, biblioteka z czytelnią i stołówka. Cały ten obiekt oświatowy zrealizowany został i sfinansowany przez Krakowską Spółdzielnię Ogrodniczo-Pszczelarską, która jest naszym kolonijnym kontrahentem. W Przyszowej zbudowano płytę boiska sportowego.

Notował ROMAN KOSTANECKI

DUNAJEC 3

EWA OSTROWSKA

Wiejski pejzaż

Wieś ma nas żywić zdrowo i dostatnio. Ku temu zmierza rządowy priorytet dla gospodarki żywnościowej. Tymczasem wieś jest daleko za miastem w standardzie życia. W obiegowych opiniach słyszy się, że na wsi żyje się łatwiej niż w mieście, ale statystyka mówi co innego.

Luksusowe i deficytowe

Kategorią bezpośrednio określającą warunki życia są dochody. Niedawno komisje sejmowe oceniały realizację uchwały Rady Ministrów dotyczącej warunków kształtowania życia na wsi. Z informacji rządu wynikało, że na „wszystkich odcinkach" nastąpiły korzystne zmiany, z dyskusji poselskiej zaś, że zmiany te są zbyt powolne, niewspółmierne do potrzeb i wieloletnich zaniedbań. Na przykład dochody nominalne ludności chłopskiej wzrosły w roku 1987 o 10,8 proc., natomiast dochody pracowników zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej o 21,9 proc. A więc tempo ich wzrostu było dwa razy wyższe. Jakby to dziwnie nie brzmiało, koszty utrzymania na wsi rosną szybciej niż w mieście. Najświeższe dane są takie: w roku ubiegłym koszty utrzymania w rodzinach pracowników zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej oraz emerytów i rencistów wzrosły o ok. 60 proc., natomiast w rodzinach chłopskich (bez spożycia żywności z własnego gospodarstwa) o ok. 64 proc.

Poziom dochodów rzecz jasna decyduje o poziomie i kierunku wydatków. Właśnie z badań GUS widać wyraźnie podział pomiędzy wsią i miastem w wyposażeniu gospodarstw domowych. **Telewizor kolorowy posiada co trzecia rodzina pracownicza i co siódma emerytów i rencistów, ale tylko co dziesiąta rodzina robotniczo-chłopska i co jedenasta chłopska. Pralkę automatyczną ma co druga rodzina pracownicza, ale co piąta robotniczo-chłopska i emerycka oraz co szósta chłopska** (stosunkowo najmniej zróżnicowane jest wyposażenie w samochody).

Fot. MICHAŁ SROKA

Wieś się buduje, że aż rośnie serce i bierze zazdrość. Tymczasem statystyka znów oblewa kubłem zimnej wody: w 1987 roku zasoby mieszkaniowe w miastach wzrosły o 2 proc. a na wsi o 1,2 proc. To, co w mieście jest oczywiste, czyli bieżąca woda, na wsi często jest jeszcze luksusem. — *Wyposażenie mieszkań wiejskich w wodociągi* — mówiła poseł Gertruda Orlacz — *stanowi w aktualnych warunkach podstawowy punkt oceny standardu zasobów mieszkaniowych. A jest to wskaźnik dwa, trzy razy niższy na wsi niż w mieście. Wiadomo, że w całej Polsce nie ma dobrej wody, ale na wsi (dane GUS) woda jest po prostu zła w ponad 50 proc. studni publicznych i w ponad 60 proc. studni przydomowych. Złą wodę ma ponad 6 proc. wodociągów publicznych i prawie 30 proc. wodociągów lokalnych, na wsi z powodu złej wody odpowiednie służby sanitarne nie dają pozwolenia na otwarcie dziecińców i przedszkoli.*

Co szkodzi zdrowiu?

Okazuje się, że wieś zdrowiu wcale nie sprzyja. Umieralność w wieku 0-44 lat jest wyższa na wsi niż w mieście, duże różnice zaznaczają się na niekorzyść wsi w przedziale wieku 1-14 lat, wyższe są wskaźniki umieralności kobiet wiejskich.

I oto proszę: wielce niebezpieczna dla zdrowia i życia jest praca na wsi. Gospodarka żywnościowa zaliczana jest do gałęzi produkcji o najwyższych wskaźnikach wypadków przy pracy (dopiero potem jest budownictwo, gospodarka komunalna, górnictwo). O ile liczba wypadków śmiertelnych przypadających na 100 tys. zatrudnionych dla całej gospodarki wynosi 10,5, to w rolnictwie wskaźnik ten sięga 15-16.

Jakie są tego powody?

Bardzo prozaiczne. Mówi Główny Inspektor Pracy — Jan Laskowski:

— *Rolnik jest wielozawodowcem: agronomem, hodowcą zwierząt, kierowcą, operatorem maszyn, weterynarzem, chemikiem, a do tego wszystkiego nie jest właściwie przygotowany. Stąd wypadki w kontaktach z maszyną, zatrucia, alergie, zakażenia, choroby odzwierzęce. Powodem wielu chorób jest także brak odzieży ochronnej. Nie ma butów do pracy w rolnictwie, a używanie przez długie lata gumiaków to prosta droga do reumatyzmu.*

— *Często wizytuję wiejskie ośrodki zdrowia* — to już refleksja posła Stanisława Macikowskiego — *ale brak tam lekarzy (od 1983 nie tylko nie przybyło na wsi dentystów, ale ubyło 120).* Zdaniem posła sytuację może poprawić inny system płac, co wreszcie ma miejsce. Zdaniem posłów chodzi także o to, by lekarze podejmujący pracę w wiejskich ośrodkach zdrowia mieli kontakt z placówkami naukowymi i klinikami, by mogli rozwijać się profesjonalnie, by ich kariery zawodowe nie grzęzły na wiejskich drogach. Chodzi także o motywacje do podejmowania pracy na wsi. Choćby takie, że kierownik ośrodka pozwala lekarzowi stomatologowi na wykorzystanie gabinetu do pracy prywatnej. Tak już podobno bywa.

Do szkoły pod górkę

Wszystko zaczyna się w szkole. Dziecko wiejskie ma do szkoły *pod górkę*. Szkoły zbiorcze miały być dobrodziejstwem, a są utrapieniem, nie licząc się z realiami zrobiono więcej złego niż dobrego. Dzieci dojeżdżają do szkół w trudnych warunkach (codziennie dojeżdża 540 tys. dzieci), nauczyciele też, a szkoła przestała być ośrodkiem życia oświatowo-kulturalnego na wsi.

W roku szkolnym 1986/87 tylko 6,1 proc. nauczycieli wiejskich miało wykształcenie wyższe, a w następnym już tylko 5,5 proc. Rodzice nie zabiegają o rozwój intelektualny dzieci, nauczyciele tego rozwoju nie zapewniają i w rezultacie na studia idzie tylko 5 proc. młodzieży wiejskiej.

Do szkoły daleko, do sklepu też (do miasta jeździ się nawet po chleb). Teatr i kino to już „światła wielkiego miasta". Korzystanie z usług to prawdziwa gehenna. Cóż więc pozostaje? Opuścić wieś?

— *Dochodzę do wniosku* — mówiła poseł Gertruda Orlacz — *że wieś uszczuplona o osoby w wieku produkcyjnym, osoby z wyższym wykształceniem, o kobiety w wieku zamążpójścia, zmniejsza swoją sprawność produkcyjną i organizacyjną. Możliwości poprawy warunków życia na wsi maleją.*

Co więc będzie z priorytetem?

Przyjęte w Sejmie projekty dwu ustaw: o funduszu socjalnym wsi i o ubezpieczeniach rolników, stworzą niewątpliwie lepsze warunki bezpieczeństwa socjalnego. Ale rzecz rozegra się przecież nie w sferze socjalnej, ale w sferze produkcyjnej. Chodzi o wodę dla wsi, telefony, gazyfikację, maszyny, środki produkcji i środki ochrony roślin. A także bazę przechowalniczą. Bo pomiędzy polem a stołem ginie 30 proc. produkcji rolnej. Ile więc trzeba dać, żeby wziąć? Filozofia priorytetu dla gospodarki żywnościowej jest właśnie taka: *żeby wziąć — trzeba dać*. Nie chodzi rzecz jasna o gesty, ukłony i prezenty. Także i te w postaci wysokich dotacji do żywności. Chodzi o politykę, która od tych dotacji wreszcie nas uwolni.

Proszę o głos

Jestem emerytem i zamiłowanym wędkarzem. Proszę, byście podnieśli alarm w sprawie bezmyślnego niszczenia naszej przyrody — bezcennego skarbu, ginącego w zastraszającym tempie.

W dniu 23 lutego poszedłem na spacer i oto co zobaczyłem nad Dunajcem: tuż za wałem ochronnym, naprzeciw parku Wojska Polskiego, za pomocą pił mechanicznych wycina się starodrzew zasadzony tu w końcu lat pięćdziesiątych. Drzewa te pełniły bardzo pożyteczną rolę w ochronie terenów nadbrzeżnych przed erozją powodziową. A dodatkowo — były częścią „zielonych płuc" Nowego Sącza.

W ubiegłym roku na wiosnę wycięto część starodrzewu wzdłuż betoniarni (w kierunku południowym), a teraz zabrano się do zniszczenia reszty. Robotnicy wykonujący tę pracę nie powiedzieli mi, kto wydał polecenie wycięcia kilkudziesięciu drzew. Udałem się więc do Zarządu Ligi Ochrony Przyrody przy ul. Kunegundy. Dwie młode panie po wysłuchaniu mojej relacji powiedziały, że coś na ten temat słyszały; o ile im wiadomo decyzję wydał Wydział Ochrony Środowiska Urzędu Miasta, wobec czego LOP jest całkowicie bezradny.

Rzeka Dunajec, kiedyś pełna wszelkich ryb, o krystalicznej wodzie (nie mówiąc o żyjących nad nią wydrach i piżmakach oraz o stadach zajęcy i nawet sarnach) — jest obecnie śmierdząca i brudna. W miejscu gdzie był wartki nurt — woda ledwo się sączy korytem zdewastowanym bandycką eksploatacją żwiru. Brzegi Dunajca, Popradu i Kamienicy zawalone śmieciami, żelastwem, szkłem i opakowaniami po różnych preparatach chemicznych. I jakby na ironię wszędzie koparki, spychacze i inny ciężki sprzęt ryjący, niszczący resztki przyrody — przerażająca lekkomyślność!

ZBIGNIEW DOBROWOLSKI
Nowy Sącz

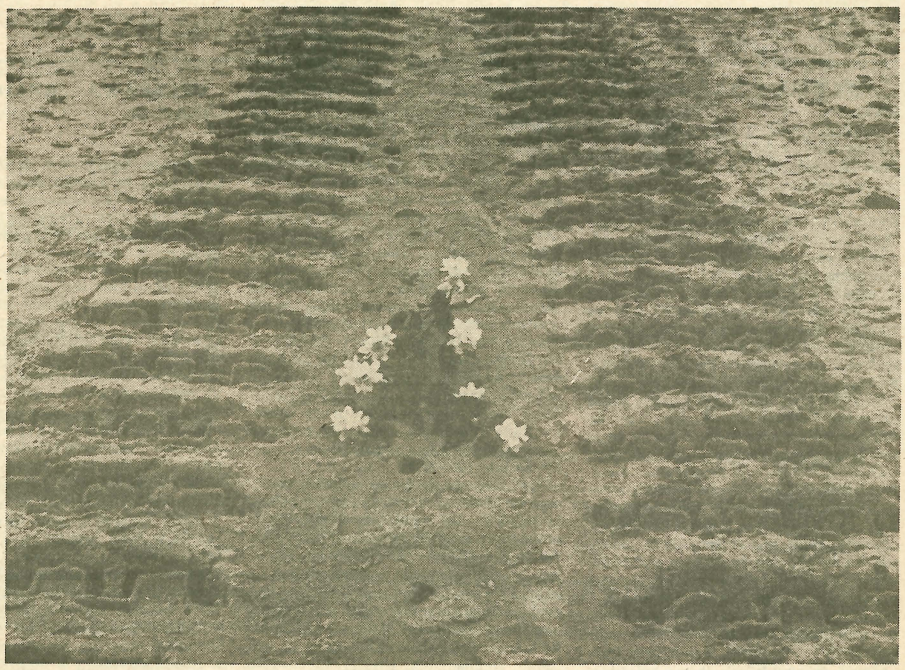

Fot. JERZY ŻAK

JAN COFAŁKA

SEJMOWE PLOTKI I ANEGDOTY

Kancelaria Sejmu, a dokładnie jej Biuro Prac Sejmowych, przygotowuje, na piśmie, prowadzącemu posiedzenie Sejmu marszałkowi, dokładny scenariusz obrad, co czasem staje się przyczyną zabawnych zdarzeń. Kiedyś na przykład ówczesnemu marszałkowi, Janowi Dembowskiemu (był marszałkiem w latach 1952-1956) przeciąg uniósł jedną kartkę, która pofrunęła w kierunku ław poselskich. Marszałek urwał w pół słowa i poczekał cierpliwie aż mu pracownik wspomnianego biura podał kartkę, nie tę wprawdzie, którą porwał przeciąg, lecz rezerwową, po czym zbliżył ją do oczu i oświadczył: „zarządzam 10 minutową przerwę".

Dodać trzeba, że marszałek zwracając się do sali zawsze stoi. Jedynie prof. Dyzma Gałaj, który był marszałkiem zaledwie rok (najkrócej z dotychczasowych) debiutując w tej funkcji w lutym 1971 r. siedział za stołem. Mówiono potem, że pomylił Sejm z radą naukową swego instytutu.

Wróćmy do scenariuszy obrad. Marszałkowi Czesławowi Wycechowi, który jak dotąd, pełnił najdłużej w okresie powojennym tę funkcję, bo przez 15 lat, zdarzyło się kiedyś przełożenie dwóch kartek, w rezultacie czego powołano nowego ministra bez odwołania jego poprzednika. Marszałek miał zwyczaj częstego chrząkania, co nie zawsze było należycie przyjmowane. Szczególnie wówczas, kiedy np. chrząkając deklarował w imieniu narodu niewzruszoną przyjaźń czy też trwałość naszych najlepszych uczuć do zaprzyjaźnionego narodu.

Owże marszałek również kiedyś, a miało to miejsce w trakcie burzliwej i polemicznej dyskusji, ogłosił zamiast przerwy *„dziesięć minut obrad w przerwie"*, z czego oczywiście rozgrzani debatą posłowie skwapliwie skorzystali.

Niedawno zaś wspomniani pracownicy Kancelarii Sejmu, czujnie rozglądający się po sali, uratowali marszałka R. Malinowskiego przed daremnym wzywaniem posła Józefa Bareckiego na mównicę, spostrzegając jego nieobecność na sali obrad. Chociaż miał on za chwilę wystąpić ze sprawozdaniem z prac komisji, którą kieruje, a które to sprawozdanie miało być przedmiotem debaty sejmowej. Trzeba więc było ogłosić przerwę w obradach potrzebną dla odszukania posła, który — jak się potem okazało — pomylił godziny rozpoczęcia obrad i spokojnie w domu szlifował swoje wystąpienie. Przerwa ta weszła do sejmowych annałów pod nazwą „przerwy Bareckiego".

Do sejmowych legend weszło również tzw. głosowanie A. Werblana. W naszym Sejmie obowiązują trzy sposoby głosowania: „za", „przeciw" oraz „wstrzymał się". Posłowie jednak, szczególnie w przypadku niepopularnych głosowań, wymyślili jeszcze inne „sposoby głosowania". Na przykład wychodzenie z sali na czas głosowania, z czego korzystają niektórzy posłowie związkowi, którym czasem nie pasuje głosować ani tak, ani siak.

Można też, jak to czynili w ubiegłej kadencji niektórzy posłowie — głównie bezpartyjni — być na sali, ale podparłszy rękoma głowę udawać w momencie głosowania, że się „myśli"... z zamkniętymi oczyma. Można, jak to czynią niektórzy przy głosowaniu z pomocą urządzenia do liczenia głosów, nie podnosząc ręki głosować „przeciw", naciskając w odpowiednim momencie przycisk do głosowania. Wówczas to na tablicy z wynikami ujawnia się kilku tzw. odważnych, tyle że prowadzący marszałek nie może ich zidentyfikować (w Sejmie obowiązuje bowiem zasada jawnego głosowania), przez co musi unieważniać wynik i zarządzać ponowne przeprowadzanie głosowania.

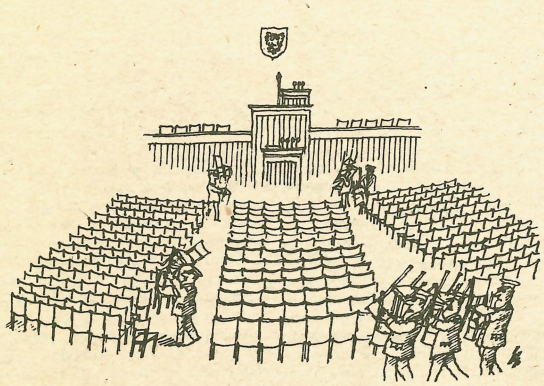

A mówiłem, że opozycja będzie siedzieć Rys. Zbigniew Ziomecki

Najbardziej jednak perfidną metodę „głosowania", a właściwie niegłosowania, ale z zaznaczeniem swej obecności, wypracował był w poprzedniej kadencji Andrzej Werblan. Otóż potrafił on w momencie tzw. „trudnego głosowania" stać w drzwiach oddzielających ławy poselskie od kuluarów. Kto chciał, to go widział, jak z tajemniczą miną, lub błąkającym się po twarzy uśmieszkiem — przyglądał się, jak jego koledzy głosują.

Wielki udział w powstawaniu sejmowych plotek i anegdotek mają dziennikarze, wyłapujący każde potknięcie i przejęzyczenie, chociaż — sami nie wolni są od tego. Do dziś głośny jest np. lapsus „Dziennika Ludowego", który przed laty napisał: *Wszedł na salę uroczyście powitany członek prezydenta Krajowej Rady Narodowej, ob. Roman Zambrowski.* Oczywiście miało być członek Prezydium Krajowej Rady Narodowej.

Ulubieńcem dziennikarzy, o czym do dziś wspominają starsi przedstawiciele tego niezbyt długowiecznego zawodu, był Józef Cyrankiewicz, wieloletni premier, człowiek niezwykle błyskotliwy, niekonwencjonalny i dowcipny, potrafiący pięknie przemawiać, często odrywając się od przygotowanego tekstu. Często więc komplikował pracę dziennikarzy, szczególnie sprawozdawców PAP, którzy przecież muszą przekazać jak najszybciej tekst wystąpienia premiera do prasy. Otóż pewnego razu premier J. Cyrankiewicz wygłaszał w Sejmie ważne przemówienie, w którym, jak to się potocznie mówi, „niszczył" ówczesnego kanclerza RFN, K. Adenauera, za jego kolejne napastliwe wobec Polski wystąpienie. J. Cyrankiewicza tak poniosła polemiczna werwa, iż w pewnym momencie, oderwawszy się od przygotowanego tekstu zawołał: *A tak w ogóle, panie kanclerzu federalny, to my mamy w Polsce takie przysłowie: nie strasz, nie strasz...* Posłowie doskonale znający zakończenie tego powiedzonka, jak to się mówi — ryknęli śmiechem. Nie śmiał się tylko dziennikarz PAP, który miał przygotować to wystąpienie do druku. Przerażony podbiegł do J. Cyrankiewicza tłumacząc, że nie przystoi drukowanie tego, co zostało powiedziane. Jeśli nie wypada — oświadczył spokojnie premier — to zaraz coś wymyślę. W następnym dniu odpowiedni fragment wystąpienia premiera, opublikowany w gazetach, brzmiał: *A w ogóle, panie kanclerzu federalny, to niech pan wie, że jest u nas takie przysłowie: strachy na Lachy!*

Obecny premier, przytłoczony różnymi dokuczliwymi problemami, mniej ma okazji do żartowania, lecz jego osoba jest przedmiotem żywego zainteresowania posłów. W okresie zmiany rządu krążyły w kuluarach Sejmu, między innymi, następujące dwie anegdotki. Pierwsza o tym, że pewien dziennikarz spytał poprzedniego premiera, tuż po wyborze nowego, co sądzi o swoim następcy. Zb. Messner miał ponoć odpowiedzieć, że „nieważne jest, kto skąd przychodzi, ważne z czym przychodzi". Druga o tym, jakoby poseł Wojciech Siemion, spotkawszy w kuluarach po inauguracyjnym exposé M. Fr. Rakowskiego swoją koleżankę po fachu, aktorkę Elżbietę Kępińską (żonę premiera), miał ją spytać wzbudzając zakłopotanie wieloznacznością pytania: „i jak się Pani czuje po premierze"?

Ostatnio jednak „królem" anegdot jest osoba ministra przemysłu, M. Wilczka. Najwięcej anegdot wiąże się z jego nazwiskiem. Oto jedna z nich: „cały rząd, łącznie z premierem Rakowskim, musiał się zaszczepić. W obawie przed pokąsaniem przez Wilczka".

Wanda Łomnicka-Dulak

Wiklinowa skarga

Smutnie-szumnie, smutnie-wiotko
skarży się wiklina,
że tak biedna, taka słaba
a wiatr ją przygina
i ani się równać może
wonią z akacjami
i nikt jej jarzębinowo
nie odzieje koralami,
a gdy wiosną rzeka zbierze
w wielką powódź śniegi,
urodę wikliny zmywa
i chłoszcze o brzegi;
nawet jesień choć tak piękna
zabiera jej liście,
zimą wiąże lód — kajdany
i mrozu okiście;
długo jeszcze tak wiklina
strugę żalu lała,
aż za przyczyną człowieka
koszykiem została.

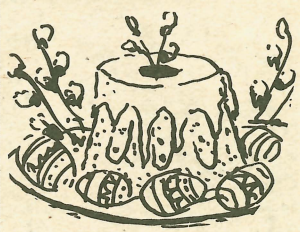

Marian Janiga

Przedwiośnie

Zima wymiata z zimowego sąsieka
resztki śniegu

Przebiśniegi i pierwiosnki
zaczynają kwiecisty korowód

Zawilce, kaczeńce, przylaszczki
wtórują im czym prędzej

Skowronek lotem sputnika
wzbił się w błękit
rozpoczynając transmisję
wiosennych arii.

Nie wyglądał na skłonnego do zwierzeń. Gdy stanął w drzwiach mego pokoju, zachowywał się wręcz agresywnie. — Dlaczego ta pani w sekretariacie nie chce mnie załatwić?! Co to znaczy — nie? Ja przecież zapłacę. Ile zażądacie!

Perswadowałam: to naprawdę niemożliwe. Takich rzeczy się nie praktykuje.

Słuchał początkowo z niedowierzaniem, wreszcie jakby coś się w nim załamało. — Ja muszę — powiedział już cicho, a w jego głosie dosłyszałam ton bezradności. — Ja m u s z ę . . .

Opadł na wskazane przeze mnie krzesło. Drżącymi palcami rozpiął płaszcz, szarpnął węzeł krawata. I zaczął opowiadać. Początkowo chaotycznie, zacinając się i robiąc długie pauzy, potem coraz bardziej wartko.

... Nie był już młodym chłopakiem, gdy poznał Halinę . Miał za sobą technikum elektryczne, odsłużył wojsko, parę lat przepracował w państwowej firmie, wreszcie założył własny punkt usługowy. Powodziło mu się dobrze, nawet bardzo dobrze, niejedna miała ochotę wydać się za niego, ale on jakby kobiet nie dostrzegał. Aż do tamtego dnia, gdy Halina przyszła z żelazkiem do naprawy. Od razu go zauroczyła, szalał z radości, gdy dała się zaprosić na kawę. Po paru miesiącach zagrano im marsza Mendelssohna.

Elżbieta Glinka

Ogłoszenie

Halina pracowała w sklepie. Miała dostęp do modnych ciuchów, zawsze pięknie się ubierała, był dumny, że inni mężczyźni zazdroszczą mu żony. Dbała o dom, coraz to przybywał jakiś mebel, serweta, wazonik. Gotowała świetnie. Aż się dziwił, że wystarcza jej na to wszystko pieniędzy. Cieszył się, że taka gospodarna. Był ogromnie szczęśliwy.

Pierwszy zgrzyt nastąpił wówczas, gdy miał się urodzić Daniel. Halina na prawo i lewo kupowała wspaniałe ubranka, i to tylko w komisach, z komisu musiał być wózek i kocyki. Na jego nieśmiałe perswazje, że po co tak się szastać, skoro niemowlę szybko ze wszystkiego wyrośnie, odpowiadała ze złością: — M o j e dziecko musi mieć wszystko najlepsze! — Ustępował, nie chcąc drażnić ciężarnej żony. Zresztą, chyba ich na to stać, przecież nie żądała więcej pieniędzy niż dotychczas...

Po Danielu urodziła się Dorota, potem jeszcze Darek. Halina brała na dom coraz większe sumy. Uważał to za zrozumiałe, pięć osób to nie dwie. Tylko czy trzeba było akurat teraz wymieniać komplet mebli w stołowym albo kupować video? — Trzeba! — twierdziła Halina. — Dzieci nie powinny się wstydzić, że ich koledzy mają, a my nie.

Pewnego dnia, gdy Halina pojechała z dzieciakami na wieś do dziadków, zadzwoniła jej koleżanka z pracy. Pytała, czy nie mogliby wreszcie oddać jej tych sześćdziesięciu tysięcy, które miała dostać pół roku temu. Bardzo jej są potrzebne.

Nie przyznał się, że nic nie wie o pożyczce. Nazajutrz wręczył kobiecie dług. Gdy Halina wróciła ze wsi, powiedział jej o telefonie. Umknęła wzrokiem w bok, coś bąknęła pod nosem, że niby zapomniała, że nic się nie stało...

A później... Później potoczyło się wszystko jak lawina: telefony od znajomych i od nie znanych mu osób, wizyta kierowniczki sklepu, w którym Halina pracowała, wreszcie — sądowy nakaz zapłacenia ponad pół miliona złotych. Niemal każdego dnia dowiadywał się o kolejnej nie spłaconej przez żonę pożyczce, manku, nie uiszczonych ratach. Rychło wyczerpał wszystkie rezerwy na swym koncie. Zaczął się lękać dzwonków do drzwi, telefonów, listów. Błagał żonę: — Powiedz, czy to już wszystko, czy nikomu więcej nie jesteś nic winna? — Ona odpowiadała byle co. Już wiedział, że kłamie. Owszem, mógłby odejść, ale ciągle kochał Halinę, no i co stałoby się z dziećmi?

Po kolejnej awanturze domowej, zakończonej szlochami Haliny i solennymi przyrzeczeniami poprawy, przez dwa-trzy miesiące był spokój. Odetchnął, zdołał nawet wpłacić znów kilkadziesiąt tysięcy do PKO.

Wczoraj listonosz przyniósł pismo komornika.

Nie, nie chce się rozwodzić. Brał przecież żonę na złe i dobre chwile. Ale postanowił przeciąć ten koszmarny ciąg spadających na niego jak grom z jasnego nieba długów do spłacenia. Dlatego przyszedł do redakcji.

— Chciałem... chciałem dać do gazet ogłoszenie, że nie odpowiadam za długi mojej żony.

TADEUSZ STACH

TURYSTYKA GÓRSKA

Turystyka górska: jaka była, jaka jest i jaka być powinna. Tak sprecyzowany temat dla krótkiego, wywoławczego ledwie szkicu, mógłby być parozdaniową wypowiedzią; wydaje się bowiem, że problem ten nie jest zbyt skomplikowany dla tych spośród nas, którzy górską drogę wnikliwiej obserwowali w powojennym trzydziestoleciu. Jako przewodnik tatrzański i podhalański, pełniący swe powinności w ciągu dwudziestu paru lat, patrzę na rzecz całą poprzez liczne doświadczenia. Powołuję się na nie z chęci usprawiedliwienia tez, które pragnę przedłożyć, tez nie zawsze — bardzo rzadko raczej — przyjmowanych za udokumentowane i warte realizacji. Współczesność bowiem jest przede wszystkim wygodna i dlatego przekorna, a także podporządkowana powszechnej i wszechwładnej modzie.

Polska turystyka górska rodzi się w połowie XVI stulecia, w momencie wejścia Beaty Łaskiej z towarzyszącym jej orszakiem w Tatry. Faktów wcześniejszych nie znamy, o późniejszych historia również milczy, jeśli nie liczyć siedemnastowiecznych rekonesansów poszukiwaczy skarbów. Turystykę tamtego czasu wziąć by trzeba w cudzysłów, posługując się racją dzisiejszą. Cudzysłów trzeba odjąć dopiero przy nazwiskach: Stanisława Staszica, Ludwika Zejsznera i Seweryna Goszczyńskiego, którzy w pierwszej połowie XIX stulecia wycieczkują już rzetelnie, uzbrojeni nie tylko w zdawkową ciekawość. To był właściwy początek, a ogniwa nie tracą się od tego czasu; Maria Steczkowska przygotowuje drogi Janocie i wielu innym, by wreszcie mógł pojawić się Witkiewicz. Z nim zaś i za nim plejada tych, którzy tworzyli równocześnie profil wycieczkowania turystycznego i taternickiego.

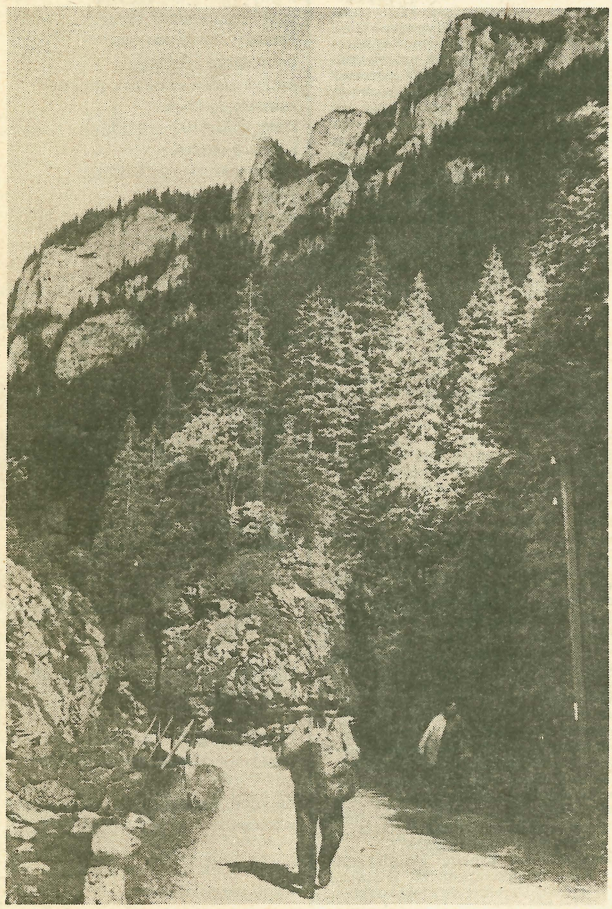

Chodzili wiedzeni ciekawością twórczą, dla potrzeb nauki, dla tematu publicystyczno-literackiego, plastycznego, muzycznego wreszcie. Potrzeba rekreacji była znikoma, proporcjonalna bowiem do epoki bezstresowej, nieprzecywilizowanej, nie stawiającej człowieka w bezpośredniej konfrontacji z molochem ruchu i techniki. Mieli dużo czasu. W góry trzeba długo i uciążliwie dojeżdżać, po podróży trzeba było odpocząć, umówić się z przewodnikiem, uważnie wybrać trasę i rozpocząć kilkudniową włóczęgę po dzikich jeszcze często terenach górskich.

Gdzież mogła być mowa o rehabilitacji zdrowotnej lub przećwiczeniu mięśnia sercowego, bliskiego stanu niewydolności? O przećwiczeniu mięśni nóg, skazanych dzisiaj na tak małą aktywność? O przewietrzeniu płuc, zduszonych spalinami, siarką i fluorem?

Rozkoszowano się przyrodą, kontemplowano krajobraz, interesowano się wszystkimi zjawiskami, cząstkami górskiego świata. Turyści tamtego czasu wracali do swych domowych pieleszy bogatsi o cały świat wielorakich doznań estetycznych, o sporą pożywkę wiedzy.

Zmiany przyszły po pierwszej wojnie światowej. Wtedy zaczęły procentować niedawno nabyte stresy, obciążenia cywilizacyjne. Ale były to zmiany tak jeszcze nikłe, że trudno je zestawić z turystyką po 1945 roku. Przypatrzmy się nieco bliżej temu okresowi. Widzimy wybuch haseł demokratyzacji życia społecznego i równego podziału dóbr, a także rewolucyjnie narastające uprzemysłowienie. Wraz z nim i towarzyszącymi mu zjawiskami, budzi się chęć krótkiego choćby pobytu w górach. Pragnienia te nie zawsze mają podłoże racjonalne, często są wynikiem zachcianki, mody, snobizmu. Wzrasta stopień zagrożenia życia ludzkiego w górach, co w tej sytuacji jest zrozumiałe.

Baza gospodarcza, infrastruktura ośrodków turystycznych, ich uzbrojenie i ogólne przygotowanie, pozostawały nienaruszone w swych starych zasobach; mowy nie było o właściwej recepcji narastającej masy ludzkiej.

Przyszły lata trudne. Do Poronina i Zakopanego wysyłano długie pociągi specjalne, napełnione ludźmi z Koszalina, Białegostoku, Kielecczyzny. Byli wśród nich tacy, którzy po raz pierwszy w życiu jechali pociągiem... Cóż można powiedzieć o ich intelektualnym i psychofizycznym, a także ekwipunkowym przygotowaniu do górskiej wycieczki? Jechali piętnaście, dwadzieścia godzin, by w Poroninie i Zakopanem spędzić po pięć, sześć godzin.

Stracony czas, czas nie wykorzystany dla celu, któremu go poświęcono. Oczywiście, były wyjątki potwierdzające regułę. Mogą się przy tym budzić wątpliwości, czy rzeczywiście był to czas stracony. Jeśli jednak dopuścimy myśli o pewnych korzyściach, to będą one zbyt wątłe, nie znaczące za wiele w życiu jednostki i społeczeństwa.

Nadeszło zjawisko, które nazwaliśmy turystyką masową. A to przecież, w jakimś bezgorączkowym zamyśle, miała być turystyka powszechna. Takie zaś imię zobowiązuje do stateczności w zamyśle, uwarunkowanym przesłankami pedagogicznymi, społeczno-zdrowotnymi, kulturalnymi czy wreszcie gospodarczymi.

Minął na szczęście ten zły czas; co prawda jego skutki w znacznej mierze odczuwamy po dzień dzisiejszy. **Całkowicie zawiódł doskonale przemyślany model organizatora turystyki w zakładach pracy.** Ten organizator miał być przede wszystkim pedagogiem, nauczycielem, doradcą, miał zdobywać podstawową wiedzę psychoekologiczną. W praktyce stał się organizatorem środków transportu i, niestety — po stokroć niestety — niewykwalifikowanym przewodnikiem. Wiele kart zapisać by trzeba rozważaniami z tej dziedziny.

Tymczasem kształt teraźniejszości woła o inne swoje profile i proporcje na przyszłość. Turystyka górska w swym założeniu musi być ścisłym wynikiem aktualnej społecznej potrzeby. Musi, albowiem w innym przypadku weźmie rozbrat z rzeczywistością. Ta społeczna potrzeba jest wieloraka i nader skomplikowana. Turystyka górska w służbie społecznej, to przede wszystkim profilaktyka i rehabilitacja w zakresie zdrowia fizycznego i psychicznego. Mnożą się choroby cywilizacji; niektóre z nich są już niestety powszechne w naszym kraju, a jesteśmy na najlepszej drodze do bez mała egzotycznego w Polsce schorzenia: atrofii mięśni nóg. Generalną przesłanką dla rozważań w tym aspekcie może być problem grupy hutników, którzy przyjechali do Zakopanego na niedzielny, ośmiogodzinny odpoczy-

KACIK pptk. Glińskiego

Armaturowy gang

Zbysław K. — kierowca z radomskiego oddziału przewozów towarowych PKS wyruszył wczesnym rankiem z rodzinnego miasta do Zakładów Armatur w Jordanowie, wioząc odlewy żeliwne wyprodukowane w Fabryce Łączników. Nie była to jego pierwsza podróż służbowa w tym kierunku. Jordanowskie zakłady znał już jak własną kieszeń, miał tu zaprzyjaźnione osoby, z którymi gawędził o tym i owym. Po przyjeździe na miejsce podstawił samochód do rozładunku, a sam udał się do kantorka magazyniera Władysława C. i serdecznie uścisnął jego spracowaną dłoń. Po krótkiej, zdawkowej rozmowie magazynier wykręcił znany im obu numer telefonu i niebawem przyszedł Jan S., który na co dzień wózkiem widłowym po terenie zakładu się poruszał, więc miał dostęp do wszelkich stanowisk produkcyjnych i montażowych. Na pytanie magazyniera: — *Jak stoimy?* — Jan S. odparł krótko: — *Załatwione.* Zbysław S. sięgnął do kieszeni i odliczył kilka pięciotysiączków. Jan S. przeliczył pieniądze, gdyż nawet gentelmani muszą dbać o swe interesy, i część z nich przekazał koledze.

Samochód o radomskiej rejestracji opuszczał teren zakładu późnym popołudniem. Wartownik straży przemysłowej zatrzymał go do rutynowej kontroli. Z przepustki podpisanej przez magazyniera Władysława C. wynikało, że na skrzyni ładownej znajdują się puste pojemniki. Wartownik przejrzał kilka i zauważył w jednym z nich wyroby jordanowskiego zakładu. Na pytanie, co to ma znaczyć — kierowca odpowiedział oczywiście, że nic o „lewym" towarze nie wie i że wszystko jest jakimś nieporozumieniem. Niebawem zjawili się funkcjonariusze miejscowego Komisariatu MO i przejęli sprawę. Nie wierzyli zbytnio w nieświadomość kierowcy. Fachowcy z zakładu liczyli dość długo to, co miało nieoficjalnie wyjechać w szeroki świat. Były tam korpusy grzejnikowe i wodne, złączki, wrzeciona, dławiki i inne drobniejsze detale, wartości kilkuset tysięcy złotych. Zbysław K. trwał nadal przy swoim zdaniu. Zmienił je dopiero wówczas, gdy z Radomia powróciła wysłana tam niezwłocznie grupa dochodzeniowa, która w garażu znajdującym się na terenie posesji zatrzymanego kierowcy znalazła drewnianą pakę, a w niej armatury i oprzyrządowania tyle, że wystarczyłoby na dłuższą działalność dobrze prosperującego punktu usługowego.

W tej sytuacji Zbysław K. oświadczył, że to co znaleziono w garażu jest lokatą kapitału, gdyż czasy teraz niepewne. Przyznał też, że jego znajomość z Janem S. i Władysławem C. rozpoczęła się już parę miesięcy temu. Oni potrzebowali pieniędzy, mieli możliwość „zorganizowania" trudno dostępnych elementów armatury, on dostrzegł w tym szansę wzbogacenia. Pierwsze próby były raczej nieśmiałe: starannie ukrywano towar, wywożono go w niewielkiej ilości. Apetyt zaczął wzrastać w miarę powodzenia. Mechanizm działania zorganizowanej grupy funkcjonował prawie bezbłędnie. Zbysław K. telefonicznie informował swoich kontrahentów o planowanym terminie przyjazdu. Ich zadaniem było przygotowanie towaru. Starał się o to przede wszystkim Jan S., który jeżdżąc po całym zakładzie podkradał z taśm montażowych lub z magazynów interesujące go elementy. Władysław C. towar ten gromadził skrzętnie w jednym z pustych pojemników. Załadunek i wypłata trwały kilka chwil. Aż system ten zawalił się pewnego feralnego dnia.

Grupa dochodzeniowo-śledcza Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, rozplątująca zawiłości tej sprawy wykryła, że Jan S. i Władysław C. to tylko drobne trybiki całej machiny przestępczej. Dochodzono po nitce do kłębka, aż w końcu ustalono, że centralnymi postaciami przestępczego podziemia byli Paweł N. i Józef S.

nek. To ludzie ciężkiej, fizycznej pracy. Czy korzystnym wypoczynkiem będzie dla nich rozłożenie się na trawie i leżenie bez ruchu, jako przeciwieństwo do ich codziennych zajęć? Teza profilaktyczna brzmi: korzystnym odpoczynkiem dla tych hutników będzie odpowiednio dobrany i realizowany spacer po ścieżce górskiej. Fizyczne zmęczenie na tej ścieżce jest właśnie korzystnym i koniecznym odpoczynkiem. Owszem, płuca pracują jak pracowały, pot ścieka z czoła, ale ta swoista „praca" na górskiej ścieżce pojawia się w zupełnie innych warunkach. Jest to inny rodzaj i rytm wysiłku dokonywanego w krajobrazie i czystym powietrzu, sprzężonego z równoczesnym odbieraniem wrażeń estetycznych, silnie kształtujących psychikę.

Przesłanka ta prowadzi nas do dziedziny, którą popularnie nazywa się „ułatwianiem życia". Ułatwianie codziennego życia poprzez automatyzację lub inne przydatne w tym względzie czynniki, jest ze wszech miar wskazane, ale w miejscu stałego pobytu, mieszkania i pracy. Natomiast tak zwane „ułatwianie" wycieczkowania i górskiej rekreacji jest zjawiskiem wysoce szkodliwym. Z powodów wyłożonych powyżej nie można niwelować lub redukować trudu pieszego wycieczkowania górskiego. Cel powoływania do życia górskich parków narodowych, cel mówiący o profilaktyce rekreacyjnej i rehabilitacyjnej, nie może wiązać się z rozrywkowym programem lunaparków i wesołych miasteczek.

W tej kwestii jeszcze jedno stwierdzenie. Otóż piękno i radość zdobyte własnym wysiłkiem, za pewną określoną cenę w postaci osobistego trudu, jest wartością trwałą, pozostaje długo w pamięci. A ten osobisty trud jest najbardziej korzystną formą regeneracji sił.

Trudno się zatem zgodzić na urządzanie górskich terenów rekreacji tak, jak urządza się obszar codziennego życia. Trzeba jednak wyraźnie zaznaczyć, że bezpośrednia baza wyjściowa w teren rekreacyjny, a więc dla przykładu Zakopane, musi być bazą nowoczesną i rzetelnie komfortową, w pełni i nawet ponad zwykłą miarę utechnicznioną, dobrze i nowocześnie urządzoną w dziedzinie komunikacji i wszystkich usług.

Tatrom natomiast dajmy pokój; nie strzyżmy ich, nie przycinajmy, nie drutujmy na obraz i podobieństwo siedlisk ludzkich z końca XX wieku. Mówi Adam Asnyk:

Wielka symfonia turni, hal i borów
Nie znosi ludzkich trefień i postrzyżyn,
Nie znosi skrzydeł przyprawnych z tektury,
Gdy sama cała wzlatuje do góry.

... Każda z okolic mieć musi
Swój wdzięk właściwy i wyraz odrębny,
Więc Tatrom trzeba bydła, a nie strusi...

...Wielkość przyrody
Nie potrzebuje bielidła i różu...

Jakże łatwo, z jakąż niefrasobliwością zamieniliśmy Asnykowe bielidło i róż, skrzydła tekturowe i strusie — na stal, żelazo, liny, asfalt, ba! nawet na restaurację kategorii lux! Te cztery tony szkła, zebrane w jednym roku na obszarze od stacji meteorologicznej do Suchej Przełęczy, to żałosny, końcowy efekt tzw. „ułatwionej" turystyki.

Wszelkie ułatwienia w bazie rekreacyjnej, są utrudnieniami dla społecznie pożytecznego, górskiego wycieczkowania.

Turystyka górska winna mieć zadanie dydaktyczne. Jeśli realizacja programu wycieczki ma w swym efekcie dać należyte korzyści, to musi uwzględniać zarówno sprawne przejście wysoką percią, granią i szczytem, jak również wszystkie szerokie wartości krajobrazu i wszystkie treści krajoznawcze napotkane na trasie wycieczki. Tatry wyrastają z ziemi podhalańskiej. Tę ziemię należy ukazać turystom zdążającym w Tatry. Ukazać historię, ciągłość tradycji, jej współczesną twórczą obecność. Tu właśnie jest miejsce dowodzenia, że tradycja o tyle jest potrzebna, o ile tworzy wartości nowe. Rozwój gospodarczy Podhala, żywotność kultury pasterskiej określającej góralszczyznę, opieka państwa ludowego nad substancją zabytkową, mecenat tego państwa w poczynaniach pomnażających dobra kulturowe, to są wytyczne dla realizatorów przyszłościowych, szczegółowych programów turystyki górskiej.

Spotykamy się niestety nader często z jakże wąskim w swej treści twierdzeniem, że każdy wypoczywa w taki sposób, jaki mu odpowiada. To zupełnie tak, jakby współczesny świat miał iść niekontrolowanymi drogami, zależnymi od widzimisię jednostek. Jakość wycieczkowania górskiego jest dopóty osobistą sprawą człowieka, dopóki nie przynosi szkody zarówno jemu samemu, jak i społeczeństwu. Jednostkowe normy etyczne, jednostkowe sądy, nie zawsze są w gromadnym współżyciu zaczynem praw i powinności grupy społecznej.

Starożytni Rzymianie wspinający się na sycylijską Etnę do czasu, gdy objął ją w swoje posiadanie syn Zeusa i Hery, boski kowal, Hefajstos, uczyli swoją młodzież: *rupes sunt itinera virtutis* — skały są ścieżkami do dzielności. Jakże pożytecznie by się stało, gdybyśmy my, w dwa i pół tysiąca lat po stosowaniu tej maksymy, zastanowili się, do jakiej sposobnej dla społeczeństwa dzielności winny prowadzić nasze skalne ścieżki?

Te cząstkowe rozważania o dawnym, współczesnym i przyszłym kształcie polskiej turystyki górskiej, niech staną się zachętą do twórczej zadumy, do przekształcenia naszych wygodnych i modnych sądów o tej turystyce. Najlepiej zrobić to nad Zadnim Stawem Gąsienicowym, albo w uroczysku pod Waksmundzkim Wierchem, albo — za zgodą dyrekcji Parku w Waksmundzkiej Świstówce. O ile naturalnie mądrość, fantazja, wola i mięśnie nóg dopuszczą nas tam.

Ludźmierz
maj 1976

XXXI Zjazd
Związku Podhalan

Zdjęcia: MICHAŁ SROKA

Zajmowali oni stanowiska już bardziej eksponowane, więc łatwiej im było zorganizować siatkę ludzi, którzy dostarczali im odpowiedni asortyment towarów. Oprócz Jana S. w skład owej siatki wchodzili także Józef K., Jan G. i inni, którzy przystali na propozycję „współpracy" z Pawłem N. Centralną dyspozytornię szef urządził sobie w pomieszczeniu, gdzie składowano najprzeróżniejsze przedmioty, przede wszystkim zaś butelki po napojach chłodzących. Ludzie szefa znosili skradzione wyroby do jednego z pojemników, a on dbał oczywiście o to, by zbytnich zapasów tu nie gromadzić. Trefny towar przerzucał do biurowca, gdzie urzędował Józef S. Wędrowali więc różni „umyślni" taszcząc w torbach ciężkie elementy armatury, czasem też udawało się coś przewieźć wózkiem Jana S. Zadanie Józefa S. ograniczało się do przetransportowania zdobycznych elementów do swej piwnicy w bloku, gdzie urządzono skład mogący z powodzeniem konkurować z niejednym sklepem.

Jednym ze stałych bywalców „sklepu" prowadzonego przez Pawła N. i Józefa S. był Zdzisław G., który w jednej z podjordanowskich wiosek prowadził prywatny zakład wodno-kanalizycyjny. Któregoś dnia, całkiem niespodziewanie, zjawił się u niego jakiś człowiek — niby ze zleceniem usługi, jednak zachowujący się dziwnie. Wypytywał właściciela zakładu, czy aby nie ma on trudności zaopatrzeniowych. Temat był chwytliwy. Zdzisław G. począł narzekać, że brakuje tego i owego i że największe kłopoty związane są z dystrybucją zaworów grzejnikowych. Przybysz, którym później okazał się Paweł N. orzekł że tej bolączce można by zaradzić. Słowo do słowa, panowie doszli do porozumienia. Jeszcze tego wieczoru udali się pod dom Józefa S. i z piwnicy wynieśli parę worków tak poszukiwanych przez prywaciarza towarów. Szlak dostaw wytworów jordanowskiej armatury został przetarty. Zdzisław G. jeszcze kilkakrotnie podjeżdżał pod wiadome mu miejsce i zawsze przywoził to, czego potrzebował.

Jego samochód znano już na tyle, że właściciel mógł sobie pozwolić na wysłanie po towar swojego pracownika, gdy sam był w niedyspozycji. Przestrzegano tylko jednej zasady: odbiór towaru mógł się odbywać tylko późnym wieczorem.

Zasady tej nie dało się zastosować w przypadku kolejnego hurtowego odbiorcy — Henryka W. z Radomia, który oficjalnie był zaopatrzeniowcem jednej ze spółdzielni, zaś nieoficjalnie pośrednikiem sprzedaży skradzionych przez jordanowską szajkę towarów, na czym wychodził finansowo całkiem nieźle. Odbiorcami dostarczonych przez niego do Radomia przedmiotów byli trzej „fachowcy", którzy chodzili na „fuchy". Henryk W. z racji tego, iż był przyjezdnym, musiał odbierać dostawy o różnych porach. Paweł N. i Józef S. wymykali się wówczas z pracy i taszczyli towar w siatkach na zakupy, by nie wzbudzać podejrzeń.

Podobne przywileje miał Zbigniew S. z Sanoka, który pracował także w charakterze zaopatrzeniowca. I on wszedł pewnego dnia w komitywę z Pawłem N. Zaczęło się od wspólnej wódki, którą przezorny zaopatrzeniowiec zawsze w przepastnej teczce woził ze sobą. Ustalono zasady dysrybucji i cenę. Część zakupionych w Jordanowie wyrobów Zbigniew S. rozprowadzał na swoim terenie, część zaś trzymał u siebie, traktując jako stale procentujący kapitał. Pewnego dnia, przewidując podróż służbową w Beskidy, zamówił rozmowę telefoniczną ze swoim przyjacielem, Pawłem N. Usłyszał jednak, że żądanego rozmówcy nie ma, gdyż przebywa już na państwowym wikcie. Sanocki zaopatrzeniowiec wpadł w popłoch. Błyskawicznie wziął służbowy samochód, zapakował wszystko co zostawił na gorsze czasy, wywiózł i wyrzucił do głębokiego, górskiego potoku. Nie na wiele to się zdało, bowiem za kilka dni i Zbigniewowi S. przyszło się rozliczyć przed oficerem śledczym z nieoficjalnego procederu.

Zasięg działania jordanowskiej grupy przestępczej był coraz szerszy. Wybiegał daleko w Polskę. Najnowszym rynkiem zbytu była Łódź. Nie zapomniano również o własnym, podhalańsko-beskidzkim regionie. Elementy jordanowskiej armatury szły do taksówkarza, kierownika sklepu, prywaciarzy. Małe kradzieże przerodziły się w duże, zorganizowane. Aż przyszła ta nieszczęsna wpadka.

Prokuratura Wojewódzka opracowała akt oskarżenia o przestępstwo w zorganizowanej grupie. Bo też zasięg i zakres działania tej grupy nie był mały. Wielka też była, bo ponad 3,5-milionowa, wartość zagarniętego mienia. Póty dzban wodę nosi...

Nasza wieś

Oddajemy dziś do rąk Czytelników nową kolumnę „Dunajca". Wspólnie z Nowosądeckim Ośrodkiem Postępu Rolniczego pisać na niej będziemy o sprawach, jakimi wieś żyje na co dzień, znajdą się także fachowe porady udzielane przez specjalistów.

W Nowosądeckiem jest około 60 tysięcy gospodarstw o powierzchni nie większej niż 2 hektary użytków rolnych, zaś średnia powierzchnia gospodarstwa w województwie niewiele przekracza 3 hektary. Warto więc się zastanowić, jak z tego niedużego areału uzyskać możliwie największy plon. Na wsi mieszka prawie 435 tysięcy osób, a więc 64 procent obywateli województwa. Mieszka — co wcale nie znaczy, że żyje tylko z roli. Około 80 tysięcy z nich pracuje w przemyśle, usługach, handlu itp., a wieś stanowi dla nich jedynie sypialnię i... stołówkę. Ta właśnie sytuacja, obok warunków klimatycznych i ukształtowania terenu, stanowi o specyficznym charakterze rolnictwa w naszym regionie. Niezbyt bogata sieć usług rolniczych, wątła baza przetwórstwa płodów rolnych (nie mylić z przetwórstwem owoców i warzyw, bo to mamy na przyzwoitym poziomie) utrudniają szerzenie postępu w rolnictwie nowosądeckim. Kierownictwa NOPR nie może zadowalać fakt, że 261 specjalistów z Ośrodka prowadzi rocznie 408 wdrożeń, 5733 demonstracje i pokazy, a bezpośrednią współpracą obejmuje prawie 3,5 tysiąca gospodarstw. Chodzi przecież o dotarcie do każdego rolnika, który może i który chce podnieść poziom produkcji rolnej w swoim gospodarstwie.

Zwracamy się więc do wszystkich mieszkańców wsi oraz tych, którzy mogliby swoimi przemyśleniami, uwagami, spostrzeżeniami na temat rolnictwa i życia wsi podzielić się z innymi — aby pisali do redakcji „Dunajca" lub bezpośrednio pod adresem Nowosądeckiego Ośrodka Postępu Rolniczego — 33-335 Nawojowa 1. Postaramy się, aby żaden poruszony przez Czytelników problem nie pozostał bez odpowiedzi.

Przypominamy:

Po nietypowej tegorocznej zimie, iście wiosennej, rozpoczyna się prawdziwa wiosna, a z nią intensywne zajęcia rolnicze. Wprawdzie wielu rolników od miesięcy wykonuje już wiosenne prace polowe, jednak sądzimy, że zarówno im, jak i tym, którzy w pole dopiero wyjść zamierzają, może być przydatne kilka rad i przypomnień.

◆ **Uprawa gleby.** Są to zabiegi mające na celu zapewnienie roślinom możliwie najlepszych warunków rozwoju i wydania wysokich plonów. Jeżeli jesienne zabiegi uprawowe, polegające głównie na wywiezieniu obornika i wykonaniu orki, zostały wykonane (a warunki ku temu były doskonałe) — wiosenne przygotowanie pola sprowadza się do bronowania, kultywatorowania ewentualnie bronowania przed siewem. Celem zabiegów uprawowych wykonywanych wiosną jest zmniejszenie parowania wody, szybsze ogrzanie się gleby, pobudzenie do kiełkowania chwastów i ich zniszczenie. Zabiegi te łączy się z wysiewem nawozów mineralnych i dokładnym wymieszaniem ich z glebą. Większość gatunków roślin wymaga starannego przygotowania gleby do siewu. Jednak dla niektórych, na przykład owsa, ważniejszy jest wczesny siew niż staranne przygotowanie pola.

◆ **Wapnowanie.** Chociaż okres wiosenny nie jest najodpowiedniejszy do wykonywania tego zabiegu — jeżeli to tylko możliwe, należy go jednak przeprowadzić. Zakwaszenie gleby w naszym województwie jest bardzo duże, a dostęp do nawozów wapniowych w odpowiednim terminie — niestety ograniczony. Tymczasem wapno w decydującym stopniu wpływa na urodzajność gleb, poprawia ich strukturę i wykorzystanie składników mineralnych, a także — przez zobojętnianie kwasów glebowych — stwarza dobre warunki rozwoju roślin.

Wapnując gleby wiosną, należy przestrzegać następujących zasad: w pierwszej kolejności wysiewać wapno na gleby najbardziej zakwaszone; wymaganą dawkę wapna zmniejszyć o 30 procent i stosować raczej wapno węglanowe; dokładnie wymieszać wapno z glebą przy użyciu brony i kultywatora; wapnować pole pod rośliny wrażliwe na zakwaszenie, to jest pszenicę, jęczmień, wykę, bobik, kukurydzę.

◆ **Siew nasion.** Do siewu należy używać nasion zdrowych , dobrze wykształconych, o dużej sile kiełkowania. Przed siewem nasiona należy zaprawić preparatami grzybobójczymi, gdyż jest to jedyny skuteczny sposób zapobieżenia chorobom w początkowych fazach rozwoju roślin. Zaprawianie zbóż zabezpiecza je przed chorobami, których objawy występują dopiero podczas kwitnienia. Do zaprawiania zaleca się *Zaprawę nasienną T, Zaprawę „Oxafun", Zaprawę „Baytan"*. Do zaprawiania nasion roślin strączkowych i buraków — *Dithane M 45* lub *Zaprawę nasienną T*.

◆ **Pobudzanie sadzeniaków.** Na 2-3 tygodnie przed planowanym sadzeniem ziemniaków — sadzeniaki należy starannie przebrać i przesortować. Umieścić je w workach (najlepiej raszlowych) i przenieść do pomieszczenia o temperaturze 10 °C. Nie potrzeba tam światła. W oczkach ziemniaków utworzą się kiełki długości 2-3 milimetrów. Po wysadzeniu do gleby takie kiełki szybko się rozwijają, co znacznie przyspiesza wschody. Można też podkiełkowywać ziemniaki w skrzynkach, w pomieszczeniu o temperaturze 15-18 °C, przy dostępie światła przez co najmniej 12 godzin na dobę, w ciągu 4-5 tygodni przed sadzeniem. Jeżeli nie ma takich możliwości, lepiej ziemniaki tylko pobudzić, gdyż źle wykształcone, wiotkie kiełki nie przyspieszają rozwoju roślin ziemniaka, a wręcz go hamują. Pobudzenie sadzeniaków przyspiesza wschody o 7-10 dni, przyczynia się do szybszego wzrostu i rozwoju systemu korzeniowego, co wiąże się z lepszym pobieraniem składników pokarmowych, przyspiesza dojrzewanie bulw i zwiększa ich plon.

◆ **Pielęgnacja zbóż ozimych.** Zabieg ten ogranicza się do bronowania zbóż krzewiących się wiosną (pszenica, pszenżyto), a także wszystkich gatunków, które słabo przezimowały. Wraz z bronowaniem należy wykonać nawożenie azotowe.

◆ **Pielęgnacja użytków zielonych.** Polega ona na wyrównaniu i uporządkowaniu powierzchni użytków i rozrzuceniu kretowisk. Należy usunąć również wszelkie przedmioty utrudniające koszenie — gałęzie, kamienie itp. Przez bronowanie lekką broną należy usunąć suchą trawę, która hamuje wzrost traw, utrudnia wykonanie prac pielęgnacyjnych, zmniejsza równomierność rozsiewu nawozów mineralnych. Zastosować pierwszą dawkę nawozów azotowych.

mgr inż. MARIA DANEK

Kolumnę „Nasza wieś" Nowosądeckiego Ośrodka Postępu Rolniczego redaguje Elżbieta Glinka

Czystość w zagrodzie

Nowosądecki Ośrodek Postępu Rolniczego zorganizował w roku 1988 konkurs pod hasłem „Czystość w zagrodzie". Jego celem było zwiększenie efektywności pracy doradczej w zakresie: poprawy warunków zoohigienicznych w pomieszczeniach inwentarskich; lepszej pielęgnacji zwierząt, dbałości o czystość pomieszczeń inwentarskich i pomocniczych; utrzymania ładu i porządku w obejściach gospodarskich.

W konkursie wzięło udział 682 rolników.

Gospodarstwa w poszczególnych gminach oceniała komisja z udziałem przedstawicieli danego urzędu gminy oraz Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych, doradcy terenowego NOPR i pracownika Rejonowego Zespołu Doradztwa Rolniczego NOPR. Oceny dokonano dwukrotnie w ciągu roku — w terminach: 1 — 15 czerwca oraz 15 października — 15 listopada.

Główną uwagę zwracano na: wentylację, dezynfekcję (bielenie) pomieszczeń inwentarskich; właściwe dla danego gatunku zwierząt oświetlenie tych pomieszczeń; przeprowadzenie we właściwych terminach korekcji racic u bydła i owiec; utrzymanie czystości i porządku w pomieszczeniach pomocniczych oraz czystości urządzeń do doju; prawidłowe składowanie i przechowywanie obornika i gnojówki; właściwe przechowywanie i konserwację maszyn i urządzeń rolniczych; estetyczne zagospodarowanie zagrody wiejskiej (zieleńce, krzewy ozdobne, utwardzenie podwórza, ogródki kwiatowe). Podczas każdej kontroli każdy z tych czynników był punktowany w skali 1-5.

Rolnicy, którzy zajęli trzy pierwsze miejsca w każdej gminie, zostali nagrodzeni bonami towarowymi uprawniającymi do nabycia środków do produkcji rolnej w sklepach GS na kwotę 50 tysięcy złotych. Podsumowania konkursu i wręczenia bonów towarowych dokonuje się na gminnych spotkaniach rolników współpracujących z NOPR.

Pierwsze takie podsumowanie odbyło się **w gminie Gorlice.** Zwycięzcami konkursu byli tam: **Wiesław Rówiński** z Ropy (I miejsce), **Bolesław Janik** z Bystrej (II) i **Józef Miarecki** z Ropicy Dolnej (III). Ponadto, ze względu na niewielkie różnice punktowe między pierwszą trójką a następnymi, wyróżniono również dyplomami: **Stanisławę Ludwinę** z Ropicy Dolnej, **Annę Kłapacz** z Ropy i **Janinę Kosibę** z Kobylanki.

Uczestnikom spotkania wyświetlono film video, nakręcony w gospodarstwach, które zajęły pierwsze miejsca.

Konkurs organizowany jest również w roku bieżącym — objętych nim będzie około 700 gospodarstw.

mgr inż. MARIA PÓŁTORAK

W kuchni

Święta za pasem, a wraz z nimi nawał prac domowych. Pragnąc nieco ulżyć zaharowanym gospodyniom, podajemy przepis na ciasto drożdżowe, które „robi się samo". Jest to porcja na dwie nieduże blaszki.

Składniki: 0,5 kg mąki, 4 dkg drożdży, kostka margaryny lub masła, łyżka oleju, szczypta soli, szklanka cukru, 3 jajka, szklanka mleka, cukier waniliowy, skórka starta z cytryny, rodzynki.

Drożdże z cukrem ucieramy na gładką masę, do niej wbijamy całe jajka. W mleku rozpuszczamy margarynę, gorące wlewamy do masy drożdżowo-jajecznej, dodajemy sól. Dosypujemy mąkę, dodajemy przyprawy zapachowe. Wszystko razem mieszamy na gładką masę (ma konsystencję śmietany), dodajemy rodzynki.

Blaszki lub prodiż smarujemy tłuszczem. Wlewamy ciasto i zostawiamy na co najmniej 7 godzin w temperaturze pokojowej, przykryte ścierecżką. Wstawiamy do średnio gorącego piekarnika, a po około godzinie wyjmujemy pyszny placek. Można to ciasto przygotować rano, a piec po południu, można przygotować wieczorem, a piec rano.

Kredyty

Trudno dziś sobie wyobrazić gospodarstwo rolne, które nie korzystałoby z kredytów bankowych na swą działalność i rozwój. Dlatego zasady przydzielania kredytów oraz wysokość ich oprocentowania żywo interesują rolników. Poprosiliśmy zastępcę dyrektora Oddziału Wojewódzkiego Banku Gospodarki Żywnościowej — **Mieczysława Maślankę** o krótką informację na ten temat.

— Banki Spółdzielcze udzielają kredytów na rozwój produkcji rolnej. Z kredytów tych mogą korzystać rolnicy indywidualni, zespoły rolników indywidualnych, spółki, osoby fizyczne — o ile tylko mają warunki do prowadzenia produkcji. Przedmiotem kredytów mogą być wszystkie gospodarczo uzasadnione nakłady dotyczące produkcji, a więc między innymi — zakup ziemi, budowa, remonty bądź adaptacje obiektów produkcyjnych, zakup maszyn i urządzeń rolniczych, zakup środków do produkcji itp.

Warunkiem udzielenia kredytu jest spełnienie dwóch zasadniczych wymogów: efektywne, zgodne z przeznaczeniem wykorzystanie środków oraz zapewnienie terminowego zwrotu kredytu wraz z należnymi odsetkami. Terminy spłat dostosowane są do okresu amortyzacji inwestycji czy maszyn lub cyklu produkcyjnego.

Kredyt może być udzielony do wysokości ponoszonych nakładów, pomniejszonych o udział środków własnych. Przy tym udział środków własnych osoby biorącej kredyt nie może być miejszy niż 20 procent, a w przypadku młodych rolników — 5 procent wysokości planowanych nakładów.

Kredyty na produkcję rolną oprocentowane są w wysokości od 27 do 31 procent. Wysokość oprocentowania określają zarządy Banków Spółdzielczych, a podstawowymi kryteriami ustalania stawki procentowej jest sytuacja ekonomiczna osoby ubiegającej się o kredyt oraz sytuacja finansowa banku.

Podane przeze mnie stawki oprocentowania dotyczą również kredytów zaciąganych po dniu 21 marca 1988 roku. Od tego bowiem dnia obowiązuje tzw. zasada zmienności oprocentowania. Polega ona między innymi na tym, że kredyt jest oprocentowany według obowiązujących (ustalonych przez prezesa Narodowego Banku Polskiego) stawek procentowych na dany okres. Mogą więc być podwyższane lub obniżane. Oprocentowanie jest wypadkową wielu uwarunkowań ekonomicznych — między innymi wysokości oprocentowania wkładów oszczędnościowych, które stanowią jedno z głównych źródeł pokrycia działalności kredytowej banków.

Adam Ogorzałek

Maraton

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

które dawałoby coś ludziom w prezencie, ale **demokracji w prezencie dać nie można**, bo akurat to ludzie sami, na swój użytek, muszą organizować i *sobie dla siebie* tworzyć demokratyczny ład".

Producent niejadalnych orzeszków, spece od niesprawnych telefonów i wycinania drzew, dyspozytorzy autobusów i ruchu kadrowego — stworzyli „sobie i dla siebie" taki ład, że trudno go naruszyć. Nie jest to ład ani demokratyczny, ani sprawny. W tym punkcie oceny wypowiadane przy „okrągłym stole" są zbieżne z odczuciami powszechnymi. Nie wiadomo jednak, czy coś praktycznego z owej wspólnoty ocen wyniknie, gdyż potrzebna jest jeszcze zgodność w zaprojektowaniu dróg wyjścia z kręgu niemożności. A w tej dziedzinie — im dyskusja bardziej szczegółowa, tym więcej pojawia się rozbieżności. Toteż nie dziwi, iż całą okładkę miesięcznika „Konfrontacje" zdobi jeden wielki pytajnik.

Znak zapytania — graficzny symbol naszych dni.

★

Jednym nurtem płyną nowe myśli, drugim — stara bylejakość. Zewsząd słychać głosy zniecierpliwienia: — *Za długo rozmawiają. Niczego konkretnego nie ustalili. Zbyt późno zaczęli.*

Nie podzielam tych opinii. Śledzę obrady „okrągłego stołu" z uwagą i jeśli miałbym stawiać jakieś zarzuty jego uczestnikom, to w żadnym przypadku nie dotyczyłyby one przewlekłości sporów czy braku konkretnych decyzji. Jest to bardzo trudny maraton, który na dodatek pokonać trzeba z ciężkim bagażem na grzbiecie. Tempo też jest ważne, ale stokroć ważniejsze — by metę osiągnęli wszyscy. Bez sensu byłby bowiem ten cały wysiłek, gdyby — ze strachu, zarozumialstwa, braku wyobraźni, lub z jakiegoś innego powodu — choćby grupka zawodników zeszła z trasy przed czasem.

Część widowni kibicuje tylko swoim *drużynom*, ale chyba większość patrzy na te zmagania obiektywnie. Ta większość nie wybaczyłaby dezercji nikomu. Niech to trwa nawet długo, ale niech się wreszcie wyjaśni, ile kto jest wart i co proponuje.

Druga kwestia budząca wątpliwości: dlaczego dopiero teraz? Odpowiedź wydaje się prosta: nie byliśmy gotowi wcześniej. N i k t nie był gotów.

W tym punkcie opozycja wypomina wprowadzenie stanu wojennego. Ale czy w ogóle byśmy dziś rozmawiali, gdyby 13 grudnia nie zatrzymano lawiny ? Czy gdyby wówczas zabrakło w Polsce realistycznej, suwerennej siły, zdolnej własnymi rękami zamrozić konflikt, to czy na pewno doszedłby do władzy Gorbaczow? Dwa lata wcześniej był Afganistan. Wałęsa powiada, że Breżniew za długo rządził. Zgoda — za długo. Ale przecież rządził! Tylko lekkomyślny mógł ignorować ówczesne realia.

Pamiętam pewien wiec nad Dunajcem. Staliśmy w deszczu w Parku Strzeleckim. Padło pytanie:

— *Lechu, co zrobimy, gdy oni tu przyjdą?*

— *Nie martwcie się. Będziemy im wkładać kwiatki do luf!*

Na deskach muszli koncertowej tuż za Przewodniczącym stali liczni doradcy (niemal wszyscy są dzisiaj przy „okrągłym stole"), był obecny aktyw regionu i miejscowi działacze „Solidarności". Wszystkim się podobały te kwiatki w lufach... Nikt nie sięgnął po mikrofon, by choćby stonować ową polityczną nierozwagę.

Gdy robimy rachunek błędów wzajemnych, gdy wypominamy sobie dawne grzechy — proszę pamiętać, kto wówczas nie dorósł do odpowiedzialności. Niedźwiedź jeszcze żył i miał silne pazury. Żeby Polska była Polską, ktoś m u s i a ł przerwać niebezpieczne igraszki. Choć wielu się one podobały i ochoczo je oklaskiwano.

Dobrych rozwiązań wówczas nie było. Kto miał olej w głowie, odrobinę wyobraźni i poczucie odpowiedzialności za kraj — musiał wybrać **mniejsze zło**.

Pisząc, że nie byliśmy wcześniej gotowi, mam na uwadze wiele okoliczności. Także bliższe i dalsze otoczenie. Także pychę nowego ruchu społecznego. Także sytuację w obozie władzy.

Dużo wody musiało upłynąć, byśmy pojęli, że żyć trzeba razem, razem myśleć i nie trwonić energii na próby wyeliminownia rywala ze sceny.

Czy obecnie wszyscy to już pojęli? — oto jest pytanie ...

Trzeci zarzut formułowany pod adresem uczestników warszawskiej debaty dotyczy braku konkretów. Rzeczywiście, oczekiwania były i są większe. Ale czy nie nadmierne? Jak zestroić tę całą różnorodność, by współbrzmiała?

Wspomniałem wcześniej o bagażu, jaki dźwigają nasi maratończycy. Co się nań składa? Przede wszystkim — nieufność. Oczywiście wzajemna. Następnie — nacisk oczekiwań tak zwanej *bazy* każdego z ugrupowań. W tej dziedzinie nikt przy okrągłym stole nie ma komfortu psychicznego, nikt nie może sobie pozwolić na pełną swobodę. Widać to zwłaszcza w wieczornych wypowiedziach telewizyjnych: nie zawsze są to relacje z pracowitego dnia, bywają — adresowane do swoich zwolenników małostkowe manifestacje odrębności. Gdyby radzono bez presji swojej klienteli, pewnie tempo byłoby szybsze przy małych stolikach. Ale z kolei dla powodzenia całego przedsięwzięcia — a tylko to się naprawdę liczy — ogromnie ważne jest, byśmy wszyscy mieli wgląd w istotę rzeczy. Nasza obecność w tym maratonie jest faktem — słuchamy, oceniamy — wiedzą to tamci rozmówcy, liczą się z naszymi odczuciami, nie mogą sobie pozwolić na noszalancję. Miliony oczu wlepionych w telewizory to wielka siła, sprawiająca iż debata została ucywilizowana. Każdy, choćby drobny fałsz, każdy wybryk nietolerancji czy choćby głuchoty na argumenty inaczej myślących — jest postrzegany na widowni.

Dzięki temu spektaklowi telewizja przeżywa swoje wielkie dni — wprowadza nas w środek wydarzeń. Ale i my zostaliśmy dzięki temu postawieni w nowej roli — staliśmy się kontrolerami i sędziami. A to znaczy: więcej niż świadkami.

Dwa czynniki — poniekąd obiektywne — ciążą dodatkowo. Pierwszy to opór materii: stan gospodarki, zadłużenie państwa, marna jakość organizacji życia publicznego, bylejakość pracy, apatia. W obliczu takich faktów najpiękniejsze hasła tracą atrakcyjność, są sprowadzane na ziemię. Dlatego coraz mniej demagogii w debacie, coraz więcej realizmu.

I drugi czynnik, który nie ułatwia negocjacji: właściwie nigdy w takiej skali nie uprawialiśmy sztuki rozmawiania publicznego z inaczej myślącymi. Trzeba było — niemal z dnia na dzień — przejść od obwieszczania swojej woli, swoich postanowień i żądań, do cierpliwego przekonywania. Jeszcze od czasu do czasu odzywa się stary nawyk autorytatywnego komunikowania swych przekonań, ale przeważa już nowy rodzaj kultury obcowania z konkurentami. Nie wszyscy są jednakowo pojętnymi uczniami w szkole pluralizmu, widać wszakże jak na dłoni, kto szczerze dąży do kompromisu, a kto szuka okazji, by dołożyć przeciwnikom.

Wiedza na ten temat pozostanie w naszej pamięci na długo. Podejrzewam, że gdyby dzisiaj kompletowano „drużyny" do okrągłego stołu, niektórzy — co zapalczywsi zawodnicy poszliby w odstawkę.

Ostatnia trudność dodatkowa: pokusa wytykania sobie złych doświadczeń przeszłości. Jest to broń obosieczna. Nie powinno się jej używać, skoro postanowiono koncentrować energię na wspólnym dążeniu do lepszej przyszłości. Ale widocznie wczorajsze zadry są jeszcze tak mocno odczuwane, że nie można ich zmilczeć.

Ten bagaż naszych maratończyków jest oczywiście jeszcze większy. Wspominam o nim, by uzmysłowić, jak ogromnego samozaparcia od wszystkich uczestników dialogu wymaga każdy kolejny krok. Od początku nielekko się im biegnie. A ostatnie kilometry będą jeszcze trudniejsze. Chyba że wszystkie drużyny zrzucą część balastu, z którym wystartowały.

Czy to jednak możliwe? jakże pozbyć się nieufności — nacisku radykałów — złych nawyków — wczorajszego wizerunku wroga? Czy możliwe, by z etapu walki przejść rychło do jakiegoś choćby minimum współdziałania?

Świat mówi, że nie mamy innego wyjścia. Że jesteśmy na siebie skazani. Ale cudze miary rzadko pasują do Polaków.

★

Bez megalomanii mogę przypomnieć, że „Dunajcowy stół" (wrzesień 1988 — styczeń 1989) był próbą szukania porozumienia w skali lokalnej. Ludzie o różnych poglądach — jeszcze przed X Plenum KC — znajdowali wspólny język, ale kiedy wezwaliśmy instytucje życia publicznego do wspólnego stołu, odzew jest mizerny. Każdy sobie rzepkę skrobie, każdy tkwi wśród *swoich* — a czas niemiłosiernie ucieka.

Nie wiem — może partie, stowarzyszenia i organizacje naszego regionu sądzą, że da się zmienić rzeczywistość (której nikt nie akceptuje) bez zaprzągnięcia się do wspólnego dyszla? Może jest to wyczekiwanie, iż z Warszawy nadejdzie cudowne lekarstwo na nowosądeckie bolączki? A może nie ma w kierownictwach naszych instytucji postaci wyposażonych w instynkt polityczny, który podpowiedziałby im, że od X Plenum czas nie pracuje już dla pasywnych i pozostających w izolacji od inaczej myślących?

Fakt jest faktem: w regionie bogatym w indywidualności wołanie od „Dunajcowego stołu" o zinstytucjonalizowanie procesu otwarcia na różnorodność nie znalazło dostatecznego odzewu. Albo jest to brak wyczucia tego, co nieuniknione, albo... dalekowzroczność płynąca z przekonania, że ognia z wodą pogodzić się nie da i szkoda czasu na rozmowy.

Moim zdaniem w grę wchodzi pierwsza ewentualność. Bo jeśli nawet miałoby się okazać, że ugoda jest niemożliwa, to stwierdzenie tego gorzkiego faktu nastąpić winno dopiero po wyczerpaniu wszystkich dróg porozumienia, a nie *a priori*. Uczciwie zatroskani sprawami społeczeństwa ludzie nie mają prawa zakładać z góry porażki idei ugody. Takie założenie świadczyłoby o tym, że uznajemy dawne podziały nie tylko za aktualne, ale i trwalsze niż poczucie patriotycznej odpowiedzialności za swoją ojczyznę.

Niczego wszakże wykluczyć nie można — wielki pytajnik nad nami. Tak to wygląda na początku marca, gdy próbuję uporządkować swoje myśli o sądeckiej okolicy i warszawskim maratonie.

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

populacji upoważnia do tezy o kryzysie obecnych form. Ba, z badań wynika, że nawet członkowie ZHP, ZSP, ZSMP i ZMW wyrażają pod adresem swoich struktur słowa niezadowolenia. Brakuje autentyczności, suwerenności, programy traktuje się jako „narzucone", uważa się, że organizacje młodzieżowe to raczej swoisty element dekoracyjny, ozdobnik do określonego typu imprez. Słowem — mówi się, że są to organizacje „dla młodzieży", a nie „organizacje młodzieży". Tylko 5 procent członków ZSMP uznaje autorytet swojej organizacji (najlepiej jest w ZHP — 62 proc.). I co gorsze, zaufanie to maleje z roku na rok. Pojawiają się tendencje schizmatyczne, ZMW broni się przed protektoratem ZSL, a studenci masowo już domagają się legalizacji NZS.

Równocześnie przybywa struktur mniej czy bardziej formalnych, dla których ustawa o stowarzyszeniach będzie dopiero katalizatorem: „Młoda Polska" — Poznań, Stowarzyszenie „Bratnia Pomoc" we Wrocławiu, Towarzystwo „Pomost", Unia Młodzieży Akademickiej, ruch oazowy — wszystko to stanowi dopiero zapowiedź określonych tendencji, z którymi my, dorośli, nie potrafimy się pogodzić, bo są inne, odmienne od tego co znamy. W Szwecji działa 65 organizacji młodzieżowych, przy czym liczba ta jest orientacyjna, gdyż jedne upadają, a drugie powstają. To jest r u c h. Państwo asygnuje na ich cele programowe 200 mln koron rocznie. Warunkiem rejestracji i uzyskania wsparcia finansowego jest program akceptujący porządek konstytucyjny oraz zgromadzenie w swych szeregach 3,5 tys. młodzieży. Tak więc ruch o charakterze np. parafaszystowskim nie może liczyć ani na wsparcie finansowe, ani na legalizację. Podobnie rzecz dotyczy nurtów anarchistycznych. Ale reszta? Na miły Bóg, młodzież nie przyjmie żadnego narzuconego programu, nie weźmie się za żadne rzeczy wielkie, jeśli będziemy ją trzymać na smyczy naszych wyobrażeń o tym co pożyteczne, a co nie.

Pozwólmy im samym wybrać drogę

A reprezentacje ruchu młodzieżowego? Gdy sytuacja dojrzeje, to sama się wyłoni w postaci jakiejś rady czy konwentu. To naturalnie tylko jeden przykład, bo przytoczyć by ich można kilkanaście.

Jak na tym tle patrzeć na wspomnianą lukę pokoleniową w partii? W moim przekonaniu jak na nieuchronną konsekwencję niechęci do uznania podmiotowości młodzieży.

Na młode pokolenie nie można się obrażać. Mimo to w każdej epoce artykułowane są poglądy pełne zgorzkniałego niezadowolenia: „Jakaż ta młodzież jest! Czego ona chce?" Znaleźć je możemy u Sokratesa, a stosowne rodzime choćby w „Lalce" Prusa. Każdy czas rodzi inny system wartości. Kiedyś nauczyciel, ksiądz i sołtys, to na wsi były filary mądrości. A dziś włącza się telewizor i słucha sporu między prof. Rejkowskim i Geremkiem. Krytycyzm młodzieży stanowi k a p i t a ł. Podobnie jak jej wiara w to, że wszystko da się zrobić.

STEFAN CIEPŁY

PS Towarzyszka Arendarczyk niewątpliwie postawi zaraz pytanie: no i gdzież tu jest program dla młodzieży? pracy z młodzieżą? Właśnie w tym rozumowaniu tkwi błąd. Młodzież można jedynie delikatnie inspirować, ale niczego jej nie można narzucać i w niczym jej nie wolno wyręczać. A już zwłaszcza nie wolno jej zadręczać jadem historii. To nasze uporczywe kiszenie się w przeszłości, przywoływanie wzorów z naszej i naszych dziadków młodości do niczego nie prowadzi. To jest choroba, w którą się sami wpędzamy. Tymczasem młodzież ze swej natury obrócona jest ku przyszłości. I sama znajdzie drogę swego spełnienia.

Natomiast naszym pokoleniowym obowiązkiem jest usunięcie kłód leżących na tej drodze, a nie wciąż mnożenie ograniczeń, zakazów, pouczeń. Proszę też zwrócić uwagę, że wartości uniwersalne nie uległy dewaluacji. Godność człowieka, sprawiedliwość, odwaga, miłość, dążenie do prawdy, szlechetność, uczciwość, rzetelność, przyjaźń, odpowiedzialność — to są nadal główne kierunkowskazy postępu.

Problem młodzieży ma charakter nieco zastępczy. Jest problem znacznie donioślejszy. Jaką drogą pójść tworząc nową Polskę? Tu leży odpowiedź na wszystkie kłopoty z młodzieżą. I nie tylko z nią. Szlak reform jest oczywisty. Ale przecież wciąż nie możemy się dogadać co do sposobu ich urzeczywistniania. I może ta młodzieńcza niecierpliwość ponagli nas do wykonania tego, co do nas należy.

Temat jest naturalnie otwarty. Być może, nie tylko Towarzyszka Barbara Arendarczyk zechce chwycić za pióro. Łamy „Dunajca" są dostępne dla każdego.

STEFAN CIEPŁY

NIE ZWLEKAJ

ĆMIĄCY BÓL ZĘBA NOCĄ — to jest to, czego się nie życzy najgorszemu wrogowi. Dlatego, kiedy Dustin Hoffman, grający rolę głównego bohatera w głośnym filmie Johna Schlesingera „Maratończyk", zostaje posadzony na fotelu dentystycznym w celu wydobycia zeń zeznań i zaczyna się scena tortur — to cała widownia zamiera. Lęk przed leczeniem zębów sprawia, że według przypuszczalnych obliczeń, co drugi mieszkaniec wsi w Polsce, liczący sobie więcej niż 50 lat, w ogóle nie posiada już żadnych własnych zębów. Młodsi natomiast, gdy ich dopadnie ból zęba, zwlekają z wizytą u dentysty do ostatniej chwili.

Na świat przychodzimy, jak wiadomo, bez zębów. Gdy mamy pół roku pojawiają się dwa dolne siekacze. W wieku 30 miesięcy, dysponujemy już zazwyczaj garniturem 20 ząbków, ładnie określanych mianem *mlecznch*. Między 6 a 16 rokiem życia dokonujemy całkowitej wymiany uzębienia, na to, które towarzyszyć ma nam do końca życia. 32 zęby, w tym cztery *mądrości* wyrzynające się około 18 roku życia lub później — to jest ten posag, w który wyposaża nas natura. Możliwość zgryzienia, a więc rozdrobnienia pokarmu, jest warunkiem życia wszystkich ssaków. Niestety, natura w wypadku naszego gatunku zaledwie 2 procent ludzi obdarza zębami odpornymi na próchnicę. Dlatego WHO (Światowa Organizacja Zdrowia) zalicza to schorzenie — wyrażające się najpierw ubytkiem szkliwa, a potem stanem zapalnym miazgi, spowodowanym procesami gnilnymi resztek pokarmu pozostających w jamie ustnej wskutek nieoczyszczenia zębów — do tak zwanych chorób społecznych.

Pośrednim rezultatem tego zaliczenia są ogólnoświatowe programy zwalczania próchnicy, podejmowane w wielu krajach badania naukowe, zalecenia profilaktyczne, wreszcie — jednolite mierniki statystyczne, według których określa się stan zdrowia danej populacji. Stąd też w rocznikach statystycznych stomatolodzy wymieniani są jako specjalność medyczna, będąca miernikiem poziomu oświaty i opieki zdrowotnej w danym kraju.

Nim odpowiem na pytanie, jak jest w Polsce, a zwłaszcza jak jest w województwie nowosądeckim, przypomnę jeszcze, że chore zęby mogą być przyczyną wielu dolegliwości, często dość odległych z pozoru od stanu naszego uzębienia. Naturalnie na pierwszym miejscu są to choroby układu pokarmowego, dalej wymienić trzeba choroby „odogniskowe" stawów, mięśnia sercowego, nerek, przydatków, układu limfatycznego itp.

Są więc powody, by walkę z próchnicą traktować jak najpoważniej, tym bardziej, że pierwszy atak przypuszcza ona na organizm człowieka w wieku dziecięcym, kiedy na inne schorzenia jest on w zasadzie uodporniony. Dlatego programy WHO, a także i nasze, koncentrują się na zwalczaniu próchnicy u dzieci i młodzieży.

★ ★ ★

Jakiż więc jest stan zdrowotny, pod tym względem, naszej najmłodszej generacji? Ilu mamy stomatologów? Jakimi metodami zwalcza się próchnicę?

Dr **Andrzej Fortuna**, zastępca dyrektora Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego, a równocześnie szef Wojewódzkiej Przychodni Stomatologicznej w Nowym Sączu, wprowadza mnie w temat. Mamy w Polsce 17,5 tys. dentystów. Na 10 tys. mieszkańców przypada średnio 4,7 stomatologa, ale rozmieszczenie ich jest nierównomierne. W województwie łódzkim jest ich 7,9 (pierwsze miejsce), w stołecznym i wrocławskim po 7,5 — natomiast w ciechanowskim 2,7, a siedleckim i ostrołęckim po 2,8. Nasze województwo ze wskaźnikiem 4,0 (a więc poniżej średniej krajowej) znajduje się na piętnastym miejscu. Uprzywilejowane są zwłaszcza miasta będące siedzibami akademii medycznych. I stąd te dysproporcje, choć nie jest najgorzej, i możliwe byłoby — zdaniem dr. Fortuny — objęcie opieką całej populacji, gdyby nie fakt, że część lekarzy pracuje w sanatoriach i różnego rodzaju zamkniętych lecznicach, także w przemysłowej służbie zdrowia, przez co jest dla zorganizowanych form opieki nad dziećmi i młodzieżą „stracona".

No cóż, szkolny pacjent nie daje żadnych preferencji zarobkowych, a płace w służbie zdrowia, jakie dotąd były, wszyscy wiedzą. Naturalnie niczego tutaj nie usprawiedliwiam, a jedynie tłumaczę. Kiedy jednak dla przykładu w rejonie krynickim, na 9 stomatologów, 7 pracuje poza ZOZ-em, a jedynie 2 w Miejskiej Przychodni Rejonowej, to nie sposób liczyć na uporanie się przez nich zarówno z przeprowadzeniem działalności profilaktycznej w pożądanym zakresie, jak i uzyskanie odpowiednich wyników w leczeniu dzieci i młodzieży.

Profilaktyka próchnicy zębów polega na fluorkowaniu, zmniejszaniu spożycia cukru i higienie jamy ustnej. Już w latach pięćdziesiątych WHO sformułowała pod tym względem program, dochodząc do przekonania, że fluorkowanie wody pitnej lub zażycie w ciągu roku przynajmniej 200 tabletek zawierających fluor, jest najlepszą metodą zapobiegania próchnicy. W niektórych krajach fluorkowanie wody stało się, w związku z tym dość powszechne. W Polsce natomiast zaledwie 1,3 mln ludzi korzysta z tego rodzaju wody (pierwszy Wrocław — od 1968 roku), a w dodatku trudno jest uzyskać dane, ile fluoru pobiera nasz organizm z innych, poza wodą, źródeł (np. z powietrza, pożywienia itp), przez co metoda ta ma w Polsce wielu przeciwników.

W rezultacie preferuje się fluorkowanie indywidualne, dokonywane pod nadzorem higienistek stomatologicznych w szkołach i przedszkolach. Z satysfakcją można powiedzieć, że pod tym względem jest w naszym województwie nieźle. Obejmujemy akcją dorocznego fluorkowania 69,6 proc. dzieci i młodzieży ogółem , co daje nam 20 miejsce w kraju. Trudno wprawdzie nie pozazdrościć takim np. województwom jak płockie, gdzie osiągnięto już wskaźnik 99,2 proc. czy bialsko-podlaskie — 92 proc. zwłaszcza że dysponują one mniejszą liczbą stomatologów, ale jakże równocześnie wyprzedzamy np. jeleniogórskie czy bielskie, a więc regiony o podobnej rzeźbie terenu, gdzie wskaźniki te wynoszą odpowiednio 27 i 44 procent.

A rzeźba terenu ma o tyle znaczenie, że przez przeszło pół roku dostępność do wielu szkół jest mocno ograniczona, zaś akcję powinno się prowadzić raz na miesiąc. Postęp, jakiego dokonaliśmy, najlepiej ilustruje fakt, iż 13 lat temu, gdy powstawało województwo nowosądeckie, profilaktyką fluorkową obejmowano zaledwie 32 procent dzieci i młodzieży.

Fluorkowanie nie zwalnia nas jednak z obowiązku mycia zębów. Powinno się ono odbywać po każdym posiłku, a już koniecznie przed nocą. Każdy musi mieć swoją własną szczoteczkę, z częścią czyszczącą ze sztucznego tworzywa (!) i używać winien past z dodatkiem fluoru. W tym stężeniu bowiem fluor jest lekarstwem, a nie trucizną. Wspominam o tym, gdyż w swoim czasie zagrożenie Krakowa, spowodowane wydalaniem fluoru do atmosfery przez Hutę Aluminium w Skawinie, narobiło sporo nieporozumień. Konieczne jest także zwrócenie uwagi na jeszcze jednego „sprzymierzeńca" próchnicy, jakim jest cukier, i to pod każdą postacią. Ciastka, czekoladki, cukierki i inne łakocie, niestety, nie sprzyjają naszemu zdrowiu. Natomiast ograniczenie spożycia cukru (także rozpuszczonego w kawie czy herbacie), zmniejsza częstotliwość występowania próchnicy i intensywność jej przebiegu.

Jeśli chodzi o poziom opieki stomatologicznej, to znów pozostając przy młodzieży można powiedzieć, że utrzymujemy się w pobliżu średnich osiągnięć krajowych. Współczynnik procentowy dzieci i młodzieży ze zdrową jamą ustną w roku szkolnym 1986/87 sytuował nas na 27 miejscu w kraju i wynosił 25 procent. Znaczy to jednak również, że **na czterech uczniów, trzech ma chore zęby.** Najlepiej było w województwie wrocławskim, w którym 64,8 proc. młodzieży miało zdrowe zęby, a najgorzej w toruńskim, bo było jej zaledwie 8,8 procenta. Natomiast planowanym leczeniem obejmowaliśmy 44,2 proc. dzieci i młodzieży, co dawało nam 22 miejsce w kraju i może być także powodem do satysfakcji.

Program WHO, poprawy zdrowotności społeczeństw, stosuje trzy podstawowe mierniki. Pierwszy z nich to liczba zębów dotkniętych **próchnicą;** drugi to liczba zębów **utraconych;** a trzeci to liczba zębów **wyleczonych.** Stomatolodzy mówią w związku z tym o wskaźniku PUW. Otóż, stosując go jako miernik, WHO zaleca osiągnięcie w roku 2000 trzech celów: pierwszy, by 50 procent dzieci w wieku poniżej 6 lat było wolnych od próchnicy — leczyć by zatem należało również zęby mleczne. Drugi cel, by u 12-latków łączny wskaźnik PUW nie przekroczył 3 (jak informuje dr Fortuna, w roku 1975 wynosił on w woj. nowosądeckim 4,8, a w 1985 obniżył się do 4,2).

Wreszcie cel trzeci — by 80 procent młodzieży w wieku do 18 lat miało pełne uzębienie, a więc by czterech na pięciu młodych ludzi, nie miało żadnych braków uzębienia, a jedynie ewentualnie chorowało na próchnicę, lecz posiadało zęby zaleczone. Czy cele te są osiągalne w naszych warunkach? Na pewno ten drugi — by dwunastolatki miały PUW mniejszy od 3 — leży w zasięgu naszych możliwości.

★ ★ ★

Zajmijmy się teraz stanem naszej stomatologii, jej strukturą organizacyjną, statusem socjalnym lekarzy dentystów, wyposażeniem gabinetów, zaopatrzeniem w leki, gdyż tu ukryta jest odpowiedź na pytanie: czy może być lepiej?

Zacznijmy od zdefiniowania pewnych specyficznych cech tego zawodu, w którym nauka trwa 5 lat, a więc o rok krócej niż na pozostałych kierunkach medycyny, i w którym feminizacja objęła 75 procent czynnych zawodowo specjalistów. Nawiasem mówiąc, dentysta oznacza lekarza zębów, a stomatolog — lekarza jamy ustnej, więc jest to jakby wyższy stopień kwalifikacji.

Specyfika polega przede wszystkim na tym, że dentysta leczy s a m. Idąc do gabinetu dentystycznego oddajemy się w ręce stomatologa bezpośrednio. Czas wizyty to po prostu czas zabiegu. Stomatolog pracuje więc ciężko, także fizycznie, a skutkiem tego jest szereg schorzeń w rodzaju zmian degeneracyjnych kręgosłupa, prawego barku, nadgarstków, cierpnięcie kończyn itp. Występuje często choroba wibracyjna, gdyż niektóre wiertarki osiągają rząd kilkuset tysięcy obrotów na minutę i w naturalny sposób niszczą organizm lekarza, który nimi pracuje. Po latach starań wszystkie te dolegliwości, oraz żółtaczka zakaźna na dodatek, zostały uznane za choroby zawodowe.

Stomatologia posiada różne specjalizacje: protetykę, ortodoncję, chirurgię szczękową, zachowawczą, dziecięcą. Płace — jak w całej służbie zdrowia. Jedyną ulgą jest limit 6 godzin obowiązującej pracy przy fotelu. Ale ilużdentystów na nich poprzestaje?

W województwie nowosądeckim w sześciu ZOZ-ach (Gorlice, Krynica, Limanowa, Nowy Targ, Rabka Zakopane) oraz w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym zatrudnionych jest łącznie 242 lekarzy dentystów, wobec 283 zarejestrowanych. PKP, MON i MSW zatrudniały 30 stomatologów, reszta pracowała w sanatoriach i zakładowej służbie zdrowia. Gdyby wszyscy, w zgodzie z wytycznymi resortu zdrowia, bodaj częścią etatu uczestniczyli w opiece nad dziećmi i młodzieżą, to wskaźniki, o których pisałem wyżej, byłyby dużo lepsze. Najgorsza sytuacja jest obecnie w ZOZ — Nowy Targ, Krynica i Limanowa. A tak nawiasem mówiąc, na terenie województwa jest kilka wolnych miejsc pracy dla stomatologów, i to we wcale atrakcyjnych miejscowościach, są też mieszkania, tylko nie ma chętnych.

Polskie uczelnie medyczne od roku 1987 wypuszczają rocznie ponad 1000 absolwentów stomatologii. Przedtem, zwłaszcza w drugiej pięciolatce minionej dekady, limity naboru na ten kierunek były tak dalece ograniczone, że w pewnym momencie ilość przechodzących na emerytury i renty dentystów zaczęła przewyższać ilość nowo wchodzących do zawodu. Średnia krajowa zaczęła się obniżać. Tak było np. jeszcze w roku 1986 w całym kraju. Ale na szczęście decyzje podjęte w 1982 r. wyhamowały ten proces.

Dr Fortuna wśród przyczyn, dla których nie jest zadowolony z poziomu opieki stomatologicznej w województwie, na pierwszym miejscu stawia brak dentystów, w kontekście zwłaszcza większego niż zakładano przyrostu demograficznego, w tym w populacji od 0 do 15 lat.

Podobnie jak w innych dziedzinach życia, wystąpiły też okresowe braki preparatów leczniczych i profilaktycznych, pogorszyła się jakość materiałów do wypełnień, nie mówiąc o ich kolorystyce, w rezultacie czego efekty są gorsze od spodziewanych. Trudno też nie wspomnieć o warunkach życia wyraźnie się pogarszających, a więc o jakości spożywanych pokarmów oraz wzroście konsumpcji cukru, sprzyjającej szerzeniu się choroby próchnicowej u dzieci. Na niezadowalające wskaźniki wpłynęła też zmiana w strukturze zabiegów na bardziej czasochłonne. Dziś znacznie więcej zębów się leczy, dawniej więcej usuwano. No ale to już jest raczej powód do zadowolenia. Podobnie jak poprawa warunków lokalowych lecznictwa stomatologicznego i wręcz rewolucyjna zmiana, jeśli chodzi o wyposażenie w sprzęt. **W ciągu pierwszych dziesięciu lat, które upłynęły od powołania województwa, przybyło 35 gabinetów stomatologicznych. Zaś w wyposażeniu odnotowano m.in. przyrost wiertarek turbinowych z 12 do 142, unitów stomatologicznych z 17 do 137, unistomów z 19 do 50, amalgamatorów z 7 do 110.** Jeśli w roku 1975 zaledwie 20 procent kadry posiadało specjalizację I lub II stopnia, to w 1985 już 65 procent, w tym 21 proc. drugiego stopnia.

Lepsza jest zatem baza, lepsze wyposażenie, wyższe są kwalifikacje lekarzy — i tylko wypada zapytać, czy my — pacjenci albo potencjalni pacjenci — też ulegliśmy jakimś pozytywnym przemianom? Charakterologicznie, raczej nie. Wiele lat bezpłatnej służby zdrowia przyzwyczaiło nas, że opieka zdrowotna nam się bezwzględnie należy i być może jest to jedna z przyczyn braku troski o własne zdrowie.

Przy wszystkich ułomnościach naszej służby zdrowia stan opieki stomatologicznej jest już dalece lepszy niż kilkanaście lat temu. Nasze dzieci już częściej słuchają dentystów i wiedzą, że gdy ząb zaczyna reagować na zimno lub ciepło, albo na słodkie produkty, to trzeba jak najprędzej mknąć do dentysty, bo w tej pierwszej fazie schorzenia ból podczas leczenia będzie znacznie mniejszy niż potem, gdy się kuracji zaniedba. Z wolna też oswajamy się z pastą do zębów i używaniem na co dzień szczoteczki. Jest nadzieja, że kolejne pokolenia będą pod tym względem coraz rozumniejsze i na słowa „musisz iść do dentysty", przestaniemy reagować tak, jakby to miała być wizyta w gabinecie tortur.

Gdyby zresztą nawet miało troszkę poboleć, to o ileż piękniej wygląda biały garnitur naszego uzębienia w porównaniu ze szczerbatym uśmiechem! Choćby dlatego warto odrobinę pocierpieć i nie odkładać tej wizyty na jutro.

biała izba

Marzec'89

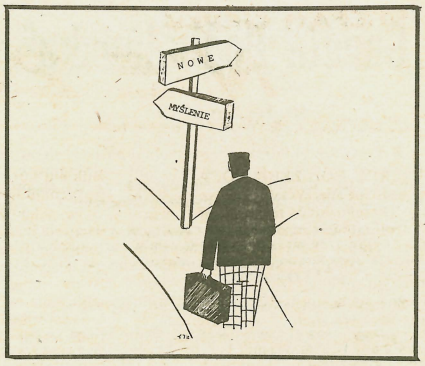

Nowe wyrasta z tradycji

Rozmowa z **Antonim Malczakiem,** dyrektorem Wojewódzkiego Ośrodka Kultury

— Jaka jest kondycja kultury w naszym regionie?

— Raczej dobra. Mimo wielu trudności i stałego głodu środków finansowych, nie widać oznak zastoju. Wprost przeciwnie: w instytucjach profesjonalnie zajmujących się upowszechnianiem kultury, w towarzystwach regionalnych i w ruchu amatorskim jest bardzo dużo inicjatyw i zapału. Pewną stagnację można zauważyć jedynie w działalności niektórych zespołów; osiągnęły już wysoki poziom, zdobyły laury i jakby nie wiedziały, czy mogą pójść jeszcze dalej, czy też osiągnęły granicę swoich możliwości. To jednak naturalna reakcja i nie widzę powodów do niepokoju. Martwi natomiast, że publiczność, zwłaszcza w miastach, odwraca się od kultury. Pustkami świecą sale podczas wielu imprez. Wydaje się, iż ludzie — zagonieni, przytłoczeni kłopotami codziennego życia, najlepiej czują się w ścianach własnego domu. Miejmy nadzieję, że to zjawisko przejściowe.

— Co jest atutem kultury w naszym województwie, co jej słabą stroną?

— Siłą naszej kultury jest przede wszystkim to, iż w dziewięćdziesięciu procentach tworzy ją autentyczny ruch amatorski. Chęci do działania nie można zadekretować — inicjatywy rodzą się spontanicznie, aktywność wynika z głębokich potrzeb wielu ludzi zamieszkujących region, a także z tradycji.

Mamy w województwie zaledwie dwa zawodowe teatry, grupy profesjonalnych plastyków w Zakopanem, Sączu i Gorlicach, muzyków w miastach, gdzie istnieją szkoły muzyczne. Gdyby nie amatorzy, życie kulturalne byłoby anemiczne, pozbawione wielkiej różnorodności. Wojewódzki Ośrodek Kultury stara się pomagać społecznikom, wciągać do pracy artystycznej jak największą ilość ludzi. Nie jest to łatwe. Działacze kultury (a takimi są nasi pracownicy) często mają ręce związane biurokratycznymi przepisami, muszą bawić się w urzędników, układać programy, pisać stosy sprawozdań. Z przeszłości pozostał uciążliwy bagaż zurzędniczenia placówek kultury. To ciemna strona naszej profesji, zniechęcająca wielu młodych ludzi. Często ważniejsze stają się sprawozdania niż prawdziwa działalność. Wiem coś o tym, gdyż sam tworzę od lat, na potrzeby rozmaitych „akcji" i „sztabów", wielostronicowe gnieciuchy z planami, sprawozdaniami, które nikomu nie służą.

— Co poza biurokracją najbardziej doskwiera działaczom kultury?

— Tracimy pracowników. Mało konkurencyjne płace sprawiają, iż wielu wartościowych ludzi, dobrych fachowców, odchodzi. Znajdują lepsze warunki finansowe np. w oświacie. Do niedawna było odwrotnie — wykształceni nauczyciele szukali pracy u nas. Ponadto od lat mamy kłopoty lokalowe. WOK oraz wiele terenowych placówek nie mają odpowiedniej bazy, za wynajmowanie sal widowiskowych na imprezy trzeba sporo płacić, trudno na wsi znaleźć jakiekolwiek lokum dla gminnych ośrodków kultury. Nie wszędzie władze gmin rozumieją nasze potrzeby. Liczę, że w radach narodowych, które teraz stają się prawdziwymi gospodarzami swoich terytoriów, powstanie klimat sprzyjający rozwojowi życia kulturalnego. Są już pierwsze „jaskółki" w kilku gminach.

Mam pewne pretensje do młodzieży, zwłaszcza miejskiej, o zbyt małą aktywność, choć mogę podać także pozytywne przykłady. Sporo robią harcerze oraz Związek Młodzieży Wiejskiej. Cenne są inicjatywy organizacji młodzieżowych, takie jak Festiwale Kultury Młodzieży Wiejskiej oraz Kultury Młodzieży Szkolnej. Bierze w tych imprezach udział wiele dzieci i młodzieży; raz połknąwszy bakcyla teatru, tańca, śpiewu — wstępują później do rozmiatych zespołów, są także wdzięcznymi widzami imprez.

— Przybywa zespołów folklorystycznych, słyszy się jednak narzekania, że nasz region poza folklorem niewiele oferuje uczestnikom imprez kulturalnych.

— To przesada. Interesujące spektakle Teatru imienia Witkacego, „Rabcia", amatorskich grup teatralnych (których najwięcej w Sączu), wystawy plastyczne, koncerty i festiwale muzyczne to niemało. Nie da się jednak ukryć, że nasze województwo słynie przede wszystkim z oryginalnego folkloru. Czy to powód do zmartwienia? Przybywa zespołów, gdyż mieszkańcy regionu pragną poznawać dawne obyczaje, kultywować ludową kulturę. To nasz wielki atut. Staramy się pomagać w rozwijaniu tych zainteresowań. Urządzane przez WOK przeglądy folklorystyczne mają charakter szkoleniowy, połączone są z konsultacjami. Oryginalną formą kształcenia instruktorów zespołów jest trzyletnie Studium Folklorystyczne. Pierwsi absolwenci (około 40 osób) w ubiegłym roku zakończyli naukę. W czasie obozów letnich wiedzę teoretyczną i praktyczną wzbogacali samodzielnymi poszukiwaniami: zbierali gawędy, spisywali zwyczaje, obrzędy i pieśni ludowe. W tym roku rozpoczynamy pracę z nową grupą słuchaczy, tym razem już z czterech województw Polski południowej.

— Jak Ośrodek pomaga amatorom, którzy zajmują się innymi dziedzinami sztuki?

— Propagujemy plastykę ludową urządzając wystawy w sądeckiej Galerii Współczesnej Twórczości Ludowej, organizujemy przeglądy teatralne (w Czarnym Dunajcu, Limanowej i Nowym Sączu), staramy się podnieść poziom orkiestr — w ubiegłym roku zorganizowaliśmy kurs dla dyrygentów amatorskich orkiestr dętych. W tym roku organizujemy następny kurs. Zapewniamy pomoc repertuarową, wyposażamy zespoły w sprzęt muzyczny. W Sądeckiej Galerii Fotografii wystawiamy prace fotografików naszych i „obcych", popularyzując piękno krajobrazu górskiego, architektury regionalnej. Dawną i nową poezję, szkice historyczne, literackie, prace na temat przeszłości regionu i jego kultury publikuje Sądecka Oficyna Wydawnicza. Mimo iż zebrałem za nią sporo cięgów, uważam, że Oficyna pełni nader ważną funkcję. Popularyzuje miejscowych twórców, przypomina także klasyczne już utwory dotyczące naszego regionu. Rocznie jest w stanie wydać około dwudziestu tytułów. Dotychczas ukazało się blisko sto pięćdziesiąt pozycji. Gdybyśmy mieli własną bazę poligraficzną — koszty druku byłyby mniejsze, moglibyśmy wydawać szybciej i więcej, a także prowadzić działalność usługową. Jest taka możliwość, rozglądamy się tylko za funduszami na ten cel.

— Żyjemy w kryzysie. W jakiej dziedzinie skutki kryzysu dotknęły kulturę w naszym województwie najmocniej?

— Przede wszystkim stanęły w miejscu sprawy inwestycji. Trudno dziś marzyć o budowie nowych obiektów. Są także trudności z remontami budynków, które posiadamy. Sporo się jednak robi. Obecnie remontujemy dziewięć ośrodków kultury w województwie. Jest nadzieja, że jeszcze w tym roku do własnych pomieszczeń przeniesie się Gminny Ośrodek Kultury w Białym Dunajcu, że zakończone zostaną remonty Ośrodka w Krynicy oraz jego filii w Tyliczu. Nie wiadomo, jak długo jeszcze potrwa wlokąca się od kilku lat budowa Domu Kultury w Rabie Wyżnej. Trzeba wspomnieć, że spośród czterdziestu siedmiu ośrodków kultury w województwie — dobre warunki lokalowe ma około jedna trzecia.

(CIĄG DALSZY NA STR. 4 „BIAŁEJ IZBY")

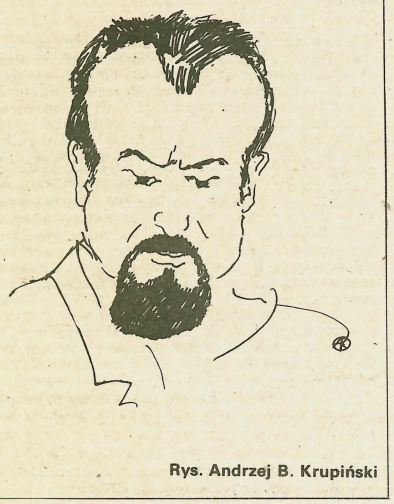

Rys. Andrzej B. Krupiński

Władysław Graban

Narodziny

W zielonej witce wikliny
wiosna
gniazdo swe mości
chłód bosy
zębami dzwoni
ptakiem spłoszonym
pierzcha
Przy chatach świtem
słońce
pierwsze tej wiosny
pieluchy rozwiesza

Mój wiersz

Mój wiersz
zamknie w sobie lot
śmigłej jaskółki
w błotnistą kałużę uwięzionej
niedomknięte drzwi chaty
niczyjej
i kilka liści pokrzywy
w wieniec bez chwały
będzie nieodczytaną gwiazdą
wychodźstwa
mój wiersz
to kilka westchnień
niczyich

Przede mną

Przede mną jesiony rosłe
stoją jak chłopy
zalękniona dzika róża
bez czarny jabłoń stara
która babunię pamięta
Oto dom mój nowy
bez okien i ścian
ulepiony z ciszy
na ojcowiźnie
własny jak oddech

Gdyby zdecydował

Ja
nawet mogłem umrzeć
pośród lasów
na tej ziemi
umiłowanej
I pewno
nie miałbym żalu
do samego siebie
ani do Boga Łemków
gdyby zdecydował
Przecież pragnąłem
być sercem przy sercu
matki ziemi

„Gazeta Podhalańska"

kwiecień 1919 r.

● Pierwsza to Wielkanoc na wolnej polskiej ziemi. Pierwsze „Alleluja" rozniosą, pozostałe po rabunkach niemieckich, dzwony naszych kościołów — po zagonach odrodzonej, zmartwychwstałej Ojczyzny.

I będziemy się pytać dziś z radosnym wzruszeniem: Czy to jawa, że po latach 150 wróciła wiosna swobody, wiosna niespętanego życia narodowego na dawnej „ziemi mogił i krzyżów"...

Wrogowie nasi chcieli nas żywcem pogrzebać.

Prusak katował dzieci nasze za polski pacierz, wypędzał nas z naszej własnej sadyby, kradł ziemię naszą, a tę kradzież uświęcał znakiem prawa. W wojnie ostatniej pastwił się nad zagarniętą chwilowo drugą połacią naszej ziemi, palił, rabował, wywoził, gnębił. A gdy już wojnie kres położono, on jeszcze niesyt krwi polskiej, która lała się pod jego batem od Rygi po Verdun — napada naszą mężną dzielnicę poznańską, morduje niewinnych, łamie układy.

Moskal gnębił nas na swój sposób.

Tysiące pchał na Sybir — na męki. Dusił życie narodowe, okiem wszędzie obecnego ajenta *ochrany* śledząc każdy żywszy odruch duszy polskiej, każde silniejsze uderzenie polskiego serca. Lała się krew polska spod nahajki, wylały rodziny polskie w rosyjskim zaborze całe morze łez gorzkich, łez wyciśniętych krzywdą.

Sama krew Unitów podlaskich i chełmskich starczy na zmierzenie naszych cierpień w niewoli cara i na odkupienie wszystkich naszych win dziejowych.

Austriak miał także dla nas swoje więzienia otwarte, kopał i poniewierał w szkole naszą polską duszę, kształcił najgorszy typ wśród nas: judaszów, zaprzedańców, a umiał posunąć się i do tego, że włożył nóż w rękę chłopską w czterdziestym szóstym roku, by tylko więcej polskich łez, by tylko więcej krwi polskiej.

I zdało się wrogom naszym, że z tych łez i z tej krwi naszej, tak obficie wylanej, złożą się głoski naszej pieśni pogrzebnej, ponure „Requiem"...

A tu krew dzieci wrzesińskich szepce: *„Nie zginęła i nie zginie"*...

A z krwi żołnierzy — bohaterów, zesłańców i męczenników — Polaków, z krwi tych, co padli w obronie Lwowa i Poznania — budzi się rozgłośny hymn Zmartwychwstania, bije pieśń tryumfu i życia!

● Podział ziemi musi być sprawiedliwy pod względem społecznym, a jak najbardziej korzystny gospodarczo.

Podział społecznie sprawiedliwy ma uwzględniać żądania i potrzeby tych przede wszystkim, którzy ponoszą na rzecz społeczeństwa i państwa największe ciężary, którzy najwięcej mu dają. Zasada prywatnej własności będzie podstawą reformy. Przytem jednak wywłaszczenie, czyli przymusowa sprzedaż ziemi dokonana przez państwo w interesie dobra tegoż państwa, na rzecz bezrolnych i małorolnych będzie zasadą ustawowo stosowaną.

● Wolny obrót ziemniakami wprowadzono na całym obszarze państwa polskiego. Wolny obrót przywrócono nadto w handlu bydłem, świniami, owcami, mięsem, tłuszczami wieprzowymi, masłem, serem, mlekiem, jajami, drobiem, rybami, owocami i jarzynami. Nie potrzeba już zatem pozwoleń na przewóz z powiatu do powiatu lub np. z byłej Galicji do byłego Królestwa Polskiego. Przepisy policyjno-weterynaryjne są oczywiście nadal utrzymane.

● Z kroniki policyjnej. Żandarmerya schwytała Stanisława Sieczkę z Zakopanego, niebezpiecznego zbójnika, który od listopada zeszłego roku wymykał się władzom bezpieczeństwa i dopuszczał się wielkich kradzieży po wsiach na szkodę gospodarzy. Schwytano go w Ludźmierzu u „frejerki" — podobno zdradziła go inna zawiedziona w miłości. Ot, po zbójnicku!

● Od szeregu miesięcy nie otrzymują uprawnieni zasiłków, gdyż rząd przesyła pieniądze bardzo skąpo. Skarb polski nie stoi jeszcze na silnych nogach i bieduje, pożyczka zaś nie pokrywa wszystkich potrzeb. Możeby panowie posłowie ludowi zajęli się temi sprawami, gdyż wiele osób pozbawiono w ten sposób środków utrzymania.

● Załuczne. *Zebrano u nas na skarb narodowy 12 k w srebrze, a 115 k w papierach, zaś dzieci szkolne złożyły 13 k 20 h. Na pożyczkę polską złożyła szkoła 5000 k, ludność odnosi się do pożyczki nieufnie, mimo zachęty ze strony tutejszej nauczycielki.* Tym gazdom, co myślą, że pożyczka polska a austryacka jest tem samem, życzymy, aby tak długo trzymali w skrzyniach dudki papierowe, póki te korony będą wartać tylko parę halerzy. Pisze nasz czytelnik z Załucznego: *E, powiem wam, że tu we wsi jest jedna gaździna, co tak straśnie kocha te papierzyska austryackie, że się paroma tysiącami koron opasuje kole siebie, a nawet śpi z nimi, bo się lęka o swoje dudki. A takich dużo u nas. Ale kończę, bo jestem kawalerem, a kawalerowi źle z babami zaczynać.*

2. biała izba

ANNA SZOPIŃSKA

COSI KIEBY SONECKI

W wytwornej „Cyrankiewiczówce" na Kozińcu urządziło Muzeum Tatrzańskie wystawę, która reklamy nie potrzebuje. Jeśli jednak tłumy wczasujących pod Giewontem nie zadeptały dotąd misternie ułożonych drewnianych posadzek pałacyku Koziańskich, to najpewniej z przyczyny odległości kozinieckiego wzgórza od Krupówek.

100 lat polskiego narciarstwa — temat zbyt szeroki i wspaniały, by można go było ogarnąć i wyczerpać na stosunkowo niewielkiej przestrzeni oddanej pod ekspozycję. Dlatego wystawa, choć bogata, ciekawa i ambitnie pomyślana, sygnalizuje tylko zagadnienia, fakty, wyczyny, stawia przed oczy ludzi, których nazwiska złotymi zgłoskami wpisały się w historię polskiego sportu, w narodową historię. 100 lat to cała epoka...

Wejrzyjmy w najstarsze podręczniki: oto Romana Kordysa „Narty i ich użycie", książeczka wydana z początkiem naszego wieku we Lwowie; wtedy hamowało się po zjeździe przyklękając na jedno kolano, prostując ramiona — pierwszy przejaw narciarskiej gracji byłby dziś wielce uciesznią pozycją.

Zjazd odbywa się w ten sposób, że narciarz siada na górze w kucki, opiera się na kiju i zamyka oczy. Potem prosto jak strzała zjeżdża tak długo, aż mu zabraknie tchu. Teraz musi się rzucić bokiem na śnieg i czekać następnie, aż znowu złapie oddech, by móc kontynuować zjazd szusem. Powtarza to tak długo, aż uda mu się zjechać do samego dołu — czytamy w całkiem poważnym opisie zjazdu (Zdarsky M. Lilienfelder, „Skilauf-technik", 1892 r.). Gdzie indziej radzą specе od sprzętu, by smarować narty... śledziem — sól z rybim tłuszczem konserwuje i nadaje śliskość drewnianej powierzchni.

Zanim Stanisław Barabasz, wsłuchując się w opowiadania Sybiraków, sporządził w 1888 r. pierwszą parę nart, znane były tu „karple" — trzcinowe lub z giętkich witek wiązane palety, ułatwiające poruszanie się w głębokim śniegu. Trochę czasu minęło, nim Maryusz Zaruski po raz pierwszy (w 1906 r.) przeszedł przez Tatry na tym, co Rosjanie nazywali „Łyże" a Norwergowie „ski". Można w „Cyrankiewiczówce" oglądać najstarsze okazy tego sprzętu — pociemniałe, z rzemienną uprzężą — niektóre już straciły łukowate wygięcie szpiców. Wymodelowane „noski" z przewierconą dziurką pozwalały ciągnąć narty jak psa na smyczy, a patyk wkładany między noski, gdy narty po zimie spinało się zwrócone spodami ku sobie, rozpierał szpice, by nie zmieniły kształtu do następnych śniegów.

A jak radzili sobie pionierzy narciarstwa przy podchodzeniu? Otóż nałożony na spody nart pasek z foczego futerka zapobiegał ślizgnięciu się desek po stoku. Z drugiej strony — kto wie, czy właśnie „foki" nie przyczyniły się do śmierci Mieczysława Karłowicza, ograniczając mu prędkość i szanse ucieczki, gdy z Małego Kościelca ruszyła lawina... Tragicznym eksponatem są narty, na których wybrał się w góry po raz ostatni.

Stanisław Barabasz

Pierwociny polskiego narciarstwa znaczą ważne daty: Międzynarodowe Zawody Narciarskie w Zakopanem 5 lutego 1911 r., powstanie Polskiego Związku Narciarskiego w 1919; równocześnie doskonali się sprzęt, zmienia technika poruszania się na deskach, organizuje się ratownictwo. Po Klimku Bachledzie zostały narty własnoręcznie przez niego wyzdajane.

Wiązania Bilgery'ego, wiązania Huitfelda, odchodzenie w latach dwudziestych-trzydziestych od szkoły alpejskiej ku stylowi norweskiemu (czyli uznanie wyższości jazdy z dwoma kijkami nad odpychaniem się jednym), wyrosłe ze szkoły Barabasza wytwórnie nart Franciszka Bujaka, Stanisława Zubka, braci Schiele, pierwsze trofea polskich narciarzy na międzynarodowych zawodach, powstałe jeszcze przed wojną szkoły jazdy na nartach — wszystko to świadczy o gwałtownie

Bibliotekarz prawdziwy

Antoni Wnęk ze starosądecką biblioteką związany jest od lat kilkunastu. Przybył tu na przełomie lat 1973/74 i zasiadł na dyrektorskim fotelu. Powiedzmy od razu: ten fotel jest jedynie symboliczny. Dotychczas bowiem dyrektor takiego mebla sobie nie sprawił. Woli powiększać stale biblioteczny księgozbiór, uruchamiać nowe działy, zachęcać i przyciągać ludzi, by wstąpili do biblioteki, wzięli książkę do ręki, by obcowali z czymś, co daje wewnętrzne przeżycie. I widać to dyrektorsko-społecznikowskie działanie Antoniego Wnęka jest skuteczne, skoro zagląda tu, statystycznie rzecz traktując, co czwarty mieszkaniec Starego Sącza. W trosce o swych czytelników, swą bibliotekę, dyrektor Wnęk — rajca miejski walczy zaciekle, by planując budżet miasta nie zapomniano i o kulturze. Bo choć ważne są drogi i gospodarka komunalna też, to kultura nie może być — zdaniem dyrektora — traktowana jak piąte koło u wozu. Jego argumentacja jest na tyle mocna, że gospodarze miasta spieszą z pomocą. Są więc pieniądze na spotkania z interesującymi ludźmi, na promowanie twórców, na nowe zakupy, na przyzwoite wynagrodzenie dla zatrudnionych ludzi.

Dyrektor Wnęk nie liczy jednak tylko na łaskawy gest i mannę z nieba, a stara się zdobyć fundusze własnym sumptem, choć to rzecz w takiej branży niełatwa. Z okazji 40-lecia Polski Ludowej Ministerstwo Kultury i Sztuki ogłosiło konkurs na najbardziej nietypową działalność placówki bibliotecznej. Starosądecka biblioteka została jednym z laureatów konkursu, a uzyskane tą drogą pieniądze przeznaczono na sprzęt audiowizualny.

Antoni Wnęk mówi o sobie, że jest i karbowym, i omnibusem. Bo papierków biurokracja mu nie skąpi. A to trzeba sporządzić plan krótkoterminowy i dalekosiężny, a to sprawozdanie takie i owakie, a to wreszcie pamiętać o preliminarzu budżetowym. Jednocześnie zaś ciągle należy myśleć o działalności kulturalnej. Teraz wziął się dyrektor Wnęk za remont swej placówki i urzęduje kątem, w przedsionku, bo w bibliotece rządzą murarze. Gdy jednak ten „kataklizm" minie, będzie czytelnia z prawdziwego zdarzenia, łatwiejsza stanie się praca bibliotekarek, uporządkowane zostaną księgozbiory — bagatela: blisko 50 tysięcy woluminów. „Omnibus" chodzi i załatwia. Literata i murarskiego czeladnika. Taki jest jednak los omnibusów. Ludzi nieobojętnych, którym o coś w życiu chodzi, o coś walczą.

Sława starosądeckiej biblioteki rozeszła się już szeroko. Nawet z Nowego Sącza ciągną tu grupy uczniów klas humanistycznych na spotkania z interesującymi ludźmi, organizowane w ramach cyklu „Film i literatura — adaptacje dzieł literackich". Cykl ten wspólnie wymyślili dyrektor Wnęk i kierownik kina — Marian Szewczyk. — *Taki sam wariat jak ja* — mówi o kierowniku dyrektor. — *Czego on nieraz nie nawyczyniał, by zdobyć niedostępną kopię filmu, jak organizował dostawę, dając słowo honoru, że na określoną godzinę taśmy wrócą do Krakowa!* Bywalcy starosądeckiego kina „Poprad" i biblioteki mieli więc okazję spotkać się ze „Znachorem" i odtwórcą tej roli — Jerzym Bińczyckim, gościł tu Jerzy Trela, kreujący jedną z głównych ról w „Matce Królów", Anna Dymna — odtwórczyni postaci tytułowej w „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny", a ostatnio Jerzy Globisz z „Krótkim filmem o zabijaniu" Kieślowskiego. Bywali tu autorzy dzieł, na podstawie których nakręcony został dany film, autorzy scenariuszy lub też osoby związane więzami krwi z twórcami dzieł literackich, jak wnuczka Emila Zegadłowicza, którą poproszono na spotkanie z okazji projekcji filmu „Zmory". Frekwencja na tego typu imprezach jest duża, nieraz można się na nie dostać tylko „po protekcji".

Nie jedyny to kierunek ofensywy kulturalnej dyrektora Wnęka i jego podwładnych. Promuje się w bibliotece twórców nieprofesjonalnych — rzeźbiarzy i mala-

rosnącej popularności zimowego sportu, i bardzo szybkim przeobrażaniu się sprzętu, technik, zwyczajów.

Narty „Zubki" klejone już były żywicznym klajstrem, co skutecznie zapobiegało odkształcaniu się szpiców. Modne były wtedy wiązania „Bilsteiny", kijki bambusowe, a Stanisław Zubek sam produkował kilka rodzajów znakomitych smarów, robił też własne wiązania. By najlepiej dostosować giętkość i długość nart do wzrostu i wagi klienta, skonstruował wytwórca bardzo zmyślne urządzenie, tzw. wagomierz — teraz Zubkowy patent uświetnia narciarską wystawę.

W 1937 r. najlepsze narty Zubka kosztowały 76 złotych (lecz można było kupić deski i za 28 czy 15 złotych), zaś średnia pensja oscylowała w granicach 120. Gdzie te czasy?

Osobnym, i jakże malowniczym, wątkiem zakopiańskiej wystawy jest damskie narciarstwo. Po elegantkach uwiecznionych na starych fotografiach, po dyskretnym uroku wielkich kapeluszy i obcisłych sukien, nastaje moda zgoła odmienna, pojawia się pierwsza odważna w spodniach. A jednak Zofia Polankówna (która w 1928 r. wyskakała w spódnicy I miejsce na Krokwi) — gromadzi cały tłum ciekawych panów...

Z 1928 r. zachował się strój reprezentanta Polski na olimpiadzie, Stanisława Pradziada: spodnie i bluza z samodziału, specjalne buty i getry. Całkiem szykowny uniform.

Potem były FIS-y i zawody, medale, puchary, dzielne dziewczyny, wspaniali chłopcy. Radość tamtych lat aż bije z plakatów pełnych słońca i powabu — nasze plakaty zdają się przy nich dziwnie ponure, barwy — zgaszone.

Aż przyszedł polski Wrzesień. Kurierskie szlaki, ucieczki, więzienia, śmierć przypadkowa, głupia, konieczna. Męczeństwo, chwała i zdrada topiły się pod Tatrami w wojennym tyglu. Od czterdziestego pierwszego roku Niemcy rekwirowali wszystkie narty dłuższe niż metr sześćdziesiąt i przemalowywali je na biało, znacząc zielonym pasem pośrodku. Dłuższe deski, ukryte głęboko w zakamarkach domów, dzieliły los mundurów i broni.

Nastały czasy nowe; wyścig w doskonaleniu sprzętu i technik — coraz bardziej zwariowany. Ale czar białego szaleństwa jakby zaczął się ulatniać. Jeszcze zdziwiona twarz Fortuny złowiona mgnieniem flesza, jeszcze wyczyn Łuszczka, Fijasa. A teraz już chyba gorycz poczucia, że świat nam uciekł pośpiesznym pociągiem.

Stanisław Marusarz — żywa legenda polskiego narciarstwa, „król" skoczni, ma tu swój osobny kącik. Znalazła się na wystawie zaledwie część jego imponującej kolekcji medali i pucharów, a i tak trudno uwierzyć, że to plon jednego życia. Barwne zdjęcie Marusarzy — wnuków w Alpach francuskich staje się jakby znakiem ciągłości.

Wiele jeszcze można wyczytać z eksponatów, zdjęć i pamiątek zgromadzonych w „Cyrankiewiczówce"; grube, szerokie „miszki", raki, kompozycje nart z „karplami" — opowiadają dzieje zimowej turystyki; skocznie nadają swoją miarę narciarskim wyczynom. Wielka Krokiew, która właśnie wzięła imię Stanisława Marusarza, wznosi się jak most *„między dawnymi a młodszymi laty"*.

— — —

Szczęśliwym pomysłem było równoczesne wystawienie na Kozińcu prac Stanisława Barabasza, dokumentów i zdjęć składających się w historię jego długiego, bogatego życia. Ten architekt, malarz i pedagog, zapalony myśliwy i taternik, współtwórca stylu zakopiańskiego, wytrawny rysownik, miłośnik podhalańskiej sztuki zdobniczej, długoletni dyrektor Szkoły

Przemysłu Drzewnego — człowiek utalentowany i wszechstronny — okazał się pierwszym w Polsce nosicielem bakcyla białego szaleństwa. Górale, niewierni Tomasze, musieli ponoć na własne oczy ujrzeć Stanisława Barabasza na nartach, by uwierzyć w rzecz tak dziwną. Jerzy Skotnica w swoim szkicu notuje pierwsze wyrażenie leśnego Gronikowskiego: *„— Cosi kieby sonecki, a nie sonecki, bo wąskie ślady, popycho sie kijem, juści pewnie człowiek, bo jako to jedzie?"*

A tym, jak liczna będzie gromada „spuscocy" za lat kilkadziesiąt, zdziwiłby się pewnie i sam Barabasz.

Zdjęcia: ROMAN SERAFIN

JAN POPRAWA

GWIAZDOZBIÓR

Przybora

Jubileuszowy, dziesiąty Przegląd Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu rozpoczyna się „galą" dedykowaną Jeremiemu Przyborze. Piszę te słowa jeszcze przed wrocławskim festiwalem — ale już w tej chwili mogę pokusić się o stwierdzenie, że inauguracyjny koncert tego najsympatyczniejszego spotkania z piosenką, to będzie wielkiej miary wydarzenie. Rzecz nie w tym bowiem, jak ostatecznie przebiegnie sam spektakl (aczkolwiek nazwiska realizatorów zapowiadają najwyższą jakość), ale w materiale, z którego został ułożony. W utworach Przybory właśnie. A że i samego Przyborę zobaczyć będzie mogła na scenie wrocławska publiczność — uzasadnione staje się zawołanie, jakby od sprawozdawców sportowych pożyczone: *jaka szkoda, że nie wszyscy mogą w owym zdarzeniu uczestniczyć!*

Jeremi Przybora jest artystą odmiennym niż wszyscy goście i bohaterowie opisywani dotychczas w naszym „Gwiazdozbiorze". Osobliwość tego twórcy odbiera wręcz śmiałość ewentualnemu portreciście. My jednak (jak Czytelnicy „Dunajca" pamiętają) nie kusimy się przecie o portrety, lecz ograniczamy do skojarzeń i impresji. Powiemy więc nieco chaotycznie, że:

Przybora — to kreacja literacka. To mistrzostwo stylu, w którym objawja się osobowość autora, jakby zgodnie z zawołaniem *styl to człowiek*. Styl Przybory — to nieco staroświecka elegancja, to poszanowanie reguł, to zabawa literacka. Pisarstwo Jeremiego Przybory jest swoiście niemodne, jakby *niedzisiejsze*. Przypomina (być może) „Opowiadania Profesora Tutki" Szaniawskiego. Obrazy rysowane są z dystansem, z wyczuwalną ironią — ale bez przekraczania granicy, jaką autorowi wyznacza artystyczna forma. W twórczości Przybory nie ma nigdy osobistego zaangażowania, jakże charakterystycznego dla współczesnego nurtu *estrady autorskiej* (a więc bardów, kabareciarzy nowego typu etc.). A przecież nikt nigdy nie posądził Przybory o brak wyrazistości, o błahość poglądów czy nijakość postawy...

Przybora to także kreacja kabaretowa. I to kreacja szczególnego typu: telewizyjna. Kabaret od niepamiętnych czasów kojarzył się i kojarzy z bezpośrednim, żywym kontaktem artystów i widza. Tymczasem telewizja, przekaz „zimny", stwarza niewyobrażalny wręcz dystans między owymi stronami kabaretowego zdarzenia. Tymczasem Jeremi Przybora zdołał dokonać sztuki wyjątkowej, przynajmniej na gruncie polskim, i stworzył „Kabaret Starszych Panów", który stał się jednym z najważniejszych doświadczeń artystycznych w historii polskiej sztuki kabaretowej.

Istota „Kabaretu Starszych Panów" polegała między innymi na wykorzystaniu swoistej „nieziemskości" (a w każdym razie — niecielesności) komunikatu telewizyjnego. Postaci Starszych Panów (obok Przybory — nieodżałowany Jerzy Wasowski) były w jakiś matafizyczny sposób nierzeczywiste. Pojawiały się tylko na telewizyjnym ekranie, nigdy nie „znżały się" do estradowego występu. Przemawiały ponadto ze świata nierealnego takiego, który wyczarować może jedynie telewizja, film lub senna wyobraźnia. W połączeniu ze wspomnianą już niejaką staroświeczczyzną języka, z „niedzisiejszą" elegancją — stroju, manier, wszystkiego — stawali się Starsi Panowie emisariuszami innego świata. Dla wielu — świata lepszego. Przy Starszych Panach zapomnieć można było o chamstwie naszym codziennym, o niedostatkach, o gniewach. Działali jak środek halucynogenny, przenoszący na chwilę do świata niewyobrażalnego ładu i spokoju. Nawet oprych w owej kreacji Przybory nosił nazwę *odrażający drab* i był sympatycznym dzieckiem, które zbroiło i żałuje...

Przybora więc — to świadoma kulturowa alternatywa wobec tego, co nas otacza. Bez najmniejszego zacietrzewienia, spokojnie i konsekwentnie — proponował ów autor świat harmonijny, ułożony wedle reguł dawno zapomnianych, świat, jaki mógłby być. Pokazując z właściwą sobie ironią rozmaite dziwne figurki tego świata — nigdy nie stracił Przybora wizji ogólnej. Wizji, którą odczytać można łatwo, bez potrzeby *przebijania się* przez aluzje i metafory, przez słowa i znaki...

Magdzie Umer, artystce — jak wiemy — nietuzinkowej, udało się skłonić Jeremiego Przyborę do osobistego udziału we wrocławskim koncercie. Najpiękniejsze piosenki napisane przez Mistrza wykonywać będą aktorzy młodego pokolenia: Zamachowski, Machalica, Biedrzyńska, Pakulnis, Józefowicz i inni. Jak ich widzenie świata przystawać będzie do niedzisiejszej formy utworów Przybory? I jak nasze skojarzenia zniosą nowy kształt, nadany owym piosenkom? Jak się uda zastąpić Kwiatkowską, Michnikowskiego czy Gołasa? A może nie będzie to wcale zastępstwo, tylko utożsamienie się kolejnego pokolenia z owym *światem wymarzonym* Jeremiego Przybory?

Dla piosenki polskiej, dla polskiej estrady, ba, dla kultury naszej całej — jest Przybora postacią jedną z najistotniejszych. Postacią, o której istnieniu nie wolno zapominać. Dobrze więc, że wrocławski festiwal jubileusz swój czci takim właśnie koncertem — spektaklem. Wykorzystując modę na *piosenkę aktorską*, modę na festiwale — przypomni dorobek Mistrza młodym pokoleniom, które wyrosły po czasach „Kabaretu Starszych Panów". I które w miejscu przynależnym dla sztuki znalazły wrzask jeno, łoskot i bezmyślną paplaninę...

---

rzy, organizuje wystawy twórcom uznanym. Od lat dużym powodzeniem cieszy się cykl spotkań z pisarzami — szeroko znanymi i stawiającymi dopiero pierwsze literackie kroki. Na przykład prawdziwe tłumy przyszły na spotkanie z autorem „Pocztu cesarzy rzymskich" i „Wojny trojańskiej" — Aleksandrem Krawczukiem. Było to jeszcze wówczas, gdy nie przymierzał się on nawet do ministerialnego fotela.

Dyrektor Wnęk zajmuje się także zbieraniem materiałów do planowanej rozprawy doktorskiej na temat życia kulturalnego i literackiego Sądeczczyzny w latach 1918 — 1975. Ma już tych materiałów bardzo dużo i mógłby przystąpić do pisania, ciągle jednak wydaje mu się, że czegoś brakuje. Tymczasem spisuje swe dociekania zbieracko-naukowe na małych fiszkach, byleby nic co ważne nie umknęło. Taką już ma naturę: nic po łebkach i nic w pośpiechu. Można by jednak zapytać, czy aby historia się nie powtarza? Wszak w końcu lat sześćdziesiątych, gdy obecny dyrektor Wnęk był jeszcze studentem wszechnicy Jagiellońskiej i zbierał materiał do pracy pisanej pod kierunkiem prof. Tadeusza Ulewicza na temat pierwiastków ludowych w średniowiecznej literaturze, też ciągle sądził, że materiałów ma zbyt mało. Tę opieszałość wytykał mu nawet kierownik żakowskiej bursy, pan Buszek. Aż pewnego dnia dwaj koledzy zamknęli studenta Wnęka w pokoju i kazali mu pisać, donosząc tylko pożywienie, by śmiercią głodową nie zginął. Metoda okazała się bardzo skuteczna: po kilku dniach powstała praca jak marzenie, oceniona bardzo pozytywnie przez wysoką komisję egzaminacyjną.

Świeżo upieczonyy magister Wnęk wyruszył w samodzielne życie. Wyczytał w jakiejś gazecie, że Muzeum Marii Konopnickiej w Żarnowcu nad Wisłokiem poszukuje młodszego kustosza. Nie namyślając się długo, spakował w plecak rzeczy osobiste, zaś książki do kilku paczek i pojechał do Żarnowca. Przypadł mu do gustu ów dom ofiarowany przez naród w 1903 r. 60-letniej pisarce. Rozczytał się młody kustosz w twórczości patronki muzeum, doceił patriotyczny charakter działalności i pisarstwa Konopnickiej, dostrzegł oryginalne, nie kwestionowane wartości artystyczne jej poezji i mógł opowiadać o tym bez końca goszczącym w muzeum wycieczkom. Opracował też (bo uważa, że wszędzie należy po sobie zostawić trwały ślad) katalog druków. Uhonorowany został za to Złotą Odznaką Towarzystwa im. Marii Konopnickiej.

Ciągnęło go jednak w rodzinne strony. Do Sądeczczyzny, jej historii i krajobrazu, do tutejszych ludzi. Do Kiczni i przepływającego przez wieś potoku, stoków porośniętych starym lasem, ziemi uprawianej w trudzie. Do architektury i historii Starego Sącza — miasta, które sławili Tuwim, Różewicz, Kubiak, w którym pod okiem polonistki rozkochał się w książkach. Ciągnęło go do miejsc, gdzie — jak pisała Maria Konopnicka:

Pod moją chatą Dunajec biały
Dziwną pieśń śpiewa, bijąc ze skały

U mojej chaty Dunajec gada
Prastare skazki mego pradziada

Wrócił przy pierwszej nadarzającej się okazji. I gazduje tu, w swojej bibliotece, już tyle lat.

A jakby mało mu było tego, co robi z „urzędu" — zaczął zbierać anegdoty i historyjki związane ze Starym Sączem i jego okolicami. Ma ich już sporo — sam nie wie ile. Może opowiadać, kiedy i w jakich okolicznościach bywała u znajomej malarki — Bronisławy Rychter-Janowskiej, jej szwagierka — Gabriela Zapolska, o tym, że w domu narożnym w Rynku, przy drodze wiodącej w stronę Piwnicznej, mieszkał por. Marcin Fiutowski — jeden z bohaterów szarży pod Somosierrą, później zaś uczestnik Powstania Listopadowego, o lotniku Kubali, który w okresie międzywojennym podjął wspólnie z majorem Idzikowskim nieudaną próbę przelotu przez Atlantyk. Zżyma się, gdy słyszy często powtarzany przez przewodników lapsus, że Stary Sącz leży na Miejskiej Górze zwanej inaczej *Poczekajem* i że tu nastąpiło spotkanie Marysieńki i króla Jana, wracającego spod Wiednia. *Poczekaj* znajduje się na peryferiach miasta od strony Gołkowic, zaś spotkanie królewskiej pary nastąpiło na drodze wiodącej od Piwnicznej, prawie w centrum miasta. Nazwa *Poczekaj* wzięła się stąd, że wracający ze sprawunków w Starym Sączu bogaci gospodarze wstępowali do karczmy przy tej drodze, a parobkom mawiali: poczekaj!

Pracuje magister Wnęk gdzie może społecznie. Jest współtwórcą i prezesem Oddziału Towarzystwa Przyjaciół Książki (jednego z siedemnastu w całej Polsce). W związku z tym niedługo spadną na niego nowe obowiązki, gdyż we wrześniu ma się odbyć na Ziemi Sądeckiej II Ogólnopolski Zjazd Towarzystwa. Działa w Polskim Towarzystwie Historycznym i w Towarzystwie Przyjaciół Starego Sącza. Ma też inne, drobniejsze pasje. Po co mu to wszystko? Sam nie wie. Po prostu musi działać. Bo Antoni Wnęk to postać trochę renesansowa, trochę romantyczna. Mało już takich.

CZESŁAW MICHALEC

Wielkanocne „słomioki" z Dobrej

Wśród zwyczajów — które ubarwiają świąteczne dni w okolicach Dobrej, Jurkowa, Tymbarku — jest zwyczaj chodzenia od domu do domu tzw. *śmigusnych słomioków*, praktykowany dawniej powszechnie, dziś prawie na wymarciu.

Przebieranie się i maskowanie jest bardzo stare i szeroko rozpowszechnione. Przebierano się w różnych celach — religijnych i magicznych, dla zwyczaju czy zabawy. Dla niektórych postaci przebierańców, które zadomowiły się w naszej kulturze, znaleźć można analogie w wielu krajach. Do najbardziej archaicznych należą postacie odziane w futra i słomę, a także przebrane za zwierzęta. Ich odwiedziny na przełomie roku, czy na wiosnę, oraz składane przez nich życzenia miały wielkie znaczenie w wierzeniach ludu, przynosiły ponoć dobrobyt, szczęście i zdrowie.

Śmigusne słomioki z okolic Dobrej wyruszają w swój obchód od domu do domu w nocy z niedzieli na poniedziałek wielkanocny. Duże wrażenie wywołują postacie o usmolonych twarzach, wyglądające jak drzewa okręcone powrósłami. Na głowach — olbrzymie czapy ze słomy. W jednej ręce trzymają długi kij, w drugiej — koszyk wyścielany słomą, do którego wkładają dary otrzymane od gospodarzy.

Ledwie zaczyna szarzeć, a nawet jeszcze przed świtem, słychać po wsi ujadanie psów; wszyscy wiedzą że „słomioki" ruszyły już w obchód. Nie wolno im nic mówić: „turkają", „mruczą", „świastają", ale nic nie mówią. Zwyczaj ten pozostał podobno po napadach Tatarów, którzy w średniowieczu siali spustoszenie na tych terenach. Mieli oni zwyczaj ucinać jeńcom języki, by nie mogli powiedzieć, w którą stronę skierowała się orda i w jakiej była sile. Inni twierdzą, że to nawiązanie do czasów, gdy źli ludzie króla Heroda rozbiegli się po świecie, zaprzeczając nowinie o Zmartwychwstaniu. Mieli oni za karę utracić mowę i zaczęli „turkać". Etnografowie w obrzędzie tym znajdują powiązanie z prastarymi magiami wiosennymi, w których kult wody i starej słomy odgrywał dominującą rolę.

„Dziady śmigusne" — jak ich tutaj nazywają — chcą być nierozpoznani przez otoczenie, dlatego smarują twarze na czarno lub zakrywają je skórami zwierząt, zostawiając tylko otwory na oczy. Muszą też uważać, by jakaś dziewczyna nie zerwała im maski, lub nie rozpoznała po głosie — byłoby to bowiem znieważenie zwyczaju.

Każdy dom chętnie i dziś przyjmuje przebierańców wielkanocnych, dając im różne dary, a zwłaszcza jaja. Nieraz w świąteczny ranek zaglądają oni na limanowski rynek, by tam zaprezentować się w całej okazałości.

Obrzęd ten jest niezwykle malowniczy, pełen ekspresji, choć jego aktorzy nie wypowiadają żadnych oracji ani nie składają życzeń, jak to ma miejsce przy innych obrzędach wielkanocnych. Obrzęd „śmigusnych słomioków" włączył do swego repertuaru regionalny Zespół Pieśni i Tańca „Limanowianie".

JAN URYGA

Dziad śmigusny z Dobrej

„BIAŁA IZBA" — ukazuje się pod mecenatem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego.

RYSZARD DZIESZYŃSKI:

KAWALER JEROZOLIMSKI Z KRUŻLOWEJ

Był synem starosty nowotarskiego, Prokopa Odrowąża-Pieniążka. Ojciec oddał go do Akademii Krakowskiej, gdzie początkowo studiował nauki wyzwolone. W dwa lata później widzimy go na uniwersytecie w Ingolstadt. Ale to nie nauka była jego życiowym powołaniem. Odnajdujemy go w szeregach wojsk hiszpańskich, gdy walczy z Turkami w Tunisie i Algerze, najpierw pod wodzą księcia Juana d'Austria w 1573 roku, a następnie pod rozkazami Emanuela Filiberta Sabaudzkiego. Spisywał się dzielnie, skoro ten ostatni taką oto wystawił mu opinię:

Pierwszy dowód pod Górą Krzyża na morzu rzymskim, gdy stawili czoła uzbrojonym Turkom, jakichś dwu z galeotami jako trzeci on sam wszedł na jedną galeotę i tam złożył wielkie dowody męstwa i swojej siły. Po drugie na wyspie Algeru, gdy nasi żołnierze odmierzyli obóz i wyciągnąwszy szczęśliwie dwa tysiące wrogów, sam następnie ugodzony pociskiem w ramię cało wyszedł z walki, choć nie bez zaciekłej rzezi. Po trzecie pod Tunedo ze środka wojska mauretańskiego, rozproszywszy wrogów, uwolnił swojego towarzysza będącego już w niebezpieczeństwie utraty życia. Po czwarte tamże pod Tunedo szybko donosi, że nieprzyjaciele przybywają z niezwykłą szybkością, by naszych niczego nie spodziewających się zagarnąć, nasi zaś żołnierze zawiadomieni dzięki niemu o zbliżaniu się nieprzyjaciół, wydarli wrogom oczekiwane przez nich zwycięstwo i jego gorliwość wszyscy wychwalają. Po piąte, gdy tryrema (trzywiosłowy okręt — przyp. RD) *Marabeka zjawiła się pod Ciolectum, on sam z naszej strony wdarł się na tryremę i znakomitego Turka mieczem przebił.*

Jak widać, Prokop Odrowąż-Pieniążek (noszący to samo imię, co jego ojciec, starosta nowotarski) lubował się w abordażach i walkach z przeważającym liczebnie wrogiem na pokładach jego własnych okrętów. Opinia ta podkreślała takie walory bojowe Prokopa, jak męstwo, szybkość działania, pomysłowość, ofiarność, koleżeństwo — i ma wysoką wartość, bowiem została wystawiona przez nie byle jakiego żołnierza. Emanuel Sabaudzki sławny był jako wódz w całym świecie chrześcijańskim. Syn króla Karola III, zyskał sobie w historii przydomek „Żelazny Łeb". Francuzi wyzuli go z księstwa, toteż zaprzysiągł im nienawiść i zemstę. Służąc pod rozkazami Karola V i Filipa II, rychło doszedł do godności dowódcy armii cesarskiej w wojnie z Francją w latach 1553-1558. Traktat pokojowy przyznał mu część utraconych ziem. Odzyskawszy Sabaudię, Emanuel uczynił Turyn swą stolicą, a rządzone przez siebie księstwo — potęgą morską. Tępiąc korsarzy mahometańskich z Tunisu i Algeru, miał okazję obserwować wyczyny Prokopa, który sprawiał się, jak widać, zawsze dzielnie.

W 1575 roku Prokop został przyjęty do niedawno utworzonego zakonu rycerzy jerozolimskich, a w Turynie książę Emanuel udekorował go komandorią Orderu św. Łazarza i Maurycego. Prokop przywdział czerwoną opończę i złote ostrogi nadane mu przez księcia i udał się na zjazd elekcyjny do Warszawy, gdzie zgromadzonej szlachcie opowiadał o niebezpieczeństwie tureckim, twierdząc, że już wkrótce Rzeczpospolita zetknie się z nim wprost. Radził wybrać Wielkiego Księcia Moskiewskiego na króla Polski, bowiem miał przeświadczenie, że jedynie ów ze znanych mu władców potrafi powstrzymać Turków. Wybrano — jak wiadomo — kogo innego, z marnym zresztą skutkiem, bowiem Henryk Walezy rychło podążył do Francji na opróżniony tron nad Sekwaną. Królem ostatecznie został Stefan Batory i Prokop zaciągnął się do wojska królewskiego. W 1577 roku wziął udział w wojnie z Gdańskiem. Bił się pod Latarnią i Tczewem. Pod Langrodem, jadąc na czele siedmiu żołnierzy, wpadł na podjazd wroga liczący 24 rajtarów. Przeszło trzykrotna przewaga przeciwnika na nic się zdała. Prokop natarł na rajtarów, kilku z nich zabił, siedmiu wziął do niewoli, a reszta zbiegła, bądź padła pod ciosami szabel żołnierzy polskich.

Pod Tczewem został przyjęty do chorągwi nadwornej dowodzonej przez Jana Zborowskiego. Powierzono mu dowództwo nad rotą konnych. Dowodząc nią, dotrwał do końca wojny z Gdańskiem. W 1579 roku, jako dowódca roty husarskiej liczącej 142 konnych, wybrał się na kampanię połocką. W 1581 roku zdobywał Ostrów. Walczył też pod Pskowem, idąc w awangardzie wojsk polskich. Osobiście forsował mury zamku pskowskiego. W czasie walki został raniony kulą armatnią. Wylizał się jednak z tego i następnego roku pomaszerował ze swą rotą na Podole, gdzie przeganiał podjazdy tatarskie.

Nie zawsze przecież pozostawał w polu wraz ze swą rotą. Jako współdziedzic Skrzydlnej, a także dzierżawca Zamościa w powiecie sądeckim i Kasinki oraz administrator dóbr Klarysek w Łącku, parał się gospodarką. Poza tym za zasługi na polu walki otrzymał starostwa wendeńskie, rumbowskie i nitarskie w Inflantach. W 1586 roku ożenił się z Anną Wrząsowską, która wniosła mu w posagu wieś Wrząsowice oraz część Konar w powiecie szczyrzyckim.

W 1587 roku, a więc w rok po ślubie, Prokop udał się na kolejną elekcję. Tam oddał swój głos na „Piasta", a potem gdy takowego zabrakło — na króla szwedzkiego Zygmunta Wazę.

Kanclerz Jan Zamoyski, który miał do Prokopa zaufanie, choć swego czasu w kampanii moskiewskiej za jakieś przewinienie zwalił go z konia w wielkiej pasji i wlókł po śniegu — polecił mu udać się po elekta i eskortować go do Krakowa.

A potem Odrowąż-Pieniążek walczył w obronie tronu Zygmunta w 1589 roku pod Byczyną, gdzie Zamoyski rozprawiał się z wojskami arcyksięcia Maksymiliana Habsburga, niedoszłego króla Polski. Rota Prokopa stała w odwodzie i przez dłuższy czas jego żołnierze byli jedynie świadkami rozgrywających się zmagań. Aż nadszedł moment, gdy zdyszany goniec od Zamoyskiego dopadł Prokopa i krzyknął:

— Ruszaj waszmość na ciężką jazdę węgierską!

Prokop dał znak buzdyganem i jego jeźdźcy ruszyli do natarcia. Uderzyli w sam środek szyku węgierskiego, łamiąc go jak zapałkę na pół, a następnie rozpierając nacierających po bokach Węgrów. Jazda węgierska poszła w rozsypkę, a jej dowódca kazał trąbić do odwrotu. Zwycięstwo wojsk polskich było pełne. Po bitwie Zamoyski okazał Prokopowi kolejny dowód zaufania. Polecił mu eskortować wziętego do niewoli Maksymiliana Habsburga.

Prokop Odrowąż-Pieniążek — jak twierdzi autorka jego biogramu w Polskim Słowniku Biograficznym, Halina Kowalska — zmarł w 1589 roku w Sandomierzu, a więc 400 lat temu. Powołuję się na Halinę Kowalską dlatego, że znana jest inna data jego śmierci — rok 1620, ale być może dotyczy ona jednego z pięciu braci Prokopa.

A skoro jesteśmy przy jego braciach, warto zwrócić uwagę na Krzysztofa, który ma równie barwny, choć mniej waleczny życiorys. Wysłany na studia do Krakowa, prowadził tu hulaszcze życie, potem był dworzaninem królewskim, a następnie gospodarował w dobrach na Sądecczyźnie i w powiecie chęcińskim. Nie wiodło mu się i nawet myślał o opuszczeniu kraju i szukaniu szczęścia za morzami, jak to uczynił w młodości Prokop. Był czterokrotnie żonaty. W końcu ustatkował się i nawet jako właściciel ziemski zaczął zyskiwać profity ze swego gospodarowania. Duże dochody przyniosła mu — jak się zdaje — hodowla koni. Do tego stopnia rozmiłował się w tym zajęciu, że w 1607 roku wydał drukiem rozprawę pt. „Hippika albo sprawy poznania, chowania i stanowienia koni", w której zawarł praktyczne rady dla hodowców koni. Musiała mieć ta rozprawa powodzenie czytelnicze, skoro w rok później Krzysztof Odrowąż-Pieniążek zdecydował się wydać następną rozprawę. Tym razem jednak zaprezentował się swym czytelnikom jako po trosze pamiętnikarz, a po trosze... moralista. Tytuł rozprawy brzmiał: „Etyka albo Zwierciadło żywota Krzysztofa Pieniążka". W dziele tym odkrył przyczynę trudności politycznych, jakie przeżywała Rzeczpospolita. Otóż było nią... rozdawanie dóbr ziemskich niewłaściwym ludziom. Czyżby zazdrościł innym profitów i łask spływających od tronu?

Krzysztof Odrowąż Pieniążek zmarł w 1619 roku w Sandomierzu, podobnie jak jego starszy brat.

Nowe wyrasta z tradycji

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1 „BIAŁEJ IZBY")

Jaśniejsze prognozy na przyszłość ma Wojewódzki Ośrodek Kultury. W Ropie koło Gorlic przejęliśmy zabytkowy zespół dworski, w którym za kilka lat powstanie Międzywojewódzki Ośrodek Kształcenia i Doskonalenia Kadr dla Kultury. Poza pomieszczeniami na działalność kulturalną, będzie tam także osiemdziesiąt miejsc hotelowych i zaplecze gastronomiczne. Od gospodarzy miasta Nowego Sącza otrzymaliśmy Dzielnicowy Dom Kultury w Zawadzie. Po modernizacji chcemy tam stworzyć wzorcową placówkę kulturalną. Sądzę, że do roku 1992 obiekt zostanie oddany do użytku.

— ***Otrzymał Pan niedawno nagrodę wojewody za wybitne osiągnięcia w upowszechnianiu kultury, a także prestiżowy medal „Za mądrość i dobrą robotę" od „Gazety Krakowskiej". Do jakich pomysłów inspirują Pana te wyróżnienia?***

— Od dłuższego czasu myślę o utworzeniu Sądeckiej Fundacji Kultury. Może dodatkowe środki gromadzone dzięki prywatnym ofiarodawcom i instytucjom pomogą nam jeszcze skuteczniej działać, wspierać społeczne inicjatywy. Ze wstępnych sondaży wynika, że Fundacja może liczyć na poparcie. Chciałbym także pomnażać zasoby tego funduszu, prowadząc działalność gospodarczą. W 1986 roku moja rodzinna wieś, Kamionka Wielka, świętowała 650-lecie założenia. Powstało wówczas Towarzystwo Miłośników Kamionki, któremu prezesuje szef „Konspolu", Kazimierz Pazgan. Ja pełnię funkcję zastępcy. Niedawno zrodził się pomysł utworzenia tam Fundacji Młodej Polonii. Przywołując myśl Orkana: *nie przecinaj korzeni łączących cię z rodną ziemią* — chcemy umacniać więzy młodzieży polonijnej z krajem przodków, przekazywać jej wartości zachowane w naszej regionalnej kulturze i sztuce. Fundacja ma już czterech „ojców": „Konspol", Izbę Przemysłowo-Handlową Inwestorów Zagranicznych „Inter-Polcom" w Warszawie oraz Gminną Radą Narodową w Kamionce Wielkiej i nasze Towarzystwo.

W codziennej pracy Ośrodka również staramy się tworząc nowe — nie tracić związków z przeszłością, pamiętać o tradycji.

Rozmawiała LUCYNA KASZUBA

STANISŁAW STANUCH

POŻEGNANIE RODZINNYCH STRON

(fragment powieści pt. „Modlitwa o szczęśliwą śmierć")

Chociaż niniejsza opowieść oparta została na realiach uczestników, świadectwach, dokumentach i faktach, jest fikcją, czyli wizją dziejących się wówczas wydarzeń, a występujące w niej osoby nie mają zamierzonego podobieństwa do nikogo z żyjących lub zmarłych.

Sobota, 15 stycznia 1949

Kazimierz Floryan wybrał się najwcześniejszym, porannym pociągiem do Żegiestowa. Chciał przyjrzeć się treningowi młodzików narciarskich przed czekającymi ich wkrótce zawodami. W przedziale kolejowym siedział mężczyzna. Jego twarz wydała mu się znajoma. Szybko ustalili fakty: był to major dyplomowany Alfred Figura. Przed dziesięciu laty spotkali się na skrzyżowaniu dróg koło Węglówki, podczas wycofywania się oddziałów 2 Brygady Górskiej na linię Sanu.

Major, po pięciu latach internowania w Szwajcarii, z grupą generała Prugara-Ketlinga wrócił do kraju i został awansowany na pułkownika. Jechał do sanatorium wojskowego w Krynicy. Floryan opowiedział mu o historii, organizacji i pracy kurierów działających w tych okolicach podczas okupacji. Z kolei pułkownik zrewanżował się informacją o wielu dawnych sanacyjnych oficerach, którzy podjęli służbę w nowej armii. Przypomnienie sobie wydarzeń sprzed lat jakby ich odmłodziło. Ani się obejrzeli kiedy trzeba się było rozstać w Żegiestowie.

Pod wieczór Floryan wrócił do Mszanowa. W domu czekał na niego mężczyzna w angielskim battle-dresie. Padli sobie w objęcia. Przybysz był przed wojną dowódcą batalionu w mszanowskim pułku. Major Sokołowski, on to bowiem był, przed kilku miesiącami wrócił z Zachodu i osiedlił się wraz z rodziną w Zielonej Górze. Żona Floryana, Maria, przygotowała kolację, pokazała gościowi, gdzie będzie spał i dyskretnie wycofała się do swoich zajęć.

Początkowo rozmawiali o obecnych i wojennych losach żołnierzy i oficerów swojego pułku. Floryan zdawał sobie jednak sprawę, że jedynym celem wizyty majora nie może być naturalna chęć przypomnienia sobie „dawnych czasów". Istotnie, po pewnym czasie gość wyciągnął z teczki jakieś kartki.

— Chciałbym — powiedział — aby kolega się z tym zapoznał.

— Co to jest? — zapytał Floryan.

— Odpis dokumentu znajdującego się w Instytucie Sikorskiego w Londynie — wyjaśnił. — Proszono mnie, aby wszyscy oficerowie naszego pułku, do których zdołam dotrzeć, zweryfikowali na piśmie zawarte tam fakty.

Bezosobowy ton wypowiedzi zniechęcał do zadawania bardziej szczegółowych pytań, świadczył, iż misja majora ma poufny charakter. Natomiast nazwa i siedziba instytutu skłaniały do przypuszczeń, iż chodzi o zgromadzenie dokumentacji historycznej. A więc o cel poważny.

Zapisane gęsto pismem maszynowym kartki majora Sokołowskiego zawierały protokół *spisamy dnia 11 listopada 1939 roku w obozie jeńców wojennych w Eberswalde, z oficerami pułku mszanowskiego, w sprawie losów sztandaru pułkowego na polu walki pod Hołoskiem, w środę po południu i późnym wieczorem dnia 19 września 1939.*

Według zeznań oficerów stan pułku wynosił wówczas tylko trzystu żołnierzy, mocno wyczerpanych bezustannymi trzytygodniowymi walkami. Prośba o przechowanie sztandaru skierowana do szefa sztabu Jarosławskiej Dywizji Piechoty, której pułk podlegał, spotkała się z odmową. Zachodziła uzasadniona obawa, że godło pułku może dostać się w ręce nieprzyjaciela. Spalenie lub zakopanie go uznano za przedwczesne.

Zdecydowano, iż najpewniejsze będzie dołączenie do kompanii kapitana Edwarda Dietricha zamierzającej w godzinach wieczornych przebić się przez pozycje niemieckie do Lwowa. Dowódca pułku wyznaczył dwunastu szeregowców mających tworzyć zwiększony poczet ochrony sztandaru. Dowódcą pocztu został jeden z najlepszych oficerów rezerwy pułku, podporucznik Jan Zieliński. Znał doskonale Lwów i okolice, a swoją postawą oraz cechami charakteru dawał najlepsze gwarancje wykonania powierzonego mu zadania. Kapitan Kazimierz Floryan nie miał nic do dodania na temat wydarzeń pod Hołoskiem, ponieważ podczas bitwy pod Birczą został odcięty od pułku i nie brał udziału w marszu do Lwowa. Nie znaczy to, że nic nie wiedział. Wizyta majora Sokołowskiego sprawiła, że przeszłość sprzed dziesięciu lat, zdawało się, całkiem już pogrzebana, nagle odżyła w świadomości Floryana. Ułożył gościa do snu a sam zasiadł przy stole na werandzie i przez kilka nocnych godzin napisał o wszystkim, co było mu wiadome, a co, sądził, może zainteresować tych, którzy gdzieś tam w Londynie chcą dojść prawdy o dziejach pułkowego sztandaru.

Podczas okupacji, a także tuż po wojnie, dużo mówiło się w Mszanowie o tragicznych losach pułku. Trudno się dziwić, gdyż większość zabitych i rannych to byli mszanowianie. Krążyły również rozmaite hipotezy misji podporucznika Jana Zielińskiego. Pierwsza sugerowała jego bohaterską śmierć podczas przebijania się do miasta, chociaż byli świadkowie twierdzący, iż widziano go w owym czasie we Lwowie. Według drugiej wersji, na wieść o poddaniu się załogi miasta Armii Czerwonej podporucznik miał owinąć się sztandarem i w przebraniu cywilnym ruszyć w kierunku Węgier, z pozostałymi przy życiu członkami pocztu.

Za Stryjem ogarnięci zostali przez ruchawkę nacjonalistów ukraińskich. Z całej grupy jedynie Zielińskiemu miało się udać wyrwać z zasadzki. Ciężko ranny dotarł do najbliższej plebanii. Przekazany księdzu sztandar pułku, oprawiony w ramy, podobno przetrwał okupację jako obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Podczas wysiedlania ludności polskiej z tych terenów, w latach 1945-1946, miał szczęśliwie dojechać wraz z parafianami owej wioski w okolice Świdnicy pod Wrocławiem.

Ktoś usposobiony sceptycznie może dziwić się ówczesnym ludziom, że w chwili, gdy ginął kraj, poświęcali tyle uwagi zwykłemu kawałkowi haftowanego płótna.

W żadnej chyba armii na świecie nie było wśród żołnierzy i oficerów, tak uczuciowego stosunku do sztandaru. W dużej mierze wynikało to zapewne z warunków, w jakich kształtowała się armia polska, oraz z tradycji przejętych od tych, co przeszło sto lat żyli w niewoli. Chociaż więc doświadczenia drugiej wojny światowej narzuciły pewną wstydliwość uczuć, a konieczność organizowania sobie życia na nowo, w odmiennych warunkach ustrojowych, utrudniała powroty do żywych jeszcze wspomnień, powszechnie odczuwano potrzebę istnienia czegoś, co reprezentuje wartości nienaruszalne, wieczne — trwalsze od przemijającej i kruchej egzystencji człowieczej. Misja majora Sokołowskiego trafiła na dobry grunt, wierzono bowiem jeszcze , iż wyświetlenie losów wojennych sztandaru pułku, tak mocno zrośniętego z miastem, pozwoli — wreszcie — zamknąć jeszcze jedną kartę historii.

Zaczątkiem mszanowskiej jednostki była garstka Polaków wcielonych przez zaborcę do zapasowego baonu dwudziestego regimentu piechoty austriackiej w Tarnowie oraz do batalionu trzydziestego drugiego pułku pospolitego ruszenia. Oddziały te skierowane w swoim czasie na front włoski, po walkach nad rzekami Piavą i Isonzo, na wieść o odradzaniu się państwa polskiego , zawładnęły wagonami kolejowymi i korzystając z chaosu w rozpadającej się monarchii austro-węgierskiej, przedarły się z bronią w ręku przez Lublanę, Graz i Wiedeń — do Mszanowa. Tutaj 17 listopada 1918 roku młodzi żołnierze po powitaniu na dworcu kolejowym, jeszcze w mundurach austriackich, ale już z orzełkami na czapkach, wraz z tysiącami mieszkańców miasta wzięli udział w uroczystości patriotycznej pod Ratuszem. Wtedy też zapadła decyzja połączenia z miejscowymi ochotnikami i natychmiastowego ruszenia na odsiecz Lwowowi, broniącemu się przed nacjonalistami ukraińskimi.

Zaimprowizowanemu w ten sposób oddziałowi, nazywanemu szumnie pułkiem, miasto ofiarowało najcenniejszą relikwię: chorągiew powstańców z 1863 roku. Floryan, stojący wówczas wśród ochotników na mszanowskim rynku, zapamiętał na całe życie wyprowadzenie w asyście honorowej chorągwi wiodącej niegdyś do walki męczenników sprawy narodowej. Był to płat amarantowego płótna o wymiarach sto dwadzieścia na sto centymetrów obszyty srebrnym szlakiem. Z jednej strony był wyhaftowany orzeł biały, na drugiej olejny wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Sztandar ten po wyzwoleniu Lwowa towarzyszył pułkowi we wszystkich bitwach wojny 1919-1920: od Lwowa, przez Rawę Ruską, Uhnów, Bełżec, Sokal, Magierów, Ostrobuż, Kijów, Brześć nad Bugiem, Kock, Białystok, Grodno i Małachowicze. Pod tym znakiem mnożył się tragiczny dorobek tego pokolenia, które na szalę Niepodległości położyło swą młodość, krew i życie.

Po zakończeniu wojny w budynku dowództwa pułku chorągiew powstańczą umieszczono w ozdobnej gablocie. W księdze pamiątkowej opisano według numeracji każdą z siedemdziesięciu przestrzelin, które, jak rany żołnierskie, zadane zostały w bojach Powstania Styczniowego i w walkach późniejszych.

Chorągiew ta symbolizowała tradycje bojowe pułku do dwudziestego pierwszego października 1928. Wtedy to prezydent Ignacy Mościcki wręczył pułkowi nowy sztandar. Wykonały go siostry zakonne z Mszanowa, a poświęcony został podczas uroczystej mszy polowej u stóp Ratusza. Chorągiew powstańcza, z należnymi jej honorami, przekazana została uroczyście do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Podzieliła ona los stolicy w latach drugiej wojny.

Nowy sztandar pułkowy nie doczekał się ani ozdobnej gabloty, ani księgi pamiątkowej, chociaż jego krótka historia była nie mniej dramatyczna niż dzieje chorągwi powstańczej. Dzielił on z pułkiem trudy żołnierskiego życia we wrześniu 1939 roku, przebył blisko pięćset kilometrów od Mszanowa aż po Jabłonicę Ruską, gdzie atak nieprzyjacielski zniszczył tak zwany wóz kapelana i godło trzeba było przenieść na inną podwodę.

Rola sztandaru pułkowego we wrześniu 1939 nie ograniczyła się tylko do biernego towarzyszenia jednostce w tragicznym odwrocie. Po załamaniu się obrony linii Sanu, w decydującym momencie bitwy pod Birczą, gdy przy życiu pozostało zaledwie kilkuset żołnierzy i wydawało się, iż przewaga Tyrolczyków złamie ostatecznie opór Polaków, kapitan Roman Gatály zawołał dwóch trębaczy, pozostałych ze sławnej orkiestry pułkowej, i przy dźwiękach granego przez nich hasła Wojska Polskiego, którego słowa i melodię każdy żołnierz znał na pamięć, wyprowadził na pole bitwy sztandar. Widok ten porwał Polaków do ostatniego wysiłku. Zaciekłość ich kontrataku zmusiła raz jeszcze Niemców do cofnięcia się.

Nazwisko powszechnie lubianego za swój iście madziarski temperament, niezwykłą prawość i szaleńczą odwagę kapitana Romana Gatály dotarło jeszcze raz do mieszkańców Mszanowa, gdy opublikowana została lista ofiar Katynia.

Sobota, 27 sierpnia 1949

Od trzech lat Floryanowie spędzali wakacje w Kosarzyskach koło Piwnicznej. Polubili owe dwa pokoje na górce drewnianego domu gajowego Muchy. Mili, gościnni gospodarze, okoliczne lasy pełne jagód i grzybów, czyste powietrze, proste, wiejskie jedzenie — czyż trzeba więcej? To cudowne miejsce wydawało się jakby stworzone na letnisko. Przedpołudniami zapuszczali się w stronę Niemcowej, pod Wielki Rogacz, a nawet ku Radziejowej, czy Przehybie. Popołudniami spacerowali czasem nad brzegiem Popradu, w stronę Piwnicznej, lub Łomnicy. Wieczorami, na werandzie, toczyły się rozmowy z gospodarzami i sąsiadami.

Po 1945 roku znowu modne stały się wyjazdy na letnisko. Może nie była to tylko moda? Wiele polskich rodzin mających za sobą lata rozpaczy i rozłąki, strachu i żałoby, potrzebowało terapii, wytchnienia. Nie oznacza to, że z zakończeniem wojny nastały czasy szczęśliwe. W okolicach Mszanowa, jak i w całej Polsce, toczyła się wojna domowa. Dla zwykłego obywatela objawiała się ona tym, iż wychodząc rano do pracy, pociągu, do szkoły, czy po zakupy, nigdy nie miało się pewności, czy nie natrafi się na rewizję przechodniów albo na strzelaninę uliczną.

Również w lasach spotykało się nie tylko zwierzynę, lecz także ludzi nie mogących pogodzić się z tym, co stało się w Polsce po 1945 roku, albo tych, którzy nie potrafili wyzwolić się z nawyków czasu wojny. Zdarzało się, że późną nocą budziły śpiących żołnierskie śpiewy dochodzące z pobliskich gór i lasów. Czasem były to piosenki polskie, czasem ukraińskie, gdy niedobitki UPA, tropione i ścigane w Bieszczadach, próbowały bezdrożami Beskidów przedrzeć się na Słowację, a stamtąd do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. W ciągu dnia można było jednak, prawie bezpiecznie, chodzić po okolicy, jeżeli słuchało się przestróg miejscowych, znających tutaj każdy kamień. Tym bardziej, że w pobliżu znajdowała się silna placówka WOP.

W sobotę, dwudziestego siódmego sierpnia Floryanowie powrócili wczesnym popołudniem do Mszanowa. Synowie, jak zwykle, namawiali do pozostania, ale kapitan nie uznawał improwizacji. Nie miał też zwyczaju zmieniania raz powziętych decyzji. Chciał być odpowiednio wcześnie w domu, aby po krótkim odpoczynku wziąć udział w konferencji nauczycielskiej poprzedzającej rozpoczęcie roku szkolnego.

Żona krzątała się w kuchni, a Floryan otworzył wszystkie okna w nie wietrzonych od dawna pokojach i zabrał się z synami do rozpakowywania plecaków, pakunków, walizek, oraz układania tego wszystkiego na swoim miejscu. Był to stały rytuał po każdej podróży. Nikt z domowników nie śmiał mu się przeciwstawić. Dopiero gdy wszystko było tam, gdzie być powinno, dał chłopcom wolną rękę, a sam usiadł w fotelu. Włączył radio, aby posłuchać wiadomości, zapalić fajkę i odpocząć po upalnym dniu. Po jakimś czasie usłyszał silne łomotanie do drzwi w sieni. Poszedł otworzyć.

— Czy zastaliśmy pana kapitana Kazimierza Floryana? — zapytał bardzo uprzejmie jeden ze stojących na zewnątrz mężczyzn.

— Kim panowie jesteście? — zdziwił się Floryan. Od dawna nikt nie zwracał się do niego w ten sposób.

W odpowiedzi najważniejszy z przybyszów wyciągnął z kieszeni jakiś papier i mignął nim przed oczami Floryana:

— Jesteście aresztowany — powiedział.

— Chciałbym wiedzieć za co? — zapytał, ale tamci wtargnęli już nachalnie do sieni i chwycili go mocno pod ramiona, jakby się obawiali, że im ucieknie.

— W odpowiednim czasie — poinformowali — wszystko będzie wam wyjaśnione.

Starając się panować nad nerwami, wyjaśnił:

— Muszą panowie wiedzieć, że zgodnie z prawem, oficera może aresztować tylko oficer.

— Nic nam o tym nie wiadomo... Mamy rozkaz was aresztować i wykonamy to, czy wam się to podoba, czy nie.

Puścili go jednak. Floryan, wykorzystując chwilowe uwolnienie, oświadczył:

— A jednak nie ruszę się stąd, dopóki nie pojawi się oficer.

Widocznie nikt dotąd nie śmiał im się przeciwstawić, bo ku zdumieniu Floryana zaczęli się półgłosem naradzać. Sprawiło mu satysfakcję, że zbił ich z pantałyku.

Po chwili najstarszy czy najważniejszy odezwał się:

— Niech będzie, idę po oficera, jeżeli spróbujecie uciec, koledzy mają rozkaz strzelać. Gdzie mógłby uciec? Sądził, że to jakaś pomyłka. Wyjaśni, co trzeba i wieczorem znowu będzie w domu. Tymczasem pozostali funkcjonariusze chwycili go pod łokcie, wepchnęli do pokoju, posadzili na kanapie, a sami tak się ulokowali, aby go mieć na oku. Żona weszła do pokoju, aby zobaczyć co się dzieje. Próbował z nią wysondować przybyszów, o co w tym wszystkim chodzi. Tamci znali tylko wyuczone formułki:

— Nie ma się pani czym martwić. To nie potrwa długo. Mąż wyjaśni pewne sprawy i koniec.

W podobnych sytuacjach tak mówią wszystkie policje na świecie. Sprawa widocznie nie była tak oczywista, bo cywile doradzili, aby aresztowany przebrał się w ubranie bardziej stosowne do miejsca, w którym ma przebywać.

Floryan przekonał się później wielokrotnie o tym, że ci, którzy po niego przyszli, wcale nie byli najgorsi. Mógł trafić na funkcjonariuszy korzystających ze swojej władzy bez skrupułów. W jego fatalnym położeniu nie było to zbyt wielkim pocieszeniem, ale przyjemnie jest czasem pomyśleć, że człowiek pozostaje człowiekiem bez względu na sytuację w jakiej się znalazł.

Do urzędu przewieziono go samochodem, ale tam również nie potrafiono lub nie chciano wyjaśnić mu powodów aresztowania. Ograniczono się do spisania danych personalnych, po czym zatrzasnęły się za nim z hukiem żelazne drzwi izolatki.

(ciąg dalszy nastąpi)

Tadeusz Malicki

(5)

Dunajcowe wody

Wstaje słoneczny, raźny dzień. Na skale, z drugiej strony Dunajca, ciemna ściana lasu rzuca na wodę głęboki cień. Płynie w cieniu zielona i cicha. Raz wraz wypryskują w górę srebrzyste pstrągi.

Znad lasu sterczy w górę jak turnia baszta niedzickiego zamku. Pękła od pożaru na poły, obnażając wnętrze bez podłóg i stropów. Jakaś belka sterczy jeszcze jak złamane ramię, puste okno oszkliło się błękitem nieba. Czarne świerki i jodły obejmują biodra budowli i szumią.

[...] Pod mostem na wybrzeżu ruch. Słychać cygańską kapelę, raz po raz zajeżdżają auta, maszerują wycieczki. Flisacy pienińscy w białych „portkach", z czerwono wyszywanymi przyporami, w niebieskich, bogato haftowanych kamizelkach, sprzągają czółna dłubane w topolowym pniu. Raz wraz odbijają trzy lub cztery związane ze sobą pnie czółen, umajone jedliną. Niesie je na sobie dunajcowa woda ku Pieninom, do parku narodowego.

Siadajmy i my. Oddajmy się mocnym rękom flisaków i płyńmy. Jesteśmy oślepieni słońcem, ogłuszeni kapelą, krzykami pozostałych w porcie. Za chwilę odbijamy od brzegu i niesie nas woda na srebrnej fali. Z wolna wyrasta raz jeszcze przed nami Dunajecki Zamek i znika za zakrętem. Z lewa góry lesiste i drożyna do Sromowiec, z prawa nad lasami Tatry.

Dzieciaki, pilnujące gęsi na kamieńcach, na widok łodzi rezolutnie zakasują koszuliny i, wszedłszy w bystrzyny, przepuszczają nas pod leszczynowymi witkami, zdobnymi w papierowe kwiatki, trzymając je w drobnych rączynach i mężnie walcząc z prądem. Stary Cygan, dobrze przyprószony siwizną, tkwi w nurcie, grając na skrzypkach.

Nareszcie płyniemy sami w słońcu i ciszy. Widok zrazu monotonny, urozmaica jedynie zainteresowanie, jakże my to przepłyniemy przez ten wart, co przed nami kipi, co będzie dalej za tym zakrętem? Tak dobijamy, po długiej jeździe mijając w Sromowcach piękną szkołę harcerską umieszczoną w stylowym domu, do Sromowiec Niżnych, właściwej przystani łodzi i flisaków.

[...] Czemże jest ten Pieniński Park Narodowy? Maleńkie skalne gniazdo, umiłowane przez Boga i hojnie przez Niego wyposażone w skały, wąwozy, łąki kwieciste i lasy szumiące. Przerżnięte Dunajcem, który płynie przez samo ich serce, w przedziwnych, nieoczekiwanych skrętach przełomu, trwają — jeden z cudów Polski — pieczołowicie chronione przez naród, który uznał, iż ten Rzeczypospolitej klejnot przechowany być winien w swej nietkniętej i nigdy już ręką człowieczą nietykanej szacie.

Niewielki obszar kilkuset hektarów, dla oka ludzkiego radość największa, dla ducha ukojenie idące z serca górskiej ziemi, dla wiedzy kraik przez swą różnorodność roślinną i zwierzęcą nader ciekawy, jakże łatwo mógł ulec zniszczeniu, gdyby pozostawał w prywatnych rękach. Wystarcza, by dotknęła go tylko siekiera. Stoki, dzisiaj prześlicznie lesistych gór, zamieniłyby się w piargowisko jałowe, pustynne. Zniknęłyby z lasem, niezwykłe zespoły roślinne, cofnęłaby się, i tak już nieliczna, zwierzyna i stalibyśmy bezradni nad trupem tego cudu ziemi, którego nie ożywiłoby nic i nigdy.

Jakże gorzko bylibyśmy oskarżeni przez potomność za grzech niedopatrzenia.

Dziś, kiedy wolą narodu naszego i rządu, jak też i wolą sąsiada, zabezpieczono przyszłość tych prześlicznych gór i tej najwspanialszej górskiej rzeki; kiedy jesteśmy spokojni, że nad brzegami jej nie powstaną autostrady dla modnego dziś w pewnych sferach, a tak źle wykonywanego hasła „udostępniania turystyki szerokim masom"; kiedy jesteśmy spokojni, że ziemi tej nie będzie zadany bezwstydny gwałt, jaki zadaje się niechronionym jeszcze Tatrom, oddajmy należną cześć ludziom, którzy walczyli o ideę stworzenia parku narodowego w Pieninach nieraz bardzo ciężko.

Gdyśmy tak społem przewędrowali od źródeł Dunajca do Pienin, przypomnijmy sobie, że widzieliśmy wyodrębnioną skałkę w Rogoźniku, w Szaflarach, Cisową Skałkę nad Leśnickim Potokiem, wreszcie Czorsztyńską i Niedzicką. Od Czorsztyna do Szczawnicy wyrastają Pieniny w wyraźny łańcuch górski, do 450 metrów n.p.m., rozgałęziają się w Małe Pieniny, a za nimi w Wysokich Skałkach dochodzą do potężnej już wysokości 1052 metrów n.p.m., tonąc wreszcie w karpackich fliszach Wielkiego Rogacza, Radziejowej i innych.

Tkwią na dnie olbrzymiej doliny, zamkniętej Gorcami, Gubałowskim, Magurą Spiską, Radziejową z Wielkim Rogaczem. Dnem tej misy płynie Dunajec, którego wody wypłukały ukryte w dolinie skałki i przecięły przełom jeszcze przed epoką lodową.

Starość pienińskich skałek, spłot innych warunków, jak: ukształtowanie, rozmaitość gleby, klimat pośredni pomiędzy nizinnym a górskim, wytworzyły nader rzadki charakter flory pienińskiej, jak rośliny wilgotne i suche, stepowe i wysokogórskie, południowe, to znów prawie arktyczne.

Rośnie tu Chrysanthemum Zawadzki (złocień Zawadzkiego), jaki spotykamy tylko na Uralu i Syberii. Rzecz oczywista, że roślina ta, żyjąc w odosobnieniu, w stosunku do tej samej rośliny na Syberii czy Uralu, ma odrębny wygląd i tworzy już specjalną rasę (endemizm).

To samo stało się z orlikiem pienińskim, piołunem pienińskim, głowienką pieniński i innymi. Są również gatunki nie endemiczne, lecz mające swych braci w południowej Rosji i na Podolu, lub, jak jałowiec sabiński, na południu i wschodzie Europy.

Są w Pieninach przybysze z Północy (z okresu dyluwium), jak Coniselium Fisheri lub nietoperz, mroczek pozłocisty.

Rośliny te żyją w zespołach (asocjacjach), sadowiących się na pewnych miejscach, np. zespół elementów stepowych tkwi na bezleśnych skałkach wapiennych, towarzyszy mu zespół roślin wysokogórskich a między nimi takie, których nie ma nawet w bardzo bliskich Tatrach.

Nawet sosna, aczkolwiek nie różniąca się niczym od sosny nizinnej, występuje w towarzystwie zespołów charakterystycznych dla suchego, kamiennego stepu.

Pieniński pra-las bukowo-jodłowy zmienił swe oblicze dopiero wtedy, kiedy wkroczył człowiek, wprowadzając sztucznie świerk. Las ten ma charakter puszczy, tym samym utrzymuje się tu i zwierzyna puszczańska. Zaginął wprawdzie zupełnie niedźwiedź, ale spotykamy w Pieninach, choć bardzo rzadko, żbika i rysia, borsuka, kunę domową i leśną, łasicę, ryjówkę, dzika, nie mówiąc o sarnie i jeleniu przechodnim.

Ze 150 gatunków ptaków rzadkim lecz spotykanym jeszcze jest gnieżdżący się tutaj puchacz (bubo bubo).

Nietoperz północny, mroczek pozłocisty, kołysze się tutaj obok swego brata, podkasańca wąskoskrzydłowego, żyjącego również w Pirenejach.

To samo zjawisko spotykamy w świecie owadów i motyli (1000 gatunków w Pieninach).

Gdybyśmy zatem Pieniny poddali gospodarce człowieka, w postaci wyrębu lasu, kośby polan itd., rzadkie i stare asocjacje musiałyby ustąpić nader pospolitym, towarzyszącym człowiekowi. Księga ziemi zostałaby w swej dawnej i nietkniętej postaci zamknięta, zastąpiłaby ją popularna książeczka dnia dzisiejszego.

W tym więc leży sens i konieczność tworzenia parków narodowych na terenach, na których występują ciekawe i możliwie nieskażone zespoły roślinne, jak i okazy geologiczne, zwierzyna.

Przyjdą po nas ludzie, którzy dotknąwszy stopą tej ziemi, wspomną z szacunkiem głębokim i serdecznie tych, którzy tworząc park narodowy w Pieninach, zostawili potomności małą, ale jakże cudowną oazę w pustyni świata kamiennego i uzbrojonego po zęby.

★

Cicho odbija nasza łódź od przystani, pomyka w cieniu ogromnych lip klasztornych, na wprost ku majestatycznym Trzem Koronom. Pochyliły niepokalane czoła nad wodą, ostre końce korony obrzeża delikatny azur lasu. Za nami, w mgiełce, rosną wzwyż Tatry.

Porywa nas bystry nurt i niesie prosto na Ostrą Skałę. Pod topolowymi czółnami bełkoce i swarzy się spieniona woda, przerzuca nas przez żabice, potrąca i kołysze. Drobna dziecięca dłoń ujmuje moje ramię na nagłym zakręcie pod ścianą. Trwamy tak w ciepłym uściku, wjeżdżając w krainę ze snu. Pofałdowane fantastycznie ściany Grabczychy i Świniej Skały opadają pionowo w wodę zieloną, tak nagle uciszoną, odbijając się w niej srebrzyście i bezdennie. Z prawa, ciemne lasy rzucają na wodę cień, środkiem wężą łuską iskrzą się fiołkowo-niebieskie odblaski nieba. Jesteśmy w tunelu złożonym ze skał, lasów i nieba, pogłębionym odwrotnym obrazem, który rozbija, roztrąca na tysiące innych światów łódź.

— *Ziemia opowiada bajki* — szepcze mi mała towarzyszka.

— *Słuchajmy* — odpowiadam jej również szeptem jak w kościele.

Przed nami daleko wystają z wody żebra skalne, wybielone od słońca. Rzeka zwęża się w kamiennym łożysku, dawnym Zbójnickim Skokiem, kędy jeszcze na kamieńcu widno odcisk Janosikowej stopy. Toń zdaje się szklana, bez dna. Za chwilę jednak ożywia się, szepce, faluje, pieni i porywa czółno na wielkim zakręcie pod Klejową. Przez moment widzimy znowu Trzy Korony w głębi tunelu, który dopiero co przejechaliśmy: woda wzburzona i wartka omija długi język półwyspu, wrzynającego się w jej nurt jasną, słoneczną murawą. Miodny zapach płynie z Polany Huty, ujętej w ramę bukowych lasów Golicy. Zębate czuby płaskich jak papier Mnichów zamykają przed nami wodny szlak. W szmaragdowej jego toni odbijają się i kąpią srebrnorune obłoki i płyną razem z nami. Znowu pod nakazem czaru przeinacza się świat. Woda rzuca się nagle sierpem błyszczącym w lewo, wprost na potężną pierś góry. Spada po niej ciemny las przeźłobiony żlebem. Odbicie góry zabarwia nurt ciemnym malachitem. Złote bryzgi słońca, mieszając się raz wraz ze srebrnymi grzywami fal i bryzgami pian, rozpływają się kręgami barw w wyszukany deseń.

Nie masz przed nami drogi.

Jak gdyby rzeka wielka nagle przenikała w głąb Faćmiecha i zapadała się bez śladu. W głębokim cieniu znaczy się jedynie jej nurt koronką białej piany. Nieodparcie porywa nas wart dunajcowy w swe uściski i niesie prosto na ścianę. Srebrnym pazurem szarpie wiotkie czółna, przechyla w dziecinnym poczuciu siły, podrzuca i kołysze na zwełnionej falami toni, bryzga chłodnymi odpryskami fali w lica.

Fot. PAWEŁ JAROSZEWSKI

Ciemna ściana skały przepływa przed nami w gwałtownym pędzie, otwierając wolną drogę na spokojną toń.

Ze stromych ścian Ligarków las płynie jak ta woda, ciemny i cichy. Odśmiecha mu się kwietnym blaskiem polanka. Z wysokości drogi samotny przechodzień rzuca nam pozdrowienie i uśmiech. Jesteśmy z jednego bractwa włóczęgów w krainie Czaru.

Nieograniczona w bogactwach ręka rzuciła przed nami spiętrzone wierchy Czertezika, Czerwonych Skał tonących stopami w leśnych tajniach. Płyniemy ciągle wokół Golicy, by nagle nad jej czubą zobaczyć śmigły szczyt Sokolicy. Wyrasta i odsłania się wysoką, pionową ścianą, pnącą się wzwyż i wzwyż, podpierającą czołem niepokalane niebo. W głębokim cieniu, w jakim płyniemy, mieni się w słońcu natężonym blaskiem jej biała pierś. Wbita w toń, zmusza wody do opływu szerokim okolem Przechodków Wielkich, tak, że widzimy za chwilę jej dostojny królewski płaszcz, deliję pachnącą żywicą, spadającą z barków w dolinę.

Zapatrzyły się na nią — królową — Sama Jedna i Bystrzyk. Szumią jej lasy i wdzięczy się woda.

Cierpko pachną olchy u gospody pienińskiej. Dochodzi nas gwar ludzi pod Hukową, raz jeszcze, jakby na pożegnanie, niosą nas bystre wody dookoła Hukowej i — bajka skończona.

Barwny rój górali od Szczawnicy i Krościenka otacza nas w porcie, mały konik ciągnie nas — jeszcze oszołomionych — pod wysoką górę, na której rozsiadło się zdrojowisko Szczawnica.

Ongiś bardzo modna, dziś zawsze potrzebna ze względu na znakomite lecznicze źródła szczawy sodowo-alkalicznej, roi się od kuracjuszów (mniej lub bardziej ponętnych) i od turystów. Pomału zapada noc. W parku przez zielone liście przeświecają lampy. Cicho gra muzyka.

W jednym okienku, przy zielonej lampce, pochylona nisko nad stołem, przyprószona szronem głowa. Pracuje Jan Wiktor, pisarz i ziemi tej piewca, pracuje. Odejdźmy na palcach.

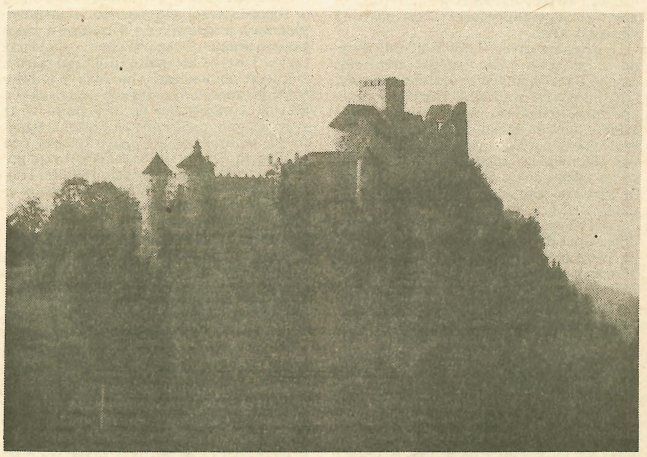

Zamek w Niedzicy

Fot. BOGUSŁAW RAWIŃSKI

GABRIELA R. DANIELEWICZ (95)

Pamiętnik sądeczanki

Chwaliła stroje córek, ich grzeczność i wdzięk, cieszyła się z odwiedzin, mimo to wyczuwałam w jej słowach nutę zawodu. Najwidoczniej Małgosia snuła jakieś mariażowe plany i bolała nad ich rozwianiem. Kasjer kolejowy, syn cukiernika ani właściciel zakładu fryzjerskiego nie przypadli moim pannom do gustu. Mnie to nie zdziwiło, nie obiecywałam sobie niczego. Na myśl przyszła mi wybredna panna Brzeska, obecnie pani Sterkiewiczowa, i uśmiechnęłam się.

Na końcu listu dopisek siostry informował o żywym zainteresowaniu Dominiką znajomego Benedykta, który towarzyszył im w cukierni. Pan ów, nobliwy urzędnik z pięknymi manierami, rzekomo pytał Eustachego, czy będzie mógł korespondować z naszą córką. Szwagier, rzecz jasna, dał przyzwolenie. Co z tego wyniknie?

Koniec marca 1892 r.

Znowu mijają zwyczajne dni, powabne opowieści krakowskie bledną w rytmie codzienności. Praksedа nadal wyczekuje listonosza, Dominika chodzi z kąta w kąt. Dwa dni po powrocie wystroiła się niczym w niedzielę do kościoła i wyszła po południu z domu, mówiąc coś o cmentarzu. Wróciła po dwóch godzinach, skwaszona czy smutna, do nikogo się nie odzywała. Wreszcie wzięła „Tygodnik Ilustrowany" i zasłoniła twarz. Myślałam, że czyta i nie przeszkadzałam jej, ale przybiegła do mnie Julcia i zapytała, dlaczego ciocia czyta gazetę do góry nogami? Podejrzewam, że albo w ogóle nie była na cmentarzu, albo nie udało jej się spotkanie. Tylko z kim? Czy poznam kiedyś prawdę? Czy sekret życia Dominiki wyjdzie kiedyś na jaw?

Dwa dni później

Dzisiaj odbył się pogrzeb profesora Feliksa Wiśniowskiego. Nie pomógł mu urlop zdrowotny. Na wieczny spoczynek odprowadzili go Joachim, Kaziu i córki. Ja nie mogłam pójść, bo Jadwiżka niedomagała i kurowałam ją nacieraniem i ziołami. Mamy znów o czym napisać Antosiowi. Syn przysłał ostatnio list z prośbą o wyszukanie w mieście kogoś sędziwego wiekiem, kto pamięta pobyt w Nowym Sączu Wacława Zaleskiego, znanego w Galicji pisarza, już nieżyjącego. Zbierał on pieśni gminnne i wydał pod tytułem „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego". Nie wiem, kto udzieli potrzebnych synowi informacji? Pan Zaleski mieszkał w Nowym Sączu przed sześćdziesięcioma laty, i to niedługo. Joachim wypytuje najstarszych mieszkańców — na razie bez skutku. Nikt nie zetknął się osobiście z pisarzem, będącym potem pierwszym Polakiem pełniącym urząd namiestnika Galicji, czy jak mówią niektórzy — gubernatora. Antoś chciałby wiedzieć, gdzie mieszkał pan Zaleski, kogo odwiedzał. Skąd mu te informacje wytrzasnąć? Może Kaziu coś wykombinuje?

Początek kwietnia 1892 r.

Powoli zaczynam przedświąteczne pranie i sprzątanie. Tym razem ostro zapędziłam do pomocy Praksedę i Dominikę. Ociągały się, narzekały — nie ustąpiłam. Musiały zakasać rękawy, wziąć ścierki i robić porządki. Nie pozwolę, by malowane lale stały w oknie bez zajęcia. Mąż pochwalił mnie za zdecydowaną postawę. Na święta przyjedzie Ludomir z Celestynem cieszę się bardzo.

Kaziu wpadł na pomysł, jak dotrzeć do śladów pobytu w mieście pana Zaleskiego. Poszedł do profesora Dworzańskiego i ten mu poradził, aby poprosił o pomoc ojca Sygańskiego. Jezuita zbiera różne ciekawostki z życia miasta. Kaziu nieco się krępuje przeszkadzać w pisaniu dzieła historycznego naszemu jezuicie, ale dla dobra brata pokonał opory i udał się do klasztoru.

6 kwietnia 1892 r.

Walek spędza w warsztatach po dziesięć i dwanaście godzin. Od wiosny, kiedy naprawy taboru ruszyły pełną parą, kolejarze mają nadmiar roboty. Daję synowi więcej chleba i dwie flaszki z kawą. Przychodzi do domu bardzo zmęczony. Ta harówka jest mi na rękę, bo może przez to wywietrzeją mu z głowy podejrzane sprawy? Majster z niego zadowolony i jeśli dalej tak będzie, to może po wojsku kolej wyśle Walka na praktykę do innych warsztatów, tak jak przed paroma laty Staszka Zagrodka? Któregoś dnia Staszek znów wzmiankował coś o złożonej mu na kolei propozycji wyjazdu w głąb ck monarchii, celem zdobycia wyższych kwalifikacji. Waha się, czy ją przyjąć choć pokusa nęcąca. Staszek już odbył służbę wojskową i dlatego może skorzystać z oferty.

Staszek to niezwykle przyzwoity człowiek, solidny, sumienny, pracowity, układny. Wzór dla młodych. Ciekawa jestem, czy on czyta te same gazety co Walek? Spytałam go kiedyś, lecz uśmiechnął się tylko i odrzekł coś wymijającego. Od kilku tygodni Walek, mimo przemęczenia w warsztatach, do późnego wieczora wertuje pisma. Już Joachim zbeształ go, że zamiast odpoczywać, ślęczy nad gazetami. Ponieważ Walek chowa te gazety przed mężem, ciekawa byłam, co w nich piszą. Ukradkiem otworzyłam jedną i już po tytułach poznałam co się święci. Oby tylko Joachim nie zobaczył tych gazet, bo będzie chryja. Starannie teraz sprawdzam, czy syn nie zawieruszył gdzieś, jakiegoś egzemplarza. Pokazałam gazety Kaziowi. Przyjął to obojętnie i uspokoił mnie. Pismo jest legalne, nic nie grozi za jego abonowanie i czytanie. Niemniej dodał, że lepiej ukryć przed Joachimem istnienie w domu tych gazet. A jednak! Pismo zaczęło wychodzić od stycznia tego roku w Krakowie co dwa tygodnie i jest przeznaczone dla socjalistów. Nosi tytuł „Naprzód". Kiedy w domu panuje cisza, zwykle przed południem, wyciągam z kryjówki Walka te gazety i czytam. Czynię to w największej konspiracji, nie chciałabym, aby ktokolwiek o tym wiedział. Artykuły wciągają mnie, są pełne zapalczywości i entuzjastycznych uniesień, ukazują to, co i mnie się na świecie nie podoba, apelują do rozwagi czytelników, krytykują, wskazują winowajców zła. Czy to nie ciekawe? Jeszcze nie słyszałam, żeby tak ostro napiętnowano ludzką krzywdę, cierpienie i poniżenie, żeby tak bezceremonialnie mówiono o nierówności, ucisku i biedzie. A może już kiedyś dobiegły mnie echa podobnych rozważań? Przypomniałam sobie Anielcię i rozpłakałam się.

Darzę szacunkiem krakowski „Naprzód" i nie dziwię się sentymentowi Walka do tego pisma. Dlaczego Joachim nie chce sięgnąć po tę gazetę? Czemu dostaje wprost ataku irytacji, gdy słyszy o socjalistach? Przecież światły i mądry z niego człowiek. Nie rozumiem.

5 kwietnia 1892 r.

Femcia ma fluksję, całą noc nie spała, robiła okłady z szałwii, bardzo cierpi. Chyba nie obejdzie się bez lekarza. W związku z tym cały dom na mojej głowie.

Po południu przesadzałam petunie i arona, gdy mignęła mi za szybą Uryżyna. Widząc mnie, zatrzymała się i podeszła do okna. Konspiracyjnym szeptem zwierzyła mi się ze znalezienia w pokoiku na facjatce, w którym mieszkają kolejarze, ulotek z informacjami o założeniu w Galicji partii socjalistycznej. Uryżyna była przestraszona i niepokoiła się, czy nie wynikną z tego kłopoty dla kolejarzy i dla niej samej. Obawia się wspomnieć o tym swemu synowi. Franek niewątpliwie wymusiłby na niej wymówienie kolejarzom stancji. Obiecałam Uryżynie wybadanie Walka co do tej partii. Sąsiadka marwi się też o Honorkę. Żal jej bratanicy, bo na próżno dziewczyna wzdycha do Staszka, a latka bezpowrotnie lecą. Rozumiem ją, znam ten ból.

7 kwietnia 1892 r.

Kaziu opowiadał przy obiedzie miejskie nowinki. Wczoraj odbyło się pierwsze posiedzenie nowej Rady Miejskiej, na którym uczczono przez powstanie śmierć doktora Trembeckiego. Sekretarzem rady jest obecnie pan Antoni Brudziana, prowadzący już wcześniej protokoły z posiedzeń. Nareszcie znalazło się miejsce dla księgozbioru ofiarowanego miastu przez profesora Józefa Szujskiego. Dyrekcja Kasy Oszczędności zgodziła się wynająć dwa pokoje w swym nowym gmachu przy ulicy Jagiellońskiej za 144 złotych reńskich rocznie. Pozwoli to na urucomienie wypożyczalni już w tym roku. Poza tym park na Wólkach ma otrzymać ogrodzenie. Nadal przewidziano subwencje dla „Sokoła". Towarzystwo rozwija się pomyślnie i skupia coraz więcej osób. A może nakłonić Praksedę i Dominikę do udziału w zebraniach w „Sokole"?

10 kwietnia 1892 r.

Praksedа otrzymała nareszcie odpowiedź z Wiednia. Cienki list w białej, wąskiej kopercie z kolorowymi markami. Podskakując wbiegła z krzykiem do domu, obwieszczając radosną nowinę. Każdy z nas oglądał upragniony list, wszyscy chcieliśmy się nim nacieszyć. Odpisała Praksedzi pani Luiza, żona kamerdynera markiza, czyli syna hrabianki, rodowita krakowianka, od wielu lat mieszkająca w Wiedniu. Córka z wypiekami na twarzy przebiegła oczami lśniącą kartkę papieru, ciężko oddychając, ja — z niepokojem. Joachim po powrocie ze sklepu wnikliwie czytał odpowiedź szarpiąc wąsy. List nie przyniósł wprawdzie żadnych konkretnych przyrzeczeń ani nawet mglistych obietnic, ale uspokoił córkę i na nowo wzniecił dogasające nadzieje. Pani Luiza na końcu listu wyraziła chęć goszczenia Praksedy w swoim domu. To zdanie dziwnie mnie ukłuło. Tego samego dnia przyszedł również list od Celestyna, lecz w zaaferowaniu zapomniałam go otworzyć. Uczyniłam to dopiero wieczorem. Siostrzeniec przesyłał nam życzenia świąteczne i odwoływał swój przyjazd na Wielkanoc, z rzekomo ważnych przyczyn. Zapowiedział odwiedzenie nas w maju.

19 kwietnia 1892 r.

Już po świętach. Niedziela wielkanocna wypadła w tym roku 15 kwietnia. Było ciepło i zielono, ptaszki zawodziły głośno i wiły gniazdka. Przyjemnie patrzeć na budzącą się do życia przyrodę. Zaczęło się to już z końcem marca, kiedy przyleciały bociany i upodobały sobie kraniec naszej ulicy z wylotem na Łubinkę, w tym miejscu, gdzie stawiają dwa nowe domy. Wydłuża się nasza ulica i znów przybędą obcy ludzie. Nie wiadomo kto? Nie lubię nowych sąsiadów, trudno znaleźć z nimi nić porozumienia. Z panią Seweryną ani z panią Anicetą jeszcze nie rozmawiam, poprzestajemy tylko na skłonach głowy.

Wieczorem poszłam do Uryżyny podzielić się z nią uzyskanymi od Walka wieściami. Była sama w domu i poprosiła mnie do pokoju, chciała poczęstować plackiem, ledwo się wymówiłam. Franek niedługo żeni się z panną z Krakowa, podobno niebiedną, co Uryżyna podkreśliła z naciskiem, jakby odgryzając się za kosza danego jej synowi przez Dominikę. Nie rozwinęłam tego tematu, tylko opowiedziałam nowiny usłyszane od syna. Ostatniego stycznia odbył się we Lwowie zjazd socjalistów, na którym byli obecni delegaci z naszego miasta. Na zjeździe tym uchwalono powołanie partii socjalistycznej, powszechnie zwanej Galicyjską Partią Socjal-Demokratyczną. Przeważającą liczbę członków tej partii w Nowym Sączu stanowią kolejarze. Uryżyna przestraszyła się nie na żarty.

— Oni na pewno należą do tej partii — wzniosła oczy ku górze i wskazała na sufit. — Żeby tylko z tego nie namotała się jakaś bieda. Na naszej ulicy socjaliści!

Wracając do domu zastanawiałam się, czy Walek już wstąpił w szeregi partii. O Boże, co za czasy idą!

21 kwietnia 1892 r.

Byłam dziś rano w kościele jezuickim. Po drodze spotkałam studentów idących do gimnazjum, mieszczącego się w budynku klasztornym. Zaraz stanęli mi przed oczami Antoś i Kaziu chodzący tą samą trasą z książkami i kajetami. Na przykościelnym dziedzińcu zielono, w trawie kwitną stokrotki i niezabudki. Przy krzyżu klęczała ja kaś postać. Po chwili wstała. Ledwo poznałam dawną sąsiadkę pani Rubanowej, mojej zacnej opiekunki. Postarzała się kobiecina i zupełnie osiwiała. Nie mieszka już na Grodzkiem, przeprowadziła się na Przetakówkę i pomaga w kuchni w dworku Miczyńskich. Pochwaliłam się jej karierą swych dzieci, bo co może być dla matki ważniejsze od szczęścia jej potomstwa? Na pewno dzieci żadnej z dziop mieszkających w kręgu pani Rubanowej nie zaszły tak wysoko jak moje.

25 kwietnia 1892 r.

Ponieważ przeczytałam w ukryciu wszystkie numery pisma „Naprzód", chciałam pochwalić się tym przed Walkiem. Znalazłam odpowiedni moment, gdy nikogo nie było i podając mu późniony obiad, zagadnęłam wesoło:

— Czy matki kolejarzy czytają „Naprzód"?

Walek w mig zorientował się o co chodzi i roześmialiśmy się. Odtąd zaczął się nasz wspólny sekret przed pozostałymi członkami rodziny. Zwykle podczas obiadu rozmawiamy o warsztatach kolejowych, o prasie krakowskiej i ruchu socjalistycznym. Ta cicha zmowa stała się pomału przyzwyczajeniem, nie traci jednak posmaku zakazanego owocu. Dowiaduję się od Walka ciekawych rzeczy. Nie pytam o nic, syn sam dokonuje wyboru wiadomości przeznaczonych dla mnie. Moja rola polega na słuchaniu. W ostatnim czasie założono „Siłę" w Nowym Sączu. Walek jest za młody, by wejść do zarządu, lecz daję głowę, że sprawuje w organizacji dość ważną funkcję. Joachim oczywiście o niczym nie wie. Kaziu domyśla się udziału brata w tym stowarzyszeniu, bo ilekroć mówimy o „Sile", patrzy wymownie na Walka. Joachim nie lubi tych naszych rozmów i dziwi się moim upodobaniom. Gdyby jeszcze wiedział o lekturze „Naprzodu", spaliłabym się ze wstydu. „Siła" działa niezależnie od partii i ma na celu podniesienie poziomu umysłowego i kulturalnego robotników oraz samopomoc. O tym przecież mógłby wiedzieć Joachim. Nie wiem, czemu Walek ukrywa to przed ojcem. Mąż zawsze popierał wzajemną życzliwość i dokształcanie się.

Koniec kwietnia 1892 r.

Walek jest teraz dosłownie gościem w domu. Drżę na myśl o 1 maja. Tego roku dzień ten wypada w niedzielę. Syn nie mówi nic o przygotowaniach do obchodów robotniczego święta, ja nie indaguję, obawiając się niepokojącej wiadomości. Wczoraj po kolacji, kiedy Joachim poszedł z Kaziem do pana Damazego, Walek rozwiał nieco dręczące mnie myśli. Powstanie w tym roku partii socjalistycznej, jako legalnej i masowej organizacji politycznej o charakterze ogólnokrajowym, zapewniło socjalistom znaczne dogodniejsze warunki organizacyjne. Mają oni obecnie silne punkty oparcia: związki zawodowe, „Siłę", czasopismo „Naprzód" i najważniejszą ostoję — partię. Wydarzenia te wpłyną na atmosferę 1-majowego święta. Z drugiej strony władze i policja nie zechcą dopuścić do manifestacji. Kaziu mówił przy obiedzie o zaostrzeniach wydanych przez starostę. Widocznie obawiają się rozruchów wśród kolejarzy. Walka nie było przy tej rozmowie, lecz wieczorem powtórzyłam mu słowa Kazia. Nie odpowiedział i wyszedł, niemniej ostrzeżenie dotarło do niego. Z okien widziałam, jak wszedł do Urygów. Ogarnia mnie coraz silniejszy niepokój, nie sypiam po nocach.

Nazajutrz

Walek zakomunikował mi o wydaniu zezwolenia w Krakowie na uroczysty obchód robotniczego święta pod warunkiem zachowania spokoju i porządku, nad czym ma czuwać specjalny komitet porządkowy. Nasi kolejarze oczekują podobnego rozwiązania w Nowym Sączu, chociaż w zestawieniu ze słowami Kazia nie wygląda to zbyt różowo. Kolejarze nie poprosili do tej pory o zgodę na uroczyste obchody. W ostatnich dniach Walka widzę tylko rano, gdy wychodzi do warsztatów i daję mu prowiant. Na obiad w ogóle nie przychodzi. Wraca w nocy, cichutko, na palcach, aby nas nie zbudzić.

(Ciąg dalszy nastąpi)

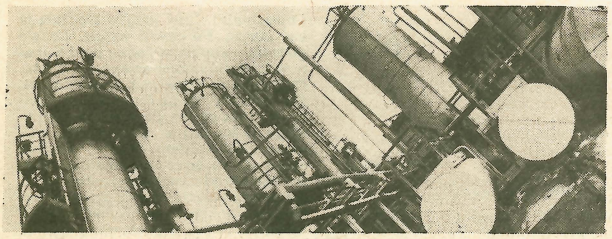

Sprawy Glimaru

Nie przyjmujemy nowych pracowników

Mówi **Janusz Wiatr**, kierownik działu kadr i szkolenia:

— Interesantom, którzy pytają o możliwość zatrudnienia w „Glimarze", muszę niestety odpowiedzieć, że w tej chwili zakład nie przyjmuje nowych pracowników. Mamy bowiem pełne zatrudnienie, a ewentualne braki uzupełniamy załogą stanowisk właśnie remontowanych, czy o chwilowo wstrzymanej produkcji. Czekamy też na tych, którzy powrócą w najbliższym czasie z wojska. Nasze statystyki podają, że po odbyciu służby wojskowej do zakładu wraca dwie trzecie pracowników, co dobrze świadczy o zarobkach i efektach pracy wychowawczej.

To, iż wstrzymaliśmy angaże, jest wynikiem określonej polityki przedsiębiorstwa, możliwej dzięki nowym zasadom finansowania działalności gospodarczej. Chodzi o to, by wzrastały płace, a nie zatrudnienie.

Na przełomie września i października zaczął się dla Rafinerii nowy okres. Po raz pierwszy od lat udało nam się obsadzić nawet te stanowiska pracy, na które nie było przedtem chętnych (np. kotłownia, dział ekspedycji). Nareszcie to ludzie zaczynają szukać pracy, a nie odwrotnie. Uczy to naszą młodą załogę (średni wiek ok. 35 lat) właściwej dyscypliny pracy, wzrasta poszanowanie swojego zajęcia, maleje absencja chorobowa.

O paliwie ATK prawie wszystko

— Paliwo lotnicze produkowane jest u nas od około trzydziestu lat — mówi laborant analityczny, **Andrzej Kmiecik** — i do niedawna byliśmy jego jedynym producentem w kraju. Latają na nim samoloty „Lotu".

Paliwo ATK jest frakcją cięższą od benzyny, zbliżoną temperaturą zapłonu i ciężarem właściwym do nafty. Początkowo uzyskiwaliśmy je metodą kwasowo-ługową, która jednak była bardzo uciążliwa dla środowiska, gdyż powstawały kwaśne odpady. W tej chwili stosujemy metodę „czystszą", polegającą na słodzeniu ołowinem sodu.

Nie radziłbym wlewać paliwa ATK do baków naszych „rometów" czy „fiatów", nie nadaje się ono w ogóle do silników tłokowych. Jest przystosowane tylko do zasilania turboodrzutowach silników lotniczych. Wiadomo: samolotu nie można zatrzymać w przypadku nawet niewielkiej awarii napędu, dlatego paliwo do niego musi być produkowane ściśle według technologii, musi też odpowiadać wysokim normom, weryfikowanym przez wiele analiz. W laboratorium mamy szereg nowoczesnych aparatów, służących do określania własności paliwa ATK. Jeśli wyrób przeznaczony jest dla odbiorcy krajowego, ograniczamy się do jednej analizy, wykonywanej u nas. Gdy natomiast ma być eksportowany (tankują go samoloty obcych linii, startujące z Okęcia), my robimy pierwsze badanie, ale próbka przesyłana jest również do Szwajcarii. Dopiero szwajcarskie laboratorium wydaje atest, który upoważnia do eksportowania danej partii paliwa.

Żeby sprostać tak wysokim wymaganiom, potrzebne są — oprócz odpowiednich technologii — również specjalne przyrządy, którymi można ocenić jakość naszego wyrobu. Unikalnym (jest ich tylko parę w Europie), najciekawszym aparatem, jaki mamy w laboratorium, jest miernik wyznaczający stabilność termooksydacyjną paliw lotniczych, produkcji amerykańskiej firmy „Jftot". Mówiąc prościej, jest to miernik określający tendencję paliwa do zanieczyszczania silników produktami spalania. Aparat trafił do nas z Anglii, montował go angielski specjalista.

Paliwo poddaje się też próbie wywoływania korozji na metalach konstrukcyjnych. Do badania używa się np. płytki z czystej miedzi, która zanurzana jest na 16 godzin w paliwie podgrzanym do temperatury 45-50C. Jeżeli po takim czasie na płytce pojawią się choćby nieznaczne ślady korozji, paliwo nie nadaje się do użycia. Takie przypadki zdarzają się — choć rzadko — wówczas, gdy zmienia się rodzaj surowca, z którego paliwo jest produkowane.

Wytwarzanie paliwa ATK w zasadzie nie jest trudne, tajemnica jego wysokiej jakości leży przede wszystkim w dokładnym zbadaniu surowca i zachowaniu wymogów procesu technologicznego. Gdy niedługo po rozpoczęciu produkcji tego wyrobu zwiedzali „Glimar" Anglicy, byli zaskoczeni, że na tak leciwych urządzeniach, jak nasze, można robić paliwo lotnicze o wysokich parametrach. Niech o jego jakości świadczy jeszcze jedno wydarzenie sprzed lat. Otóż zdarzyło się, że pod koniec lat sześdziesiątych szwajcarskie laboratorium zakwestionowało kilka kolejnych próbek paliwa, choć nasze analizy były pozytywne. Zwróciliśmy się wówczas o ekspertyzę do laboratorium koncernu Shell, która wykazała, że nasz produkt jest dobry, znów więc mogliśmy go eksportować. Krążyły wówczas plotki, że Szwajcarzy kierowali się względami politycznymi.

Wyrób, o którym mówimy, jest drogi, dlatego też jego eksport bardzo się nam opłaca. Dzięki zarobionym dewizom możemy kupować niezbędne, nowoczesne urządzenia i komponenty.

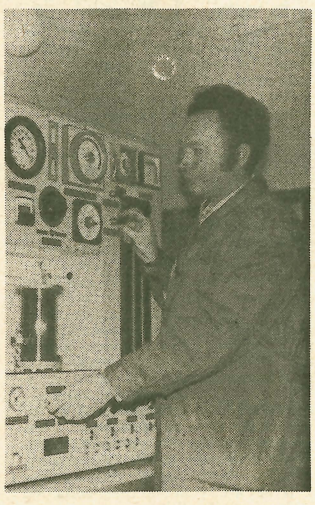

Andrzej Kmiecik przy mierniku stabilności termooksydacyjnej

Racjonalizator i społecznik

Rozmowa z **Józefem Wantuchem**, mistrzem z wydziału mechanicznego:

— Jest Pan znaną w zakładzie postacią. Czy można prosić o przedstawienie swojej działalności?

— Z „Glimarem" związany jestem od 35 lat, i już choćby dlatego powinienem być znany. Ale chyba więcej popularności zdobyłem jako racjonalizator. Złożyłem wiele wniosków (jak dużo — nie pamiętam) dotyczących usprawnień urządzeń działających w zakładzie, jak też z dziedziny bhp. W tej chwili rozpatrywany jest mój wniosek patentowy na zmianę konstrukcji tłoków pompy austriackiej firmy Worthington. Pompa ta służy do tłoczenia tzw. refluksu benzynowego, który jest produktem bardzo suchym, zawierającym siarkę i niszczącym elementy metalowe. Austriacy pewne części pompy wykonali z tworzywa sztucznego (co jest istotą mojego patentu), ale to rozwiązanie w naszych warunkach nie sprawdziło się, musieliśmy wymieniać tłoki co dwa miesiące. Ja przekonstruowałem trochę urządzenie i zastosowałem tekstolit, wskutek czego ośmiu przerobionych w ten sposób pomp, pracujących w zakładzie, od roku nie remontujemy. Nie jest to potrzebne. Jestem też autorem wzoru użytkowego na uszczelnienie pompy wirowej.

— Jak powstają pomysły ulepszeń?

— Mam do czynienia na co dzień z techniką. Stykając się z konkretnymi maszynami widzę, co się często psuje, co można poprawić. Tak powstał choćby pomysł ulepszenia pompy wirowej. Z tym urządzeniem mieliśmy mnóstwo kłopotów, bo nie było szczelne, wyciekała z niego benzyna, stwarzając zagrożenie pożarem. Po zmianie sposobu uszczelnienia, pompa taka pracuje 3-4 miesiące bez awarii. Zyskało nie zatruwane teraz wyciekami środowisko i pracujący ludzie.

— Czy realizowanie projektów przysparza panu dużo kłopotów?

— Gdy obmyślę jakieś usprawnienie, staram się je zrealizować, korzystając nieraz z pomocy i rad kolegów. Tak jest szybciej. Również i koledzy często proszą mnie o radę. Chętnie im pomagam. Jako mistrz mam przecież także szkolić swoich podwładnych.

— A nowe pomysły?

— Dostaliśmy teraz nowy typ wirówek z RFN, chcę w nich poprawić dwie rzeczy. Pierwszą będzie hydrauliczne odkręcanie bębna, drugą — mechaniczne czyszczenie, bo do tej pory odbywało się ręcznie i obsługujący człowiek narażony był na kontakt ze szkodliwym dwuchloroetanem. Jak widać, nawet w nowoczesnych urządzeniach da się coś ulepszyć.

— Koledzy nie zazdroszczą Panu sukcesów?

— Tak się składa, że na wydziale mechanicznym jestem mistrzem od dość dawna, i — co ciekawe — większość składanych w zakładzie wniosków racjonalizatorskich pochodzi właśnie stąd. Mogliśmy się o tym przekonać choćby na ostatnich giełdach pomysłów, organizowanych przez Klub Techniki. Prawie każdy pracownik wydziału jest racjonalizatorem, nawet ci młodzi. Pewnie uważają — tak jak ja — że pieniądze leżą na ziemi, trzeba tylko umieć je podnieść.

— Jak wygląda życie prywatne Józefa Wantucha?

— Mieszkam na wsi, niedaleko Gorlic, mam żonę, trzech synów i niewielkie gospodarstwo. Moje dzieci chyba odziedziczyły po ojcu smykałkę do techniki. Jeden syn jest kierowcą-mechanikiem (pracuje ze mną, w wydziale), drugi kończy szkołę przyzakładową w „Gliniku", trzeci, najmłodszy, chodzi do trzeciej klasy. Lubię w wolnych chwilach pomajsterkować, latem z przyjemnością pracuję w ogrodzie.

Od lat udzielam się społecznie. Jestem członkiem egzekutywy Komitetu Miejskiego i Komitetu Zakładowego partii, rady zakładowej, zarządu Klubu Techniki i Racjonalizacji — sporo się tych funkcji uzbierało. Przez prawie dziesięć lat byłem członkiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR, a przez dwie kadencje — egzekutywy KW, przez dwadzieścia lat działałem społecznie w kolegium. Jakby tego było mało, uczestniczę w pracach Społecznego Komitetu Pomocy Szkole w rodzinnej Kobyłance. Czas wolny nie oznacza więc dla mnie — czasu spędzonego w domu.

Kiszka, Baśka i inne

W czasie swej ponad stuletniej działalności gorlicka Rafineria obrastała nie tylko w nowe wydziały i instalacje, ale i w tradycję, tworzoną przez pracujących tu ludzi. Niekiedy tradycja ta jest bardzo trwała, sięga wielu dziesięcioleci wstecz. Jeden z jej przejawów — to nazwy niektórych obiektów zakładu. Są ogólnie znane, ale już mało kto wie, skąd się one wzięły, niewielu tylko pamięta dawne przeznaczenie starych budynków. Spróbujmy odświeżyć pamięć kilku takich nazw.

Barizol — powstały w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych wydział rozpuszczalnikowego odparowywania olejów. Przy jego budowie uczestniczyli Szwedzi, nadzorując montaż przywiezionych przez siebie urządzeń produkcyjnych. Nazwa obiektu prawdopodobnie pochodzi od jego funkcji.

Baśka — budynek administracyjny, którego nazwa wzięła się najprawdopodobniej od kryptonimu, jaki nadano mu w latach pięćdziesiątych, w czasach „zimnej wojny". Inne budynki zakładu nosiły w tym czasie kryptonimy „Jodła", „Sosna" itp.

Druga wersja podaje, że nazwa „Baśka" wzięła się od imienia, jakim nazywano długoletnią, dziś już emerytowaną pracownicę wydziału, Jadwigę Jaśkowską.

Czerwony magazyn — jedna z najstarszych budowli (skład chemikaliów), nazwana tak od koloru cegły, z której jest zbudowana. Przez szereg lat po wojnie przy „czerwonym magazynie" istniała zakładowa chlewnia.

Kiszka — miejsce przy wydziale energetycznym, gdzie składowano części do maszyn. Pochodzenie nazwy nieznane.

Remiza — dziś budynek naprawy i konserwacji lokomotorów. Przedwojenna jeszcze nazwa wskazuje, że mieściła się tu niegdyś straż pożarna.

Renty, emerytury, awanse

W lutym na renty odeszły z zakładu trzy osoby: **Mieczysław Gąsior** (pracownik wydziału ekspedycji, zatrudniony w „Glimarze" od 1965 roku), **Stanisław Majewski** (wydział produkcji parafin i asfaltów, pięć lat pracy) i **Stanisław Przybyszewski** (wydział energetyczny, w zakładzie od 25 lat).

Dalsze trzy osoby osiągnęły wiek emerytalny, rozstając się z Rafinerią: **Zdzisław Bara** (kierownik działu zaopatrzenia, 45 lat pracy), **Edward Glista** (zasłużony racjonalizator, pierwszy aparatowy destylatów, 37 lat pracy) i **Adam Przybyłowicz** (tokarz z wydziału mechanicznego, 45 lat pracy).

Pierwsze dwa miesiące bieżącego roku przyniosły tylko jeden znaczniejszy awans: kierownikiem działu zaopatrzenia został **Bogdan Kozłowski**.

Straż przemysłowa ma głos

— Naszym głównym zadaniem — objaśnia **Stanisław Warchoł**, komendant straży przemysłowej — *jest zapewnienie bezpiecznych, spokojnych warunków pracy, ale świadczymy też usługi innym firmom, konwojując pieniądze.*

Nie mogę narzekać na zdyscyplinowanie załogi Rafinerii. Trochę kłopotów mamy z ludźmi z obcych przedsiębiorstw, pracujących chwilowo u nas; na przykład nie chcą podporządkować się obowiązującym w zakładzie godzinom pracy. Owszem, zdarzają się przypadki pijaństwa, drobne kradzieże, jednak jest to margines. Najczęściej dzieje się tak, że gdy jakiś pracownik przychodzi do nas z prośbą, by mógł wynieść do domu kawałek rurki, kątownika albo innego wyszukanego na złomie żelastwa — nie odmawiamy. W ten sposób rośnie wzajemne zaufanie.

Martwi mnie i kolegów jedno: tuż obok, w „Gliniku", wartownik zarabia 178 zł za godzinę, podczas gdy nasze stawki są o ponad 20 złotych niższe. A przecież wcale nie pracujemy gorzej.

JAN COFAŁKA

Sejmowe plotki i anegdoty

Kancelaria Sejmu, a dokładnie jej Biuro Prac Sejmowych, przygotowuje, na piśmie, prowadzącemu posiedzenie Sejmu marszałkowi, dokładny scenariusz obrad, co czasem staje się przyczyną zabawnych zdarzeń. Kiedyś na przykład ówczesnemu marszałkowi, Janowi Dembowskiemu (był marszałkiem w latach 1952-1956) przeciąg uniósł jedną kartkę, która pofrunęła w kierunku ław poselskich. Marszałek urwał w pół słowa i poczekał cierpliwie aż mu pracownik wspomnianego biura podał kartkę, nie tę wprawdzie, którą porwał przeciąg, lecz rezerwową, po czym zbliżył ją do oczu i oświadczył: „zarządzam 10 minutową przerwę".

Dodać trzeba, że marszałek zwracając się do sali zawsze stoi. Jedynie prof. Dyzma Gałaj, który był marszałkiem zaledwie rok (najkrócej z dotychczasowych) debiutując w tej funkcji w lutym 1971 r. siedział za stołem. Mówiono potem, że pomylił Sejm z radą naukową swego instytutu.

Wróćmy do scenariuszy obrad. Marszałkowi Czesławowi Wycechowi, który jak dotąd, pełnił najdłużej w okresie powojennym tę funkcję, bo przez 15 lat, zdarzyło się kiedyś przełożenie dwóch kartek, w rezultacie czego powołano nowego ministra bez odwołania jego poprzednika. Marszałek miał zwyczaj częstego chrząkania, co nie zawsze było należycie przyjmowane. Szczególnie wówczas, kiedy np. chrząkając deklarował w imieniu narodu niewzruszoną przyjaźń czy też trwałość naszych najlepszych uczuć do zaprzyjaźnionego narodu.

Owże marszałek również kiedyś, a miało to miejsce w trakcie burzliwej i polemicznej dyskusji, ogłosił zamiast przerwy *„dziesięć minut obrad w przerwie"*, z czego oczywiście rozgrzani debatą posłowie skwapliwie skorzystali.

Niedawno zaś wspomniani pracownicy Kancelarii Sejmu, czujnie rozglądający się po sali, uratowali marszałka R. Malinowskiego przed daremnym wzywaniem posła Józefa Bareckiego na mównicę, spostrzegając jego nieobecność na sali obrad. Chociaż miał on za chwilę wystąpić ze sprawozdaniem z prac komisji, którą kieruje, a które to sprawozdanie miało być przedmiotem debaty sejmowej. Trzeba więc było ogłosić przerwę w obradach potrzebną dla odszukania posła, który —jak się potem okazało — pomylił godziny rozpoczęcia obrad i spokojnie w domu szlifował swoje wystąpienie. Przerwa ta weszła do sejmowych annałów pod nazwą „przerwy Bareckiego".

Do sejmowych legend weszło również tzw. głosowanie A. Werblana. W naszym Sejmie obowiązują trzy sposoby głosowania: „za", „przeciw" oraz „wstrzymał się". Posłowie jednak, szczególnie w przypadku niepopularnych głosowań, wymyślili jeszcze inne „sposoby głosowania". Na przykład wychodzenie z sali na czas głosowania, z czego korzystają niektórzy posłowie związkowi, którym czasem nie pasuje głosować ani tak, ani siak.

Można też, jak to czynili w ubiegłej kadencji niektórzy posłowie — głównie bezpartyjni — być na sali, ale podparłszy rękoma głowę udawać w momencie głosowania, że się „myśli"... z zamkniętymi oczyma. Można, jak to czynią niektórzy przy głosowaniu z pomocą urządzenia do liczenia głosów, nie podnosząc ręki głosować „przeciw", naciskając w odpowiednim momencie przycisk do głosowania. Wówczas to na tablicy z wynikami ujawnia się kilku tzw. odważnych, tyle że prowadzący marszałek nie może ich zidentyfikować (w Sejmie obowiązuje bowiem zasada jawnego głosowania), przez co musi unieważniać wynik i zarządzać ponowne przeprowadzanie głosowania.

Najbardziej jednak perfidną metodę „głosowania", a właściwie niegłosowania, ale z zaznaczeniem swej obecności, wypracował był w poprzedniej kadencji Andrzej Werblan. Otóż potrafił on w momencie tzw. „trudnego głosowania" stać w drzwiach oddzielających ławy poselskie od kuluarów. Kto chciał, to go widział, jak z tajemniczą miną, lub błąkającym się po twarzy uśmieszkiem — przyglądał się, jak jego koledzy głosują.

Wielki udział w powstawaniu sejmowych plotek i anegdotek mają dziennikarze, wyłapujący każde potknięcie i przejęzyczenie, chociaż — sami nie wolni są od tego. Do dziś głośny jest np. lapsus „Dziennika Ludowego", który przed laty napisał: *Wszedł na salę uroczyście powitany członek prezydenta Krajowej Rady Narodowej, ob. Roman Zambrowski.* Oczywiście miało być członek Prezydium Krajowej Rady Narodowej.

Ulubieńcem dziennikarzy, o czym do dziś wspominają starsi przedstawiciele tego niezbyt długowiecznego zawodu, był Józef Cyrankiewicz, wieloletni premier, człowiek niezwykle błyskotliwy, niekonwencjonalny i dowcipny, potrafiący pięknie przemawiać, często odrywając się od przygotowanego tekstu. Często więc komplikował pracę dziennikarzy, szczególnie sprawozdawców PAP, którzy przecież muszą przekazać jak najszybciej tekst wystąpienia premiera do prasy. Otóż pewnego razu premier J. Cyrankiewicz wygłaszał w Sejmie ważne przemówienie, w którym, jak to się potocznie mówi, „niszczył" ówczesnego kanclerza RFN, K. Adenauera, za jego kolejne napastliwe wobec Polski wystąpienie. J. Cyrankiewicza tak poniosła polemiczna werwa, iż w pewnym momencie, oderwawszy się od przygotowanego tekstu zawołał: *A tak w ogóle, panie kanclerzu federalny, to my mamy w Polsce takie przysłowie: nie strasz, nie strasz...* Posłowie doskonale znający zakończenie tego powiedzonka, jak to się mówi — ryknęli śmiechem. Nie śmiał się tylko dziennikarz PAP, który miał przygotować to wystąpienie do druku. Przerażony podbiegł do J. Cyrankiewicza tłumacząc, że nie przystoi drukowanie tego, co zostało powiedziane. Jeśli nie wypada — oświadczył spokojnie premier — to zaraz coś wymyślę. W następnym dniu odpowiedni fragment wystąpienia premiera, opublikowany w gazetach, brzmiał: *A w ogóle, panie kanclerzu federalny, to niech pan wie, że jest u nas takie przysłowie: strachy na Lachy!*

Obecny premier, przytłoczony różnymi dokuczliwymi problemami, mniej ma okazji do żartowania, lecz jego osoba jest przedmiotem żywego zainteresowania posłów. W okresie zmiany rządu krążyły w kuluarach Sejmu, między innymi, następujące dwie anegdotki. Pierwsza o tym, że pewien dziennikarz spytał poprzedniego premiera, tuż po wyborze nowego, co sądzi o swoim następcy. Zb. Messner miał ponoć odpowiedzieć, że „nieważne jest, kto skąd przychodzi, ważne z czym przychodzi". Druga o tym, jakoby poseł Wojciech Siemion, spotkawszy w kuluarach po inauguracyjnym exposé M. Fr. Rakowskiego swoją koleżankę po fachu, aktorkę Elżbietę Kępińską (żonę premiera), miał ją spytać wzbudzając zakłopotanie wieloznacznością pytania: „i jak się Pani czuje po premierze"?

Ostatnio jednak „królem" anegdot jest osoba ministra przemysłu, M. Wilczka. Najwięcej anegdot wiąże się z jego nazwiskiem. Oto jedna z nich: „cały rząd, łącznie z premierem Rakowskim, musiał się zaszczepić. W obawie przed pokąsaniem przez Wilczka".

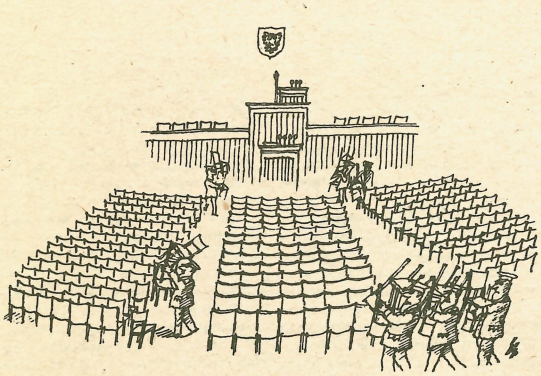

A mówiłem, że opozycja będzie siedzieć Rys. Zbigniew Ziomecki

Wanda Łomnicka-Dulak

Wiklinowa skarga

Smutnie-szumnie, smutnie-wiotko
skarży się wiklina,
że tak biedna, taka słaba
a wiatr ją przygina
i ani się równać może
wonią z akacjami
i nikt jej jarzębinowo
nie odzieje koralami,
a gdy wiosną rzeka zbierze
w wielką powódź śniegi,
urodę wikliny zmywa
i chłoszcze o brzegi;
nawet jesień choć tak piękna
zabiera jej liście,
zimą wiąże lód — kajdany
i mrozu okiście;
długo jeszcze tak wiklina
strugę żalu lała,
aż za przyczyną człowieka
koszykiem została.

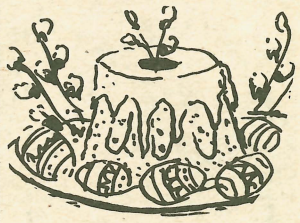

Marian Janiga

Przedwiośnie

Zima wymiata z zimowego sąsieka
resztki śniegu

Przebiśniegi i pierwiosnki
zaczynają kwiecisty korowód

Zawilce, kaczeńce, przylaszczki
wtórują im czym prędzej

Skowronek lotem sputnika
wzbił się w błękit
rozpoczynając transmisję
wiosennych arii.

Nie wyglądał na skłonnego do zwierzeń. Gdy stanął w drzwiach mego pokoju, zachowywał się wręcz agresywnie. — Dlaczego ta pani w sekretariacie nie chce mnie załatwić?! Co to znaczy — nie? Ja przecież zapłacę. Ile zażądacie!

Perswadowałam: to naprawdę niemożliwe. Takich rzeczy się nie praktykuje.

Słuchał początkowo z niedowierzaniem, wreszcie jakby coś się w nim załamało. — Ja muszę — powiedział już cicho, a w jego głosie dosłyszałam ton bezradności. — Ja m u s z ę . . .

Opadł na wskazane przeze mnie krzesło. Drżącymi palcami rozpiął płaszcz, szarpnął węzeł krawata. I zaczął opowiadać. Początkowo chaotycznie, zacinając się i robiąc długie pauzy, potem coraz bardziej wartko.

... Nie był już młodym chłopakiem, gdy poznał Halinę . Miał za sobą technikum elektryczne, odsłużył wojsko, parę lat przepracował w państwowej firmie, wreszcie założył własny punkt usługowy. Powodziło mu się dobrze, nawet bardzo dobrze, niejedna miała ochotę wydać się za niego, ale on jakby kobiet nie dostrzegał. Aż do tamtego dnia, gdy Halina przyszła z żelazkiem do naprawy. Od razu go zauroczyła, szalał z radości, gdy dała się zaprosić na kawę. Po paru miesiącach zagrano im marsza Mendelssohna.

Elżbieta Glinka

Ogłoszenie

Halina pracowała w sklepie. Miała dostęp do modnych ciuchów, zawsze pięknie się ubierała, był dumny, że inni mężczyźni zazdroszczą mu żony. Dbała o dom, coraz to przybywał jakiś mebel, serweta, wazonik. Gotowała świetnie. Aż się dziwił, że wystarcza jej na to wszystko pieniędzy. Cieszył się, że taka gospodarna. Był ogromnie szczęśliwy.

Pierwszy zgrzyt nastąpił wówczas, gdy miał się urodzić Daniel. Halina na prawo i lewo kupowała wspaniałe ubranka, i to tylko w komisach, z komisu musiał być wózek i kocyki. Na jego nieśmiałe perswazje, że po co tak się szastać, skoro niemowlę szybko ze wszystkiego wyrośnie, odpowiadała ze złością: — M o j e dziecko musi mieć wszystko najlepsze! — Ustępował, nie chcąc drażnić ciężarnej żony. Zresztą, chyba ich na to stać, przecież nie żądała więcej pieniędzy niż dotychczas...

Po Danielu urodziła się Dorota, potem jeszcze Darek. Halina brała na dom coraz większe sumy. Uważał to za zrozumiałe, pięć osób to nie dwie. Tylko czy trzeba było akurat teraz wymieniać komplet mebli w stołowym albo kupować video? — Trzeba! — twierdziła Halina. — Dzieci nie powinny się wstydzić, że ich koledzy mają, a my nie.

Pewnego dnia, gdy Halina pojechała z dzieciakami na wieś do dziadków, zadzwoniła jej koleżanka z pracy. Pytała, czy nie mogliby wreszcie oddać jej tych sześćdziesięciu tysięcy, które miała dostać pół roku temu. Bardzo jej są potrzebne.

Nie przyznał się, że nic nie wie o pożyczce. Nazajutrz wręczył kobiecie dług. Gdy Halina wróciła ze wsi, powiedział jej o telefonie. Umknęła wzrokiem w bok, coś bąknęła pod nosem, że niby zapomniała, że nic się nie stało...

A później... Później potoczyło się wszystko jak lawina: telefony od znajomych i od nie znanych mu osób, wizyta kierowniczki sklepu, w którym Halina pracowała, wreszcie — sądowy nakaz zapłacenia ponad pół miliona złotych. Niemal każdego dnia dowiadywał się o kolejnej nie spłaconej przez żonę pożyczce, manku, nie uiszczonych ratach. Rychło wyczerpał wszystkie rezerwy na swym koncie. Zaczął się lękać dzwonków do drzwi, telefonów, listów. Błagał żonę: — Powiedz, czy to już wszystko, czy nikomu więcej nie jesteś nic winna? — Ona odpowiadała byle co. Już wiedział, że kłamie. Owszem, mógłby odejść, ale ciągle kochał Halinę, no i co stałoby się z dziećmi?

Po kolejnej awanturze domowej, zakończonej szlochami Haliny i solennymi przyrzeczeniami poprawy, przez dwa-trzy miesiące był spokój. Odetchnął, zdołał nawet wpłacić znów kilkadziesiąt tysięcy do PKO.

Wczoraj listonosz przyniósł pismo komornika.

Nie, nie chce się rozwodzić. Brał przecież żonę na złe i dobre chwile. Ale postanowił przeciąć ten koszmarny ciąg spadających na niego jak grom z jasnego nieba długów do spłacenia. Dlatego przyszedł do redakcji.

— Chciałem... chciałem dać do gazet ogłoszenie, że nie odpowiadam za długi mojej żony.

TADEUSZ STAICH

TURYSTYKA GÓRSKA

Turystyka górska: jaka była, jaka jest i jaka być powinna. Tak sprecyzowany temat dla krótkiego, wywoławczego ledwie szkicu, mógłby być parozdaniową wypowiedzią; wydaje się bowiem, że problem ten nie jest zbyt skomplikowany dla tych spośród nas, którzy górską drogę wniklliwiej obserwowali w powojennym trzydziestoleciu. Jako przewodnik tatrzański i podhalański, pełniący swe powinności w ciągu dwudziestu paru lat, patrzę na rzecz całą poprzez liczne doświadczenia. Powołuję się na nie z chęci usprawiedliwienia tez, które pragnę przedłożyć, tez nie zawsze — bardzo rzadko raczej — przyjmowanych za udokumentowane i warte realizacji. Współczesność bowiem jest przede wszystkim wygodna i dlatego przekorna, a także podporządkowana powszechnej i wszechwładnej modzie.

Polska turystyka górska rodzi się w połowie XVI stulecia, w momencie wejścia Beaty Łaskiej z towarzyszącym jej orszakiem w Tatry. Faktów wcześniejszych nie znamy, o późniejszych historia również milczy, jeśli nie liczyć siedemnastowiecznych rekonesansów poszukiwaczy skarbów. Turystykę tamtego czasu wziąć by trzeba w cudzysłów, posługując się racją dzisiejszą. Cudzysłów trzeba odjąć dopiero przy nazwiskach: Stanisława Staszica, Ludwika Zejsznera i Seweryna Goszczyńskiego, którzy w pierwszej połowie XIX stulecia wycieczkują już rzetelnie, uzbrojeni nie tylko w zdawkową ciekawość. To był właściwy początek, a ogniwa nie tracą się od tego czasu; Maria Steczkowska przygotowuje drogi Janocie i wielu innym, by wreszcie mógł pojawić się Witkiewicz. Z nim zaś i za nim plejada tych, którzy tworzyli równocześnie profil wycieczkowania turystycznego i taternickiego.

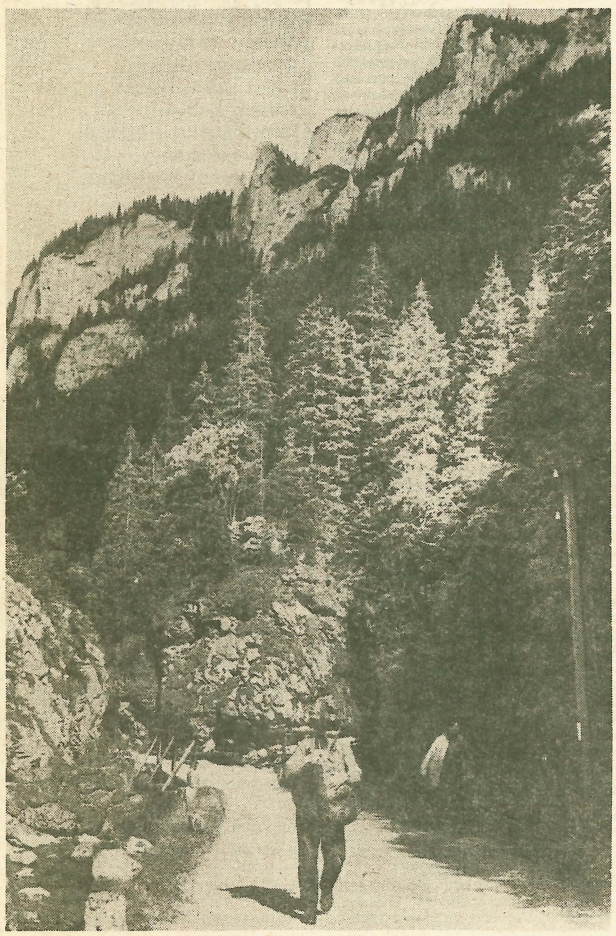

Chodzili wiedzeni ciekawością twórczą, dla potrzeb nauki, dla tematu publicystyczno-literackiego, plastycznego, muzycznego wreszcie. Potrzeba rekreacji była znikoma, proporcjonalna bowiem do epoki bezstresowej, nieprzecywilizowanej, nie stawiającej człowieka w bezpośredniej konfrontacji z molochem ruchu i techniki. Mieli dużo czasu. W góry trzeba długo i uciążliwie dojeżdżać, po podróży trzeba było odpocząć, umówić się z przewodnikiem, uważnie wybrać trasę i rozpocząć kilkudniową włóczęgę po dzikich jeszcze często terenach górskich.

Gdzież mogła być mowa o rehabilitacji zdrowotnej lub przećwiczeniu mięśnia sercowego, bliskiego stanu niewydolności? O przećwiczeniu mięśni nóg, skazanych dzisiaj na tak małą aktywność? O przewietrzeniu płuc, zduszonych spalinami, siarką i fluorem?

Rozkoszowano się przyrodą, kontemplowano krajobraz, interesowano się wszystkimi zjawiskami, cząstkami górskiego świata. Turyści tamtego czasu wracali do swych domowych pieleszy bogatsi o cały świat wielorakich doznań estetycznych, o sporą pożywkę wiedzy.

Zmiany przyszły po pierwszej wojnie światowej. Wtedy zaczęły procentować niedawno nabyte stresy, obciążenia cywilizacyjne. Ale były to zmiany tak jeszcze nikłe, że trudno je zestawić z turystyką po 1945 roku. Przypatrzmy się nieco bliżej temu okresowi. Widzimy wybuch haseł demokratyzacji życia społecznego i równego podziału dóbr, a także rewolucyjnie narastające uprzemysłowienie. Wraz z nim i towarzyszącymi mu zjawiskami, budzi się chęć krótkiego choćby pobytu w górach. Pragnienia te nie zawsze mają podłoże racjonalne, często są wynikiem zachcianki, mody, snobizmu. Wzrasta stopień zagrożenia życia ludzkiego w górach, co w tej sytuacji jest zrozumiałe.

Baza gospodarcza, infrastruktura ośrodków turystycznych, ich uzbrojenie i ogólne przygotowanie, pozostawały nienaruszone w swych starych zasobach; mowy nie było o właściwej recepcji narastającej masy ludzkiej.

Przyszły lata trudne. Do Poronina i Zakopanego wysyłano długie pociągi specjalne, napełnione ludźmi z Koszalina, Białegostoku, Kielecczyzny. Byli wśród nich tacy, którzy po raz pierwszy w życiu jechali pociągiem... Cóż można powiedzieć o ich intelektualnym i psychofizycznym, a także ekwipunkowym przygotowaniu do górskiej wycieczki? Jechali piętnaście, dwadzieścia godzin, by w Poroninie i Zakopanem spędzić po pięć, sześć godzin.

Stracony czas, czas nie wykorzystany dla celu, któremu go poświęcono. Oczywiście, były wyjątki potwierdzające regułę. Mogą się przy tym budzić wątpliwości, czy rzeczywiście był to czas stracony. Jeśli jednak dopuścimy myśli o pewnych korzyściach, to będą one zbyt wątłe, nie znaczące za wiele w życiu jednostki i społeczeństwa.

Nadeszło zjawisko, które nazwaliśmy turystyką masową. A to przecież, w jakimś bezgorączkowym zamyśle, miała być turystyka p o w s z e c h n a. Takie zaś imię zobowiązuje do stateczności w zamyśle, uwarunkowanym przesłankami pedagogicznymi, społeczno-zdrowotnymi, kulturalnymi czy wreszcie gospodarczymi.

Minął na szczęście ten zły czas; co prawda jego skutki w znacznej mierze odczuwamy po dzień dzisiejszy. **Całkowicie zawiódł doskonale przemyślany model organizatora turystyki w zakładach pracy.** Ten organizator miał być przede wszystkim pedagogiem, nauczycielem, doradcą, miał zdobywać podstawową wiedzę psychoekologiczną. W praktyce stał się organizatorem środków transportu i, niestety — po stokroć niestety — niewykwalifikowanym przewodnikiem. Wiele kart zapisać by trzeba rozważaniami z tej dziedziny.

Tymczasem kształt teraźniejszości woła o inne swoje profile i proporcje na przyszłość. Turystyka górska w swym założeniu musi być ścisłym wynikiem aktualnej społecznej potrzeby. Musi, albowiem w innym przypadku weźmie rozbrat z rzeczywistością. Ta społeczna potrzeba jest wieloraka i nader skomplikowana. Turystyka górska w służbie społecznej, to przede wszystkim profilaktyka i rehabilitacja w zakresie zdrowia fizycznego i psychicznego. Mnożą się choroby cywilizacji; niektóre z nich są już niestety powszechne w naszym kraju, a jesteśmy na najlepszej drodze do bez mała egzotycznego w Polsce schorzenia: atrofii mięśni nóg. Generalną przesłanką dla rozważań w tym aspekcie może być problem grupy hutników, którzy przyjechali do Zakopanego na niedzielny, ośmiogodzinny odpoczy-

KACIK pptk. Glińskiego

Armaturowy gang

Zbysław K. — kierowca z radomskiego oddziału przewozów towarowych PKS wyruszył wczesnym rankiem z rodzinnego miasta do Zakładów Armatur w Jordanowie, wioząc odlewy żeliwne wyprodukowane w Fabryce Łączników. Nie była to jego pierwsza podróż służbowa w tym kierunku. Jordanowskie zakłady znał już jak własną kieszeń, miał tu zaprzyjaźnione osoby, z którymi gawędził o tym i owym. Po przyjeździe na miejsce podstawił samochód do rozładunku, a sam udał się do kantorka magazyniera Władysława C. i serdecznie uścisnął jego spracowaną dłoń. Po krótkiej, zdawkowej rozmowie magazynier wykręcił znany im obu numer telefonu i niebawem przyszedł Jan S., który na co dzień wózkiem widłowym po terenie zakładu się poruszał, więc miał dostęp do wszelkich stanowisk produkcyjnych i montażowych. Na pytanie magazyniera: — *Jak stoimy?* — Jan S. odparł krótko: — *Załatwione.* Zbysław S. sięgnął do kieszeni i odliczył kilka pięciotysiączków. Jan S. przeliczył pieniądze, gdyż nawet gentelmani muszą dbać o swe interesy, i część z nich przekazał koledze.

Samochód o radomskiej rejestracji opuszczał teren zakładu późnym popołudniem. Wartownik straży przemysłowej zatrzymał go do rutynowej kontroli. Z przepustki podpisanej przez magazyniera Władysława C. wynikało, że na skrzyni ładownej znajdują się puste pojemniki. Wartownik przejrzał kilka i zauważył w jednym z nich wyroby jordanowskiego zakładu. Na pytanie, co to ma znaczyć — kierowca odpowiedział oczywiście, że nic o „lewym" towarze nie wie i że wszystko jest jakimś nieporozumieniem. Niebawem zjawili się funkcjonariusze miejscowego Komisariatu MO i przejęli sprawę. Nie wierzyli zbytnio w nieświadomość kierowcy. Fachowcy z zakładu liczyli dość długo to, co miało nieoficjalnie wyjechać w szeroki świat. Były tam korpusy grzejnikowe i wodne, złączki, wrzeciona, dławiki i inne drobniejsze detale, wartości kilkuset tysięcy złotych. Zbysław K. trwał nadal przy swoim zdaniu. Zmienił je dopiero wówczas, gdy z Radomia powróciła wysłana tam niezwłocznie grupa dochodzeniowa, która w garażu znajdującym się na terenie posesji zatrzymanego kierowcy znalazła drewnianą pakę, a w niej armatury i oprzyrządowania tyle, że wystarczyłoby na dłuższą działalność dobrze prosperującego punktu usługowego.

W tej sytuacji Zbysław K. oświadczył, że to co znaleziono w garażu jest lokatą kapitału, gdyż czasy teraz niepewne. Przyznał też, że jego znajomość z Janem S. i Władysławem C. rozpoczęła się już parę miesięcy temu. Oni potrzebowali pieniędzy, mieli możliwość „zorganizowania" trudno dostępnych elementów armatury, on dostrzegł w tym szansę wzbogacenia. Pierwsze próby były raczej nieśmiałe: starannie ukrywano towar, wywożono go w niewielkiej ilości. Apetyt zaczął wzrastać w miarę powodzenia. Mechanizm działania zorganizowanej grupy funkcjonował prawie bezbłędnie. Zbysław K. telefonicznie informował swoich kontrahentów o planowanym terminie przyjazdu. Ich zadaniem było przygotowanie towaru. Starał się o to przede wszystkim Jan S., który jeżdżąc po całym zakładzie podkradał z taśm montażowych lub z magazynów interesujące go elementy. Władysław C. towar ten gromadził skrzętnie w jednym z pustych pojemników. Załadunek i wypłata trwały kilka chwil. Aż system ten zawalił się pewnego feralnego dnia.

Grupa dochodzeniowo-śledcza Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, rozplątująca zawiłości tej sprawy wykryła, że Jan S. i Władysław C. to tylko drobne trybiki całej machiny przestępczej. Dochodzono po nitce do kłębka, aż w końcu ustalono, że centralnymi postaciami przestępczego podziemia byli Paweł N. i Józef S.

KRZYŻÓWKA NR 11

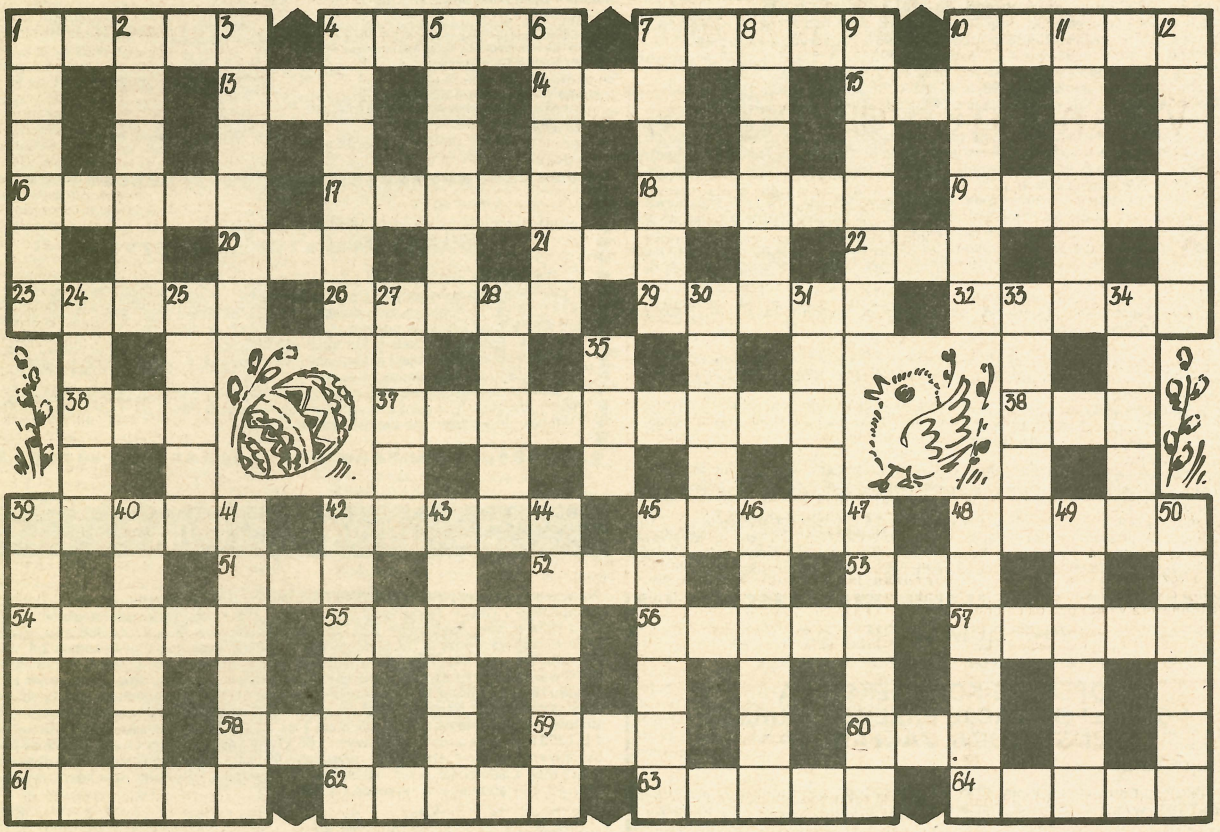

POZIOMO: 1) jarzyny w occie, 4) słodki ziemniak, 7) asceta muzułmański, 10) zakonnik, 13) warzywo, 14) angielskie piwo jasne, 15) struś, 16) jednostka pojemności elektrycznej, 17) rzeka we Włoszech, 18) stan na pn. zach. USA, 19) ziemia nadawana przez seniora w użytkowanie wasalowi, 20) typ siedliskowy lasu liściastego występujący na glebach bagiennych, 21) rodzaj uczesania, 22) ... Grande, 23) dziewięcioosobowy zespół muzyczny, 26) wzór tkaniny, 29) antonim mety, 32) jezioro w Afryce, 36) proszek do prania, 37) człowiek interesu, 38) rezygnacja z dalszej gry, 39) ustępstwo procentowe od cen, 42) sztaba, 45) upolowana zwierzyna, ułożona wg ustalonego tradycją porządku, 48) religia muzułmanów, 51) niski głos kobiecy, 52) zabawa, 53) miara powierzchni ziemi, 54) część łożyska, 55) jeden z rodzajów literatury, 56) okręg, teren, 57) ośmioosobowy zespół instrumentalistów, 58) podmokła łąka w dolinie rzeki, 59) dopływ Odry, 60) aparat fotograficzny, 61) pogłębiarka, 62) dychawica, 63) przyrząd optyczny stosowany jako analizator i polaryzator, 64) jednostka natężenia prądu,

PIONOWO: 1) sufit ozdobiony malowidłem, 2) włókno używane do wyrobu pończoch, 3) typowy minerał skał metamorficznych, 4) świt, 5) stawka, 6) sproszkowany tytoń, 7) ptak egipski, symbol słońca, 8) lekki pojazd typu bryczki, 9) dział zarządu państwowego, 10) europejska owca dzika, 11) zdrobniałe imię żeńskie, 12) orzesznik, 24) gatunek topoli, 25) tarcza Zeusa i Ateny, 27) automat, 28) miasto nad Wisłą, 30) takt, rytm, 31) kulisty plac, 33) sytuacja bez wyjścia, 34) posiedzenie, obrady, 35) mleczny produkt, 39) fragment epopei, 40) wygnaniec, 41) krzew strefy umiarkowanej z rodziny różowatych, 42) część masztu, 43) wyzwisko, 44) bezbożeństwo, 45) ogrodzenie, płot, 46) masa z cukru i mleka, 47) król frygijski, syn Zeusa, 49) zamaskowana kpina, 49) zwyczaj utwierdzania umów, uczta na koszt kupującego, 50) ciało niebieskie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 30 marca br.

Rozwiązanie krzyżówki nr 9

POZIOMO: 1) cykuta, 5) kołacz, 8) płuca, 9) etanol, 10) pęcina, 11) igapo, 12) wermut, 15) kwarta, 18) muflon 21) Italia, 24) impas, 26) ironia, 27) litkup, 28) ssawa, 29) hikora, 30) meteor,

PIONOWO: 1) czerw, 2) Uznam, 3) aplit, 4) kuna, 5) kapok, 6) łacha, 7) zjawa, 13) emu, 14) udo, 16) wat, 17) tri, 18) mnich, 19) lenno, 20) Niasa, 21) islam, 22) astat, 23) amper, 25) Piaf.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 9, w wyniku losowania nagrody otrzymują: **Adam Kurowski** z Rabki i **Franciszek Głód** z Bukowiny Tatrzańskiej. Ponadto premiujemy nagrodami książkowymi trzech najwytrwalszych entuzjastów krzyżówek w roku ubiegłym: **Tadeusza Jajko** z Podczerwonego, **Władysława Ostrowskiego** i **Janusza Pisarskiego** z Rabki.

Nagrody książkowe prześlemy pocztą.

Zaprosili nas

Wojewódzki Komitet ZSL na Konferencję Ideologiczną pod hasłem: „Głos ludowców nowosądeckich w sprawie przyszłości Polski";

● Przewodniczący Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego na posiedzenie plenarne, m. in. poświęcone działaniom władz terenowych ma rzecz zahamowania degradacji naturalnego środowiska i podjętym w tym zakresie inwestycjom;

● Grupa inicjatywna w Nowym Sączu na spotkanie z sekretarzem generalnym Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia", Józefem Klasą;

● Gliwicki Krąg Przyjaciół Orawy na wystawę fotograficzną pn. „Orawa bez paszportu";

● Wojewódzki Ośrodek Kultury na eliminacje XXXIV Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego;

● Mała Galeria Biura Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu na wystawę tkanin Marii Janowskiej;

● Komitet Osiedlowy „Kochanowskiego" w Nowym Sączu na spotkanie z okazji Dnia Kobiet;

● Krynickie Towarzystwo Fotograficzne na wystawę poplenerową „Bieszczady" — ekspozycja czynna jest w Pijalni Głównej do 31 marca;

● Wojewódzki Ośrodek Kultury na II Wieczór Poetycki z cyklu „Mówię do ciebie" — spotkanie z zespołem Bogdana Diducha „Ostatnia Wieczerza w Karczmie Przeznaczonej do Rozbiórki";

● Komitet Organizacyjny do Zakopanego na 32 Międzynarodowe Otwarte Mistrzostwa Zrzeszenia LZS w narciarstwie klasycznym, Memoriał Ireny Pieli w biegach kobiet;

● Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Zakopanem na imprezy: 24 bm (piątek) godz. 16.30 — prelekcja Janusza Adamczyka i Henryka Gibały pt. „Polska na znaczkach krajów Ameryki Łacińskiej", połączona z wyświetlaniem filmów o światowej wystawie filatelistycznej; 30 bm (czwartek) godz. 17 — spotkanie z ratownikami Grupy Tatrzańskiej GOPR pt. „80 lat ratownictwa tatrzańskiego"; w programie prezrocza z akcji ratowniczych.

KRONIKA MILICYJNA

Rozboje i pobicia: Trzykrotnie zaatakowani zostali mieszkańcy Nowego Sącza. W bramie domu przy ul. Grodzkiej napadnięto Tomasza L. Sprawcy zabrali 135 tys. zł ● Nieletni Tomasz B. dokonał rozboju na również nieletnim Piotrze G., zabierając mu 15 tys. zł ● Na ul. Lwowskiej Zenon W. został pobity przez Andrzeja J. i Piotra J.

Włamania i kradzieże: Z geesowskiego baru „Uniwersalny" w Korzennej zabrano 145,7 tys zł, papierosy i artykuły spożywcze. Sprawcy weszli do wnętrza po zerwaniu kłódek. Straty szacuje się na 200 tys. zł ● W Tabaszowej łupem włamywaczy padły — telewizor kolorowy „Rubin", maszyna do pisania, aparat telefoniczny i inne przedmioty, o łącznej wartości około 500 tys. zł. Wyniesiono je z domku letniskowego Zakładów Azotowych w Tarnowie ● Z zakładu stolarskiego Danuty M. w Nowym Targu włamywacze wynieśli narzędzia wartości 450 tys. zł ● Stanisław P. z Mordarki utracił ze swego domu za sprawą włamywaczy 220 tys. zł, 67 dolarów USA i elektroniczny zegarek ● 6 złotych monet austriackich, 6 pierścionków złotych i srebrna biżuteria (o łącznej wartości około 3,5 mln zł) stały się łupem włamywaczy, którzy ograbili dom Tadeusza S. w Chabówce ● Z hydroforowni nowotarskiej zajezdni PKS wyniesiono agregat sprężarkowy ● Sprawców włamania do sklepu spożywczego PSS „Społem" w Zakopanem interesowała jedynie wódka „żytnia" — skradli jej 190 butelek ● Również napoje alkoholowe, a także wyroby tytoniowe wynieśli włamywacze ze sklepu PHS przy ul. Lwowskiej w Nowym Sączu. Straty szacuje się na 405 tys. zł ● Na gorącym uczynku włamania do samochodu w Nowym Sączu zatrzymano Szymona K. z Krasnego Potockiego ● Pechowe okazały się wizyty w Zakopanem dwóch obywateli NRD — Joachim S. utracił ze swego „trabanta" kurtkę, zaś Martin M. z „łady" aparat fotograficzny.

Bimbrownictwo: W wyniku przeszukania zabudowań Władysława K. w Jelnej odnaleziono 80 litrów zacieru oraz kompletną aparaturę do produkcji samgonu.

elg.

PRZETARGI

Spółdzielnia Ogrodniczo Pszczelarska „Ziemi Sądeckiej" Zakład Transportu Samochodowego i Spedycji w Nowym Sączu, ul. Asnyka 8 sprzeda w drodze PRZETARGU NIEOGRANICZONEGO:

—ciągniki marki Ursus C-360, nr rej. NST 038 A, rok produkcji 1980, nr podwozia 409656, nr silnika 21T/09032, stopień zużycia 40%, cena wywoławcza 1.140.000.—zł
—samochód ciężarowy marki Star, typ 3 W-200, nr rej. NSA 044 F, rok produkcji 1982, nr podwozia 32379, nr silnika 27586, stopień zużycia 45%, cena wywoławcza 5.880.000—zł
—samochód ciężarowy marki Star A-28, nr rej. NSA 293 C, rok produkcji 1974, nr podwozia 54445, nr silnika 73430, stopień zużycia 65%, cena wywoławcza 2.780.000 zł.
—samochód ciężarowy marki Star A-28, nr rej. NSA 298C, rok produkcji 1977, nr podwozia 61449, nr silnika 67261, stopień zużycia 60% cena wywoławcza 2.470.000 zł.
—samochód ciężarowy marki Kamaz 5320, nr rej. NSA 562 A, rok produkcji 1981, nr podwozia 106020, nr silnika 198578, stopień zużycia 40%, cena wywoławcza 8.400.000 zł.

Przetarg odbędzie się w dniu 5.IV 1989 r. o godz. 10. w biurze Zakładu Transportu i Spedycji Nowy Sącz, ul. Asnyka 8. W przypadku nie dojścia do skutku pierwszego przetargu, drugi odbędzie się w tym samym dniu o godz. 12.

Przystępujący do przetargu winni wpłacić wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej w kasie Zakładu najpóźniej do dnia 4.IV 1989 r. godz. 13. Pojazdy można oglądać od dnia 4.IV 1989 r. w godz. 8—14 na terenie bazy ZTiS, ul. Chopina.

Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez obowiązku podania przyczyny. Zastrzega się dokonanie korekty cen w związku z planowaną podwyżką cen urzędowych samochodów i części zamiennych.

Wojewódzki Zakład Transportu Mleczarskiego w Nowym Sączu, ul. Rybacka 1 sprzeda w drodze przetargu publicznego:

1. Samochód furgon Star 29, nr rej. NSA 498H, nr silnika 2334, nr podwozia 60595, rok produkcji 1977, stopień zużycia 85%, cena wywoławcza 693.000 zł. Miejsce postoju—Nowy Sącz, ul. Rybacka 3.
2. Samochód Nysa 522 towos, nr rej. NSC 211S, nr silnika 912533, nr podwozia 317357, rok produkcji 1986, stopień zużycia 75%, cena wywoławcza 1.000.000 zł. Miejsce postoju—Nowy Targ, ul. Ludźmierska 26.

Przetarg odbędzie się w dniu 4. 04. 1989r. o godz. 10 w WZTM Nowy Sącz, ul. Rybacka 1. W przypadku nie dojścia do skutku I przetargu, II przetarg odbędzie się w tym samym dniu i miejscu o godz. 11.

Pojazdy możeny oglądać w dni robocze w godz. 8—14 w miejscach postojów.

Przystępujący do przetargu winni wpłacać wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej, najpóźniej w przeddzień przetargu w kasie Zakładu. Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu względnie dowolnego wyboru oferenta bez obowiązku podania przyczyn.

PHP QUMAK SP. z o.o.

31-462 Kraków ul. Lotnicza 10 tel. 12-48-51 tex 325434 istak

OFERUJE KOMPLEKSOWĄ KOMPUTERYZACJĘ PRZEDSIĘBIORSTW INSTYTUCJI, ZAKŁADÓW

obejmującą:

- **sprzęt komputerowy klasy IBM od jednolitego producenta N A C PC XT/AT/386** w dowolnych konfiguracjach i z dowolnym zestawem urządzeń peryferyjnych
- **sieci komputerowe**
- **bogaty zestaw systemów użytkowych: finansowo-księgowy, kadrowo-płacowy, informowania kierownictwa, gospodarka materiałowa, rozliczenie transportu, ewidencji wyrobów gotowych, fakturowania i zbytu, przedmiotów nietrwałych w użytkowaniu, gospodarka środkami trwałymi**
- **komputerową analizę stanu środowiska naturalnego**
- **przetwarzania i wizualizacji danych pomiarowych i obliczeń statystycznych**

zapewniając:
—atrakcyjne ceny
—wysoką jakość sprzętu i oprogramowania
—gwarancję na sprzęt i oprogramowanie (12 lub 36 miesięcy)
—serwis pogwarancyjny

Uwaga:

—proponujemy oryginalne oprogramowania
—naprawiamy sprzęt komputerowy zakupiony w innych firmach

ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY

Inspektorat Oświaty i Wychowania w Starym Sączu ul. Świerczewskiego 15 unieważnia skradzione pieczątki o treści:

1. Podłużna—1168055 Szkoła podstawowa w Gołkowicach 33-388 Gołkowice
2. Społeczny Komitet Budowy Szkoły w Gołkowicach
3. Komitet Rodzicielski przy Szkole Podstawowej w Gołkowicach
4. Dyrektor Szkoły Stanisław Korona
5. Okrągła metalowa-duża Szkoła Podstawowa w Gołkowicach w środku godło państwa
6. Okrągła metalowa—mała Szkoła Podstawowa w Gołkowicach w środku godło państwa

K-3195

Przedsiębiorstwo Handlowo-Produkcyjne

„PRZYMIERZE"

wydzierżawi lub kupi ciągniki i naczepy (najchętniej 15 t. i 18 t.) do przewozu mas bitumicznych;
zatrudni kierowców z uprawnieniami do prowadzenia cystern do przewozu bitumów (15—18 t.) istnieje możliwość dzierżawy naszego sprzętu.
Kontakt telefoniczny Warszawa 13-39-45 lub 10-66-70 lub listowny na adres PHP „PRZYMIERZE", ul. Podskarbińska 11, 03-988 Wârszawa.

K-3008

OGŁOSZENIA DROBNE

GABINET Ultrasonografii—Nowy Targ, ul. Królowej Jadwigi 34. Zgłoszenia: tel. 63-78 w godz. 8—9 i 16—17

GABINET Gastrofiberoskopii—Nowy Targ, ul. Ludźmierska 29—czynny wtorki, środy w godz. 14—17

KOMIS—Stary Sącz Świerczewskiego 3—poleca: aparaty słuchowe i fotograficzne; dyskietki „3,5"; zegarki; ubrania; przyjmie do sprzedaży sprzęt elektroniczny; artykuły gospodarstwa domowego i inne.

D-52226

POKÓJ z kuchnią 30 m² kwaterunkowe z wszystkimi wygodami w dobrym punkcie w Gdyni zamienię na podobne w Nowym Sączu. Maria Zasadna, 81-304 Gdynia, ul. Śląska 74/35 I piętro.

D-52228

GABINET Dermatologiczny—Nowy Targ, ul. Królowej Jadwigi 34 czynny wtorki i środy 17—18

GLAZURĘ ścienną i podłogową—sprzeda sp. z o.o. „Andras", Kraków, Podzamcze 20, tel. 22-60-70 (9-15)

g-8886

VIDEO PanaSonika—uwiecznia na taśmie video, także w systemie amerykańskim NTSC—inż. Jerzy Sonik, Kraków, tel. 22-50-90

g-12544

„HALSZKA"—Żary, skrytka 12—kojarzy małżeństwa krajowe, zagraniczne.

A-196

SOSNOWIEC!—spółdzielcze M-5 zamienię na Nowosądeckie. Sosnowiec: tel. 69-56-72

D-52220

NOWY Sącz—okolice! Mechaniczne czyszczenie dywanów, wykładzin, gobelinów. Kamiński, tel. 220-77

D-52222

KOMUNIKAT
Naczelnika Miasta i Gminy MUSZYNA

Działając na podstawie art. 17 i art. 29 ust. 1 Ustawy z dnia 12 I ipca 1984 r. o planowaniu przestrzennym (Dz.U.Nr.35 poz.185) z późniejszymi zmianami—z a w i a d a m i a m niniejszym, że w dniach od 30.03.1989 do 19.04.1989 r. (z wyjątkiem dni wolnych od pracy) w godzinach od 8⁰⁰ do 15⁰⁰ w lokalu Urzędu Miasta i Gminy Muszynie, Referat Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej—zostanie wyłożony do publicznego wglądu projekt aktualizacji miejscowego planu ogólnego zagospodarowania przestrzennego gminy Muszyna.

Zainteresowane organy administracji państwowej, jednostki gospodarki uspołecznionej, organizacje i osoby fizyczne mogą w w/w terminie zgłaszać swoje uwagi i wnioski do wyłożonego projektu zmian w planie.

OBWIESZCZENIA

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego d/sWykroczeń przy Naczelniku Miasta Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej z dnia 11.I.1989 r. ob. **Tadeusz Ferek,** s. Jana, ur. 4.VII.1964 r., zam. Spytkowice 525, obwiniony o to, że w dniu 22.X.1988 r. ok. godz. 22 w Szaflarach na drodze nr 95, będąc w stanie nietrzeźwym, przy stwierdzonym 2,4 promile alkoholu we krwi, zataczając się wpadł pod jadący samochód m-ki Fiat 126p, nr rej. NSG 3716, powodując tym samym zagrożenie bezpieczeństwa w ruchu drogowym, w tym samym miejscu i czasie podczas legitymowania wprowadził w błąd funkcjonariusza MO podając, że nazywa się Tadeusz Nagalak, został uznany winnym popełnienia zarzucanych mu czynów, co stanowi wykroczenie z art. 86 §2 KW w zw. z art. 10 ust. 7 pkt 1, litera a i 2 ust. 1 Ustawy z dnia 1.II.1983 r. „Prawo o ruchu drogowym" i 65 §1 KW i na podstawie art. 86 §2 KW, 31 §1 KW ukarany karą zasadniczą grzywny w wysokości 40.000,-zł, podanim orzeczenia o ukaraniu do publicznej wiadomości przez ogłoszenie w tygodniku „Dunajec" na koszt ukaranego, kosztami postępowania w wysokości 1.500,-zł.

K-1880

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium d/s Wykroczeń przy Wojewodzie Nowosądeckim z dnia 16.IX.1988 r. utrzymano w mocy orzeczenie I.instancji, mocą którego ob. **Tadeusz Rzeszutko,** s. Józefa, ur. 4.I.1961 r., zam. w Bieczu, za to, że w dniu 25.VI.1988 r. o godz. 22.20 w Bobowej, będąc w stanie po użyciu alkoholu kierował pojazdem m-ki Fiat 125p nr rej. KSB 2926, w tym samym miejscu i czasie kierując w/w pojazdem na podany sygnał nie zatrzymał się do kontroli drogowej, został ukarany karą zasadniczą grzywny w wysokości 40.000,-zł z zamianą na zastępczą karę 40 dni aresztu, przyjmując 1 dzień aresztu za równoważny kwocie 1.000,-zł, karami dodatkowymi—zakazem prowadzenia pojazdów mechanicznych w strefie lądowej na 36 miesięcy z zaliczeniem na poczet kary okresu zatrzymania prawa jazdy od dnia 25.VI.1988 r., podaniem orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Dunajec" na koszt ukaranego, kosztami postępowania 1.500,-zł. Nadto orzeczono obciążenie ukaranego kosztami postępowania II instancji w kwocie 2.250,-zł.

K-1882

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego d/s Wykroczeń przy Naczelniku Miasta Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej z dnia 4.I.1989 r., ob. **Andrzej Rzadkosz,** s. Władysława, ur. 8.II.1965 r., zam. Gliczarów Górny 98, obwiniony o to, że w dniu 24.X.1988 r. o godz. 1 w Bukowinie Tatrzańskiej na ul. Tatrzańskiej kierował motocyklem m-ki CZ nr rej. NSM 1253 będąc w stanie nietrzeźwym przy stwierdzonym 1,8 promille alkoholu we krwi, w tym samym miejscu i czasie kierując w/w motocyklem nie zatrzymał się do kontroli drogowej na wyraźnie podany sygnał światłem czerwonym przez umundurowanego funkcjonariusza MO, w tym samym miejscu i czasie kierując w/w motocyklem nie posiadał uprawnień do kierowania pojazdami silnikowymi, został uznany winnym popełnienia zarzucanych mu czynów, co stanowi wykroczenie z art. 87 § 1 KW, 92 § 2 KW, 94 § 1 KW i na podstawie art. 87 § 1 i 3 KW, 9 § 2 KW, 31 § 1 KW ukarany karą zasadniczą grzywny w wysokości 45.000,—zł z zamianą w razie nieściągalności na 45 dni aresztu przyjmując 1 dzień aresztu za równoważny kwocie 1.000,—zł, karami dodatkowymi—zakazem prowadzenia pojazdów mechanicznych w strefie ruchu lądowego na 30 miesięcy, podaniem orzeczenia do wiadomości publicznej przez ogłoszenie w tygodniku „Dunajec" na koszt ukaranego oraz kosztami postępowania 1,500,—zł i kosztami chemicznego badania krwi 1.000,—zł.

K-1883

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium Rejonowego d/sWykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy Limanowa z dnia 26.X.1988 r. ob. **Józef Chrobak,** s. Franciszka, ur. 1.XII.1956 r., zam. Nowy Targ, ul. Wojska Polskiego 8/51, obwiniony o to, że w dniu 14.VIII 1988 r. ok. godz. 21.45 w Limanowej, na ulicy Fabrycznej prowadził samochód m-ki Polonez nr rej. NOB 0331 będąc w stanie po użyciu alkoholu, został uznany winnym popełnienia zarzucanego mu czynu, co stanowi wykroczenie z art. 87 § 1 KW i na podstawie art. 87 § 1 i 3 KW w związku z art. 29 § 3 KW i 25 § 1 KW ukarany karą zasadniczą grzywny w wysokości 50.000,—zł, z zamianą w razie nieściągalności na 50 dni aresztu (1 dzień aresztu równoważny kwocie 1.000,—zł), karami dodatkowymi—zakazem prowadzenia pojazdów mechanicznych w strefie lądowej na 2 lata, z zaliczeniem na poczet kary okresu zatrzymania prawa jazdy od 14.VIII 1988 r., podaniem orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Dunajec" na koszt obwinionego oraz kosztami postępowania w kwocie 1.500,—zł.

K-1881

DUNAJEC—tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kaszuba, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka, (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny), Anna Szopińska. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, al. Wolności 49, telefony: 238-36, 238-90, teleks: 0322748. Oddział w Krakowie, ul. Wielopole 1, pok. 502, telefon: 22-75-88 wewn. 161, teleks: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Kraków al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch", na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.

Prenumeratorzy indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.

M-9

ŚRODA — 22 III

PROGRAM I

8.35 „Domator"
8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Spotkania na lotnisku" (8-ost.)
15.50 Program dnia i DT
15.55 Losowanie Express i Super Lotka
16.05 „Bariery"
16.25 „Scena TDC"
16.50 „Cojak" — teleturniej
17.15 Teleexpress
17.30 „Lex"
17.35 „Spojrzenia"
18.05 Telewizyjny Informator Wydawniczy
18.20 „Dawniej niż wczoraj"
18.50 Dobranoc
19.00 „10 minut"
19.10 „Lex"
19.30 Dziennik
20.05 Zwierciało czasu — „Długie pożegnania" — dramat psychologiczny prod. ZSRR
21.40 „Lex"
21.50 „Raport"
22.20 „Rozmyślania prof. Mariana Stępnia"
22.30 Konstanty Ildefons Gałczyński „Wielkanoc Jana Sebastiana Bacha" — monodram
23.10 DT — echa dnia
23.30 Język rosyjski (21)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (21)
17.25 Program dnia
17.30 „Wiem wszystko" — teleturniej
18.00 Kronika
18.30 „Za wszystkich stron" — magazyn reporterów
19.00 „II Rzeczpospolita nieznana" — Wilno
19.45 Georg Freidrich Haendel — „Xerxes" — reportaż
21.10 Studio sport
21.30 Panorama dnia
21.45 „07 zgłoś się"
22.45 „Telewizja nocą"
23.30 Komentarz dnia

CZWARTEK — 23 III

PROGRAM I

8.35 „Domator"
8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Ośmiornica" (2) — serial
15.55 Program dnia i DT
16.00 „Polonijne spotkania"
16.25 „Kwant"
17.15 Teleexpress
17.30 „Kultura i sztuka w wojsku"
17.55 „Turki,, — film dok.
18.20 „Sonda"
18.50 Dobranoc
19.00 „10 minut"
19.10 „Teraz"
19.30 Dziennik
20.05 „Ośmiornica" (2) — serial
21.10 „Pegaz"
22.00 „Wokół wielkiej sceny"
22.50 DT — echa dnia
23.10 Język francuski (21)

PROGRAM II

10.00 „Tele-9"
16.55 Język francuski (21)
17.25 Program dnia
17.30 „Rodzice i dzieci"
18.00 Kronika
18.30 Magazyn „102"
19.00 „Muppet show, czyli rewia gwiazd"
19.30 „Puls"
20.00 „Kocham świat" — psychodrama Joanny Rawik
20.50 „Tryptyk o Męce Pańskiej"
21.00 „Ekspres reporterów"
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio teatralne „dwójki" — Vercors — „Milczenie morza"
22.40 Komentarze dnia

PIĄTEK — 24 III

PROGRAM I

8.35 „Domator"
8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 DT — dodatek gospodarczy
9.40 „Klepsydra" — film fab. prod. ZSRR
16.05 Program dnia i DT
16.10 „Radar"
16.25 „Rambit" — teleturniej
16.50 „Okienko Pankracego"
17.15 Teleexpress
17.30 „Kajakiem w Himalaje" film dok.
18.35 Przed programem — „Ryszard Karczykowski"
18.50 Dobranoc
19.00 „10 minut"
19.10 „Monitor rządowy"
19.30 Dziennik
20.05 Teatr telewizji — Leon Schiller — „Misterium Wielkanocne"
21.30 „Czas"
22.05 Ryszard Karczykowski śpiewa popularne arie operowe
22.50 DT — echa dnia
23.05 „Ludzie przeciw sobie" — „I wojna światowa 1914-1918" — serial dok.

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Czemu mnie wołasz" — wielkopostne śpiewanie
18.00 Kronika
18.30 „Ludzie, o których się mówi"
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.00 „W labiryncie" (12)
19.30 „Listy Stanisławy Przybyszewskiej"
20.05 Festiwal muzyki Krzysztofa Pendereckiego '88
21.30 Panorama dnia
21.45 „Udręka i ekstaza" — film fab. prod. amerykańsko-włoskiej
23.40 Komentarz dnia
23.45 „Nocne Polaków rozmowy"

SOBOTA — 25 III

PROGRAM I

8.00 „Tydzień na działce"
8.20 „Na zdrowie"
8.55 Program dnia
9.00 „Drops"
10.30 DT — wiadomości
10.40 „Stare, nowe, najnowsze"
11.20 „Bo chceszli wiedzieć przodków swych dzielności..."
11.50 Telewizyjny koncert życzeń
12.20 Telewizyjny teatr prozy — Anatol France — „Gospoda pod królową Gęsią Nóżką"
14.40 „Pieprz i wanilia"
15.25 „Pożegnania" — film fab. prod. polskiej
17.05 Losowanie Dużego Lotka
17.15 Teleexpress
17.30 „Antena"
17.50 „Gdzie są taśmy z tamtych lat"
18.30 „Butik"
19.00 „Dobranoc"
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt"
19.30 Dziennik
20.05 „Podwodna odyseja" — film sensacyjny prod. kanadyjskiej
21.45 „Tydzień w polityce"
21.55 Telewizyjny przegląd sportowy
22.15 Program muzyczny
23.20 DT — wiadomości
23.30 Kino sensacji — „Gniew aniołów" — (1) film fab. prod. USA
1.00 Zakończenie programu

PROGRAM II

10.00 „Tele-9"
11.55 „Trzy godziny z telewizją Katowice"
14.55 Powitanie
15.00 Małe kino: „Miasta świata"
15.30 „5-10-15"
17.00 Marian Hemar — „Wiersze i piosenki,, ze sceny teatru Ateneum
18.00 Kronika
18.30 „10 x piosenka"
19.30 „Wielkanocne obrzędy"
20.00 Festiwal muzyki Krzysztofa Pendereckiego '89
21.30 Panorama dnia
21.45 „Raj odłożony na później" (9)
22.35 Komentarz dnia
22.40 „W labiryncie" (12)
23.20 „Zanim" — śpiewa Grzegorz Turnau

NIEDZIELA — 26 III

PROGRAM I

8.00 Program dnia
8.10 „Tydzień"
8.50 Dla dzieci — „Smok, którego nie było, a może był" — film animowany prod. holenderskiej
10.15 Świąteczny koncert życzeń
11.15 Premiery starego kina — „Będzie lepiej" — film fab. prod. polskiej
12.55 Teatr młodego widza — Andrzej Maleszka „Mechaniczna Magdalena"
13.50 „Bobek — czyli jedenaście wcieleń Bogumiła Kobieli" — film dok.
15.10 „W kamiennym kręgu" (76,77)
17.35 Postscriptum „W kamiennym kręgu"
17.50 „Marek Sierocki zaprasza"
18.25 „Smurfolandia" — progr. rozr.
19.00 Wieczorynka
19.30 Dziennik
20.05 „Rzeka kłamstwa" (4)
21.30 „Serce pali się raz" — recital Zdzisławy Sośnickiej
22.15 Sportowa niedziela
22.45 „Gniew aniołów" (2-ost.) — film fab. prod. USA
0.15 „Superwizja"
1.15 Zakończenie programu

PROGRAM II

9.45 „Przegląd tygodnia" (dla niesłyszących)
10.20 Film dla niesłyszących — „Rzeka kłamstwa" (4)
11.45 „Konspiracja u króla Jana" — program dok.
12.15 Powitanie
12.20 „100 pytań do..."
13.10 „Polacy" — film dok.
14.00 Kino familijne: — „Podróż Natty Gunn" (1)
14.50 Podróże w czasie i przestrzeni
15.40 „Z batutą i z humorem"
16.25 „Być tutaj..."
16.40 „Kino-Oko"
17.30 „Bliżej świata"
19.00 „Wywiady Ireny Dziedzic"
19.30 „Arie dawnych mistrzów"
20.00 Studio sport
20.50 „Zapraszam was do stołu" — recital kompozytorski Henryka Albera
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichry wojny" (2) — serial
22.35 Komentarz dnia
22.40 „Musicale"
23.25 Zakończenie programu

PONIEDZIAŁEK — 27 III

PROGRAM I

8.45 Program dnia
8.50 „20 000 mil podmorskiej żeglugi" — film przygodowy prod. USA
10.55 „Świat cyrku"
11.55 „Antyfony do Frasobliwego" — film dok.
12.25 Teatr młodego widza — Andrzej Maleszka „Mechaniczna Magdalena" (2)
13.30 „Czas przebudzenia" — film dok.
14.00 „Z jajem w herbie"
14.25 „Kaskader" — filmy dok.
15.20 „Gwiezdne wojny" — film science-fiction prod. USA
17.15 Teleexpress
17.30 Teatr telewizji — Stanisław Baliński „Polka prosto z kraju"
19.00 Wieczorynka
19.30 Dziennik
20.05 „Jeśli się zgodzi — nie powiem nie" — komedia prod. francuskiej
21.40 Piwnica „Pod baranami"
22.35 „San Remo '89"
23.35 Zakończenie programu

PROGRAM II

11.30 Powitanie
11.35 Kino familijne — „Podróż Natty Gunn"
12.25 „Dlaczego nie?" (1)
12.50 „Jubileusz Jana Pawła II" — reportaż
13.25 „Muppety jadą do Hollywood" — film prod. USA
15.00 „Dlaczego nie?" (2)
15.25 „100 pytań do..."
16.05 „Polacy"

16.45 „Wielkanoc pod Krzyżem Południa" — reportaż
17.00 „Podróże po klawiaturze Andrzeja Sobieskiego"
17.30 „Dlaczego nie?" (3)
18.10 „Jarocin" — reportaż
19.00 Magazyn „102"
19.30 „Galeria 37 milionów"
20.00 „Wiedeńskie melodie"
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wyspy na Golfstromie" — film prod. USA
23.30 Komentarz dnia

WTOREK — 28 III

PROGRAM I

8.35 „Domator"
8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 DT — dodatek gospodarczy
9.40 „Evita Peron" (2) — film prod. USA
11.10 „Domator"
16.00 Program dnia i DT
16.05 „Gazeta Rolnicza"
16.25 „Tik-Tak"
16.50 Kino „Tik-Taka"
17.15 Teleexpress
17.30 „Adwokat z Old Bailey" (3) — „Tajemnica państwowa"
18.30 „Klinika zdrowego człowieka"
18.50 Dobranoc
19.00 „10 minut"
19.10 „Gdyby zamrozić ceny..."
19.30 Dziennik
20.05 „Evita Peron" — film prod. USA
21.40 Konferencja prasowa rzecznika rządu
22.05 „Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej" — „S"
22.50 DT — echa dnia
23.10 Język angielski (21)

PROGRAM II

10.00 „Tele-9"
16.55 Język angielski (21)
17.25 Program dnia
17.30 „Szokujące nowości — u progu sztuki współczesnej" (4)
18.00 Kronika
18.30 „Apartheid" (3) — film dok.
19.30 „Kolorowy zawrót głowy"
20.00 „Non stop kolor"
21.00 Studio sport
21.30 Panorama dnia
21.45 „Dorastanie" (5)
22.45 Komentarz dnia

ŚRODA — 29 III

PROGRAM I

8.35 „Domator"
8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Równanie z trzema niewiadomymi" — film fab. prod. ZSRR
15.50 Program dnia i DT
15.55 Losowanie Express i Super Lotka
16.05 „W świecie ciszy"
16.25 „Latający Holender"
16.50 „Wyprawy prof. Ciekawskiego"
17.15 Teleexpress
17.30 „Spojrzenia"
18.00 „Z Polski rodem"
18.20 „Dawniej niż wczoraj"
18.50 Dobranoc
19.00 „10 minut"
19.10 Program publicystyczny
19.30 Dziennik
20.05 „Werdykt" — dramat obycz. prod. francusko-włoskiej
21.40 „Raport"
22.10 „Telewizyjny Informator Wydawniczy"
22.30 DT — echa dnia
22.50 Język rosyjski (22)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (22)
17.25 Program dnia
17.30 „Zbliżenia, czyli to i owo o filmie"
18.00 Kronika
18.30 „Ze wszystkich stron"
19.00 „II Rzeczpospolita nieznana"
20.00 Charles Dutoit, Janusz Olejniczak i orkiestra „Simfonia Varsovia"
21.05 Program publicystyczny
21.30 Panorama dnia
21.45 „07 zgłoś się" (13)
22.55 „997" — kronika kryminalna
23.55 Komentarz dnia

CZWARTEK — 30 III

PROGRAM I

8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Ośmiornica" (3)
16.00 Program dnia i DT
16.05 „Polskie zdroje" — Krynica
16.25 „Kwant"
17.15 Teleexpress
17.30 „Kalejdoskop"
17.55 „Opowieści Puszczy Augustowskiej" — film dok.
18.20 „Sonda"
18.50 Dobranoc"
19.00 „10 minut"
19.10 „Teraz"
19.30 Dziennik
20.05 „Ośmiornica" (3)
21.10 „Socjalizm tak, ale jaki?" — spotkanie z prof. Marianem Orzechowskim
21.40 „Pegaz"
22.30 „Prezydenci"
23.00 DT — echa dnia
23.20 Język francuski (22)

PROGRAM II

10.00 „Tele-9"
16.55 Język francuski (22)
17.25 Program dnia
17.30 „Do szkoły pod górkę"
18.00 Kronika
18.30 Magazyn „102"
19.00 „Strachy na Lachy" (1) — serial animowany prod. ang.
19.30 Kino „Puls"
20.00 „Dziewięciu gniewnych, czyli krytycy o filmie"
20.45 „Bez ograniczeń" — filmowy portret Bronisława Schlabsa
21.00 „Ekspres reporterów"
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino studyjne „dwójki" — „Jeden drugiego brzemiona noście" — film fab. prod. NRD
23.35 Dobranoc dla dorosłych
23.40 Komentarz dnia

Kraj niepalących?

Główny lekarz USA, dr Everett Koop, opublikował niedawno raport głoszący sukces zdrowego rozsądku Amerykanów nad nałogiem palenia tytoniu. Z raportu wynika bowiem, że w USA liczba palaczy zmniejszyła się w ciągu 25 lat z 40 do 29 proc. dorosłej ludności kraju. Szacuje się, że spadek liczby palących oznacza uratowanie życia aż 789 tysiącom Amerykanów.

Raport opublikowano w 25 rocznicę pierwszego podobnego raportu lekarskiego, który wówczas ostrzegał przed niebezpieczeństwem utraty zdrowia i życia związanym z paleniem tytoniu. W ciągu 25 lat amerykańscy naukowcy dobitnie udowodnili bezpośredni związek palenia z rozwojem groźnych chorób. Ich antynikotynowa propaganda przyniosła widoczne rezultaty. Palacze mają już w USA bardzo utrudnione życie w miejscach publicznych. Wiele przedsiębiorstw nie przyjmuje palących do pracy. Palenie jest nie do pomyślenia w szpitalach i szkołach, w urzędach państwowych. Wykształcił się nowy towarzyski styl, który każe palaczy traktować jak ludzi z wstydliwą ułomnością.

Mimo tych sukcesów dr Koop nadal ostrzega, że palenie jest przyczyną (pośrednią lub bezpośrednią) zbyt wczesnej śmierci wielu Amerykanów. Zadaniem lekarzy jest dalszy rozwój antynikotynowego uświadomienia. Główny lekarz USA wierzy, że jego kraj pewnego dnia stanie się państwem niepalących. Ta wizja może przerazić tylko producentów papierosów. Ich przeciwakcja to reklamowanie „nieszkodliwych" papierosów lub papierosów o „małej zawartości nikotyny". Przypomina to wyniki dobrego wojaka Szwejka, który tak pracowicie szukał „wódki bez alkoholu" w praskich knajpach...

Ile soli na świecie?

Brytyjski naukowiec John Windskill zadał sobie trud obliczenia zasobów soli na naszej planecie. Ustalił, że po odparowaniu wody wszystkich mórz i oceanów z uzyskanej w ten sposób soli można by wybudować mur o długości równej równikowi, wysokości 280 m i grubości 1000 m.

Test dla biznesmena

Pasażerowie zgromadzeni na peronie stacji metro w japońskim mieście Fudjisawa byli bardzo zdumieni, kiedy elegancko ubrany, poważnie wyglądający mężczyzna zaczął nagle głośno śpiewać. Fałszował przy tym niemiłosiernie. Po kilku minutach wyjaśniło się, że człowiek ten... zdawał egzamin. Nie był jednak bynajmniej kandydatem do szkoły muzycznej, lecz uczestnikiem kursu dla dyrektorów przedsiębiorstw przemysłowych. Egzaminatorzy kazali mu dowieść umiejętności występowania przed ludźmi.

To są kolczyki!

Dyktatorzy mody rzadko zastanawiają się nad wagą proponowanych ozdób. Dlatego panie zazwyczaj nie mają pojęcia, jaki ciężar dźwigają na szyi czy w uszach. Inaczej dzieje się w plemieniu Dajaków, żyjącym na Borneo. Tam wartość kobiety mierzy się „siłą udźwigu". Rekordzistki potrafią paradować z kolczykami o wadze 2,5 kg. Czego nie zrobią kobiety, by się podobać!

Więzień na wagę złota

Ucieczka przestępcy z więzienia w San Marino wywołała prawdziwe przerażenie służb penitencjarnych tego mini-państewka. Nie jest on bynajmniej jakimś krwiożerczym bandytą, był natomiast jedynym więźniem. Nadzorcom aresztu grozi bezrobocie i stąd ich strach. Historia znana dotąd jedynie z „Policji" Mrożka stała się rzeczywistością. Niestety nie u nas.

Z rozmaitości

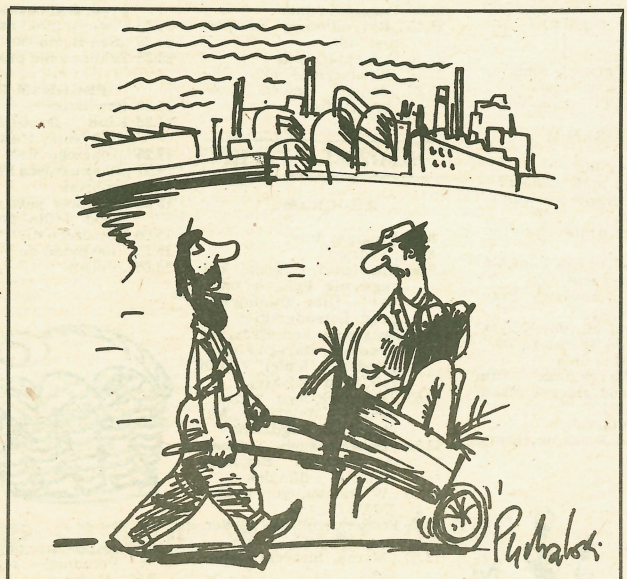

—Coście zrobili z asygnatami na samochody, które wam dawałem?

Rys. Juliusz Puchalski

Czy kupią państwo czołg?

„Litieraturnaja Gazieta" zamieściła cennik obowiązujący na „aukcji" w Peszawarze, gdzie mudżahedini afgańscy handlują zdobyczną bronią. Automat AK-47 można nabyć za 1000 dolarów, przenośną broń przeciwlotniczą — za 3,2-5 tys. dolarów. Jeep typu UAZ-469 kosztuje już 16 tys. Wszelkie rekordy pobił jednak ostatnio czołg T-62, które jedno z ugrupowań zdobyło pod Kandaharem. Sama transakcja miała nader ciekawy przebieg. Przez 12 dni, a właściwie nocy, mudżahedini przemycali zdobycz. Lękali się nie tyle patroli armii afgańskiej, co kontrwywiadu pakistańskiego czyhającego na ciekawsze egzemplarze radzieckiej broni. Precedens miał już miejsce w ub.r., kiedy Pakistańczycy skonfiskowali im transporter opancerzony. Tym razem operacja udała się, czołg dotarł na rynek, znalazł nabywców, którzy zaoferowali 80 tys. dolarów. Uszczęśliwieni partyzanci zainwestowali gotówkę w bilety lotnicze na Hawaje i odlecieli do ciepłych krajów.

HOROSKOP

BARAN: uważaj, żebyś zupełnie przypadkowo nie wplątał się w jakieś intrygi, dobrze na tym nie wyjdziesz — drobne przykrości szybko miną, miłe spotkanie poprawi ci humor.

BYK: dużo będzie się działo w twoim otoczeniu, ale ty się do niczego nie włączaj, czekaj spokojnie na bieg wypadków — najważniejsze, żebyś dostrzegł szanse poprawienia własnej pozycji.

BLIŹNIĘTA: niewiele wyjdzie z tego, co sobie zaplanowałeś, życie podsunie ci zupełnie inne zajęcia — staraj się unikać konfliktów, masz niewielkie szanse, aby postawić na swoim.

RAK: nadchodzące dni będą wymagały od ciebie bardzo ostrożnego działania, zarówno w sprawach osobistych, jak i zawodowych — dobrych interesów nie zrobisz, porzuć więc wszystkie takie pomysły.

LEW: wiele będzie zależało od twojej inwencji, energii, chęci działania — od tego, jak zabierzesz się do spraw, co będziesz chciał osiągnąć, zależeć będą ostateczne rezultaty.

PANNA: nie będziesz miał wolnej chwili, ciągle ktoś lub coś będzie cię poganiać, a ty bez protestu podejmiesz się ogromnej pracy — efekty mogą cię satysfakcjonować, uważaj na kontakty z bliskimi, mogą się popsuć.

WAGA: błaha rozmowa może przerodzić się w bardzo ważną dyskusję, od twojej postawy będą zależały losy twoje i twoich bliskich — bądź dobrej myśli, wszystko ułoży się szybciej niż przewidujesz.

SKORPION: będziesz musiał zmienić swoje plany, szybko przystosować się do nowej sytuacji — może to być dla ciebie uciążliwe, ale doprowadzenie sprawy do końca może ci przynieść sporo satysfakcji.

STRZELEC: nadchodzące dni będą sprzyjały radykalnym posunięciom, decyzjom, których skutki będziesz długo odczuwał — masz szanse na uzyskanie niespodziewanego sukcesu, bądź czujny.

KOZIOROŻEC: nie ma dla ciebie spraw przegranych, nie rezygnuj, możesz wygrać — bądź dobrej myśli, prawie wszystko uda ci się załatwić przed czasem.

WODNIK: ciekawe spotkania, nowe znajomości, zmącenie spokoju i trochę nerwowych napięć — sprawy zawodowe wymagać będą intensywnego działania, opóźnienie może być groźne dla twoich interesów.

RYBY: niezałatwione sprawy teraz będą wymagać szybkich, zdecydowanych działań — od razu poprawi ci się samopoczucie, łatwiej zmobilizujesz się do codziennego wysiłku.

Mała moc pod Tatrami

Z perspektywy historii nie są to wcale odległe czasy, kiedy wszystkie rzeki i potoki na Podhalu były wykorzystywane jako źródło energii. Niestety, gigantomania w energetyce skutecznie zniszczyła lokalne siłownie i urządzenia hydrotechniczne. Teraz pospiesznie rysuje się plany odnowienia niekonwencjonalnych źródeł energii. Na razie ten pośpiech widoczny jest raczej na cierpliwie zapisywanym papierze i mnożonych ostatnio dysputach. Tymczasem świat już dawno potwierdził odpowiedź na pytanie: czy mała energetyka wodna jest opłacalna? Sceptycy twierdzą, że trzeba być najpierw bogatym, żeby zacząć oszczędzać...

Nowosądeczyzna nie należy do krajowej czołówki, która w ostatnich dwóch, czterech latach rozwija energetykę wodną na małych rzekach. Może słupskie albo olsztyńskie udane przykłady staną się wreszcie zaraźliwe. Województwo nowosądeckie i inne górzyste regiony kraju mają doskonałe warunki do odbudowy zrujnowanych zakładów korzystających z siły wodnej.

Dr inż. Henryk Jost z Zakopanego jest niestrudzonym badaczem techniki na Podhalu, u podnóża Tatr i w samych górach. Nie namawia, rzecz jasna, do zabudowy energetycznej potoków w parku narodowym, ale optuje za budową setek siłowni wodnych na Podhalu.

Według inwentaryzacji z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych w dawnym województwie krakowskim było 651 zakładów wykorzystujących siłę wody o mocy ok. 6,5 tys. kW. Ponad jedna trzecia przypadała na powiat

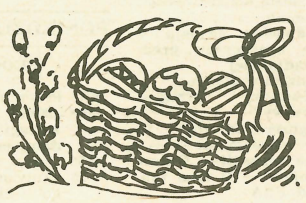

nowotarski. W całej zlewni Dunajca było 275 zakładów, z tego najwięcej na Czarnym i Białym Dunajcu, Białce, Łososinie, Rogoźniku i Ochotnicy. Są to spore podhalańskie potoki o znacznym spadku.

Przed wybuchem II wojny światowej na Podhalu czynnych było już ponad 380 obiektów wykorzystujących energię wodną. Najwięcej było młynów oraz tartaków, mniej foluszy, czyli urządzeń do tzw. spilśniania sukna, ubijania tkanin wełnianych. Nad potokami czynne były także urządzenia do wyrobu gontu oraz gręplarnie i elektrownie wodne.

W samym Zakopanem, które dziś cierpi na niedobór energii, czynnych było kilkanaście zakładów korzystających z napędu wodnego. Nie istnieje już tartak „Zwierzyniec", który dziś stałby na miejscu dyrekcyjnego budynku Tatrzańskiego Parku Narodowego. Do historii przeszedł tartak w Jaszczurówce, poroniński tartak w Kośnych Hamrach i papiernia w Kuźnicach. Ponieważ wycofujący się z Zakopanego Niemcy wysadzili w powietrze elektrownię dieslowską na Kamieńcu, Zakopane tuż po wyzwoleniu czerpało energię z zachowanych turbin wodnych. Jedna z elektrowni czynna była na Olczy, na Potoku Olczyskim. Część budynków zakopiańskich miała własne źródła energii m. in. hotele „Sport" i „Kresy". Przy młynie poniżej zespołu szkół budowlanych działał generator prądu elektrycznego do oświetlenia domów przy Krupówkach.

Ocenia się, że zastosowanie współczesnych wydajnych turbin wodnych w odbudowywanych na Podhalu drobnych zakładach przemysłowych dałoby energię o mocy ponad 2400 kW.